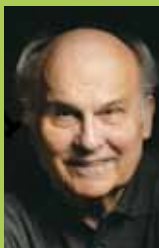


Wakacyjna Akademia Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego

ARRKA

Prace uczestników Akademii – Siennica Różana 2009



Lublin
Siennica Różana
2010 r.

ARRKA

Wakacyjna Akademia Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego

ARRKA

Prace uczestników Akademii – Siennica Różana 2009

Lublin
Siennica Różana
2010 r.

Wydano przy pomocy finansowej Polskiego Funduszu Wydawniczego
(Kanada)

Organizator naukowy Akademii:

Wydział Politologii we współpracy z Wydziałem Humanistycznym UMCS

Zlecniodawca wydania:

Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Siennickiej
22-304 Siennica Różana

Projekt okładki i wydania, skład, łamanie, korekta:

Karolina Przesmycka
www.promoticon.pl

Koncepcja wydania:

Marek Kusiba

© Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Siennickiej

© Drukarnia Akapit S.C.

ISBN 978-83-896161-9-7

Redakcja:

Marek Kusiba
Franciszek Piątkowski

Druk i oprawa:

AKAPIT S.C
ul. Węglowa 3, 20-481 Lublin
www.akapit.biz

≈ SPIS TREŚCI ≈

WSTĘP	7
Anna Kiedrzynek, Weronika Gawron, Kacper Kondrakiewicz KRONIKA AKADEMII	11
Martyna Skrok OPOWIEŚĆ O RYŚKU	19
Agnieszka Góra U NAS LUDZIE SĄ TAKIE ZGRANE!	28
Iwona Mazur SZMUL – ZAPOMNIANY OGIEŃ SHOAH	44
Marek Kusiba SEN O SIENNICY	60
Marek Szymaniak GIEŁŻYŃSKI Z KRASNEGOSTAWU	63
Agnieszka Janiak JÓZIO	69
Marek Kusiba BAJECZNY BABIN	85
Ilona Banach JEDNO LATO	88

Aleksandra Borowik, Ewa Gadomska	
UKRYTE ŚWIATŁO	96
Anna Choroś	
PRZED WYSTĘPEM	104
Paweł Kocun	
MOJA AKADEMIA	108
Marek Szymaniak	
DOBRY CZŁOWIEK GAWRYŁOW	112
Marek Kusiba	
MODLITWA DO DZIEWICY	104
Agnieszka Janiak	
REJOWE OKOLICE	123
Martyna Skrok	
KROWA NIE WIE, CO TO ŚWIĘTO	131
Martyna Skrok, Iwona Mazur	
NIE CHCĘ KOŃCA EPOKI!	137
Kacper Kondrakiewicz	
NOWE POKOLENIE POLSKIEGO REPORTAŻU	145
Lucyna Błońska	
POSPOLITE RUSZENIE MIŁOŚCI	164
O TORONTOŃSKIEJ OFICYNIE WYDAWNICZEJ	180

≈ WSTĘP ≈

Ryszard Kapuściński wyznawał w jednym z wierszy: „Przetrwa ten, kto stworzył swój świat. / Bóg istnieje, bo stworzył swój świat, / Homer istnieje, bo stworzył swój świat, / I Michał Anioł, i Mozart”. Autor „Cesarza” też stworzył i żmudnie ocalał swój świat – świat ludzi zapomnianych przez los, Boga i historię, biednych materialnie, ale bogatych duchem. Był mistrzem reportażu, niezwykłym pisarzem, wrażliwym poetą, wnikliwym badaczem inności, tłumaczem kultur, objaśniającym czasy przełomu epok – upadku starych i narodzin nowych państw i systemów społecznych. Swoimi dziełami otwierał nam, współczesnym, oczy na naszą planetę, zamieszkałą w trzech czwartych przez Jego bohaterów: rzemieślników z Luandy, bojowników z Konga, żebraków, ale i dworaków z Addis Abeby, partyzantów z Boliwii, robotników z Nowej Huty i Wybrzeża, rolników z Hondurasu i Polesia. Podróżował do miejsc ogarniętych wojnami, peregrynował w niedostępne dla innych obszary, mieszkał z biedakami w szałasach, cierpiał głód, chorował.

Z tak różnorodnych i bogatych doświadczeń powstawały niezwykle relacje i książki. Niewielu reporterów mogło się z Nim równać pracowitością, graniczącą z obsesją. Był pasjonatem dziennikarstwa świadczego niezliczonymi wyprawami do jądra ciemności. A jednocześnie był pasjonatem książek, wielbicielem i znawcą poezji, filozofii, antropologii kultury. Jego dzieła cechuje żarliwość prawdziwego odkrywcy. Frapowały go inne kultury, a nade wszystko pojedynczy bliźni z jednej,

wspólnej nam wszystkim rodziny człowieczej. Władał biegle kilkoma językami, których nauczył się po to, by móc zanurzać się w odległych światach, łądach i ludach. Portretował ich życie dostrzegając zjawiska niewidoczne dla niewprawnego oka, zaopatrzonego nierzadko w telewizyjną kamerę. Budował syntezę świata naczyń połączonych, globalnej wioski, o której pisał na długo przed McLuhanem. Malował zarazem portret świata głęboko podzielonego, zwaśnionego, nękanego wojnami, ale wciąż pięknego – niczym burza rodząca tęczę.

Burza, nota bene, rozpałała w uczniu klasy maturalnej dziennikarską pasję. Zanim w lipcu 1950 r. opublikował swoje pierwsze teksty na łamach założonego kilka miesięcy wcześniej „Sztandaru Młodych”, opisał wiosenną burzę nad Warszawą: „Nauczyciel poprosił, żebyśmy o niej napisali. To zadanie rozbudziło we mnie tkwiąca gdzieś w ukryciu ciekawość świata, potrzebę zrozumienia jego mechanizmów. Zacząłem się zastanawiać, skąd ta burza, jak to w ogóle się dzieje, że nagle wybuchła, jak przebiegała, jakie były jej konsekwencje dla miasta i jego mieszkańców. Niby proste zadanie, ale to często właśnie tak się zaczyna...” – wspominał po latach epizod z lekcji polskiego, który przyczynił się do wyboru przez 18-latkę drogi życiowej; wtedy, przed 60 laty postanowił zostać dziennikarzem, czyli kimś „kto z ciekawości świata świadomie uczynił swoje narzędzie”.

Trudno nam wyrokować, czy wszyscy nastoletni (i niewiele starsi) studenci Wakacyjnej Akademii Reportażu noszącej imię Ryszarda Kapuścińskiego pójdą w ślady autora „Praw natury” i z ciekawości świata XXI wieku uczynią swoje własne narzędzie pracy. Mamy cichą nadzieję, że tak się stanie i że ziarno zasiane w żyznej siennickiej glebie kiełkować będzie wartościowymi tekstami, wywiedzionymi z pasji właściwej patronowi naszej szkoły. Na razie dajemy naszym studentom lekcje, nie tylko polskiego, a także burzę – przede wszystkim mózgow, w czasie intensywnych zajęć.

To zwykły zbieg okoliczności, tym niemniej nasze wydawnictwo redagowane było w czasie niemal biblijnego potopu, jaki przeżyła Polska w maju i czerwcu. Na pokład swojej arki biblijny Noe zabrał, oprócz własnej rodziny, przedstawicieli wszystkich gatunków zwierząt. Na

pokładzie naszej ARRK-i znalazło się także wiele gatunków – dziennikarskich; są tu reportaże i wywiady, artykuły i szkice, felietony i diariusze. Na obronę przed zarzutem pomieszenia gatunków mamy nie tylko Noego, ale i Kapuścińskiego: nasz patron ciągle eksperymentował, do tematu dobierał formę, a nie odwrotnie. Poszliśmy za tą wskazówką, toteż pismo jest raczej książką, bo nie ma charakteru miesięcznika ani kwartalnika; mogłoby być rocznikiem, ale jak na rocznik też jest formalnie zbyt rozstrzelone. Próbuje wszak oddać zawartość (i wartość, oby...) pierwszej edycji siennickiej Akademii. Ale żaden, najciekawszy nawet zbiór zapisów nie byłby w stanie odtworzyć jedynej w swoim rodzaju atmosfery tych dziennikarskich warsztatów: nastroju skupienia, namysłu i anegdoty, poważnych, ale pogodnych rozmów, dyskusji nad tekstami, dokumentami filmowymi i audycjami radiowymi, a co nie mniej ważne – magii większości spotkań przy Kapuścińskim, wokół Kapuścińskiego, blisko Kapuścińskiego; czuło się Jego obecność – jak to opisać?

Świadomie staraliśmy się stworzyć jedyną w swoim rodzaju atmosferę, a gdy nadarzała się okazja, staraliśmy się zanurzać zdarzenia w magicznych klimatach. Sprzyjały nam nawet ściany, ale przede wszystkim ludzie z Siennicy – uczynni, życzliwi, sprawni organizacyjnie. Zresztą – magia pojawiła się na długo przed rozpoczęciem Akademii i przyjęła nazwę Rady Dobrych Duchów. Była w tej Radzie Pani Alicja Kapuścińska (od ubiegłorocznej inauguracji – Honorowy Rektor Akademii), był Tadeusz (Tomek) Badach, Marek Kusiba (to moje zdanie odrębne – F. P.) i Leszek Proskura. I kiedy były chwile zwątpienia, że to „za duży wiatr na moją wełnę” (K. J. Gałczyński), wtedy któryś z dobrych duchów umacniał dobrym słowem i cichły wiatry przeciwne. W dobrej pamięci zachowamy też tych, którzy wzbudzali echo niosące w świat wieści o Akademii w Siennicy: dziennikarzy z lokalnej prasy chełmskiej i krasnostawskiej, ale przede wszystkim ludzi z Polskiego Radia Lublin, „Kurier Lubelski”, no i Marka Kusibę (znowu moje zdanie odrębne – F. P.), który z polotem wpisywał Akademię, Siennicę i Lubelszczyznę na łamy nowojorskiego „Naszego Dziennika”.

Wydawnictwo tworzą teksty powstałe w całości, lub zainspirowane podczas zajęć inauguracyjnej edycji Akademii na przełomie czerwca

i lipca 2009 r. w Siennicy Różanej na Lubelszczyźnie. „Jeśli chcecie sobie sprawić przyjemność – przeczytajcie tę książkę!” – pisał Ryszard Kapuściński w opinii na temat jednej z polecanych przezeń lektur. My z tej szczodrej zachęty adresujemy jedynie drugą część zdania – do naszych studentów, jak i wszystkich miłośników słowa drukowanego, tudzież „pięknych okoliczności przyrody” ziemi siennickiej, niegdyś matecznika Mikołaja Reja, ojca literatury polskiej, a od roku także w pewnym, nie tylko symbolicznym sensie Ryszarda Kapuścińskiego – jednego z ojców polskiego reportażu.

Zakończenie cytowanego na początku wiersza to cztery zdania pytające: „Ile jeszcze światów powstanie? / Ile postaci? / Ile zwierząt? // Druga Arka Noego?”

Na razie zapraszamy do lektury naszej ARRK-i. Kapuścińskiego...

**MAREK KUSIBA,
FRANCISZEK PIĄTKOWSKI**

ANNA KIEDRZYNEK, WERONIKA GAWRON,
KACPER KONDRAKIEWICZ

KRONIKA AKADEMII

≈ 27.06.09 ≈

15.00

Władze Siennicy Różanej stanęły na wysokości zadania – na Placu Zamkowym w Lublinie czekały na nas dwa busy: czerwony i zielony.

*nasza przyszłość będzie zielona
tylko ci co mają zielono w głowie
nie myślą o strachu
na zielone głowy wkładają czerwone kapturki
i już nie boją się wilków*

Ryszard Kapuściński, „Świat dla zielonych”

16.00

Godzinę później dojeżdżaliśmy już na miejsce. Przeciętny uczestnik zabrał ze sobą dwa kilogramy książek, ale stan remontowanych dróg uniemożliwił ich czytanie.

Po rozpakowaniu bagaży, część z nas pojechała na festyn sobótkowy odbywający się na zamku w Krupem. Lekko oszołomieni aromatem grillowanych kiełbas nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego najważniejszy element miejscowego folkloru tworzy góralska kapela. Okazując całkowity brak dziennikarskiej intuicji, wyjechaliśmy zbyt wcześnie. Godzinę po naszym odjeździe wydarzyło się coś, co na-

prawdę byłoby warte odnotowania w tej kronice: festyn zakończyła bójka.

≈ 28.06.09 ≈

Podczas śniadania **Franciszek Piątkowski** ogłosił wprowadzenie zasad komunizmu wojennego: absolutny zakaz spóźniania się oraz obowiązek powrotu do internatu przed 23.00. Zapoznał nas także z planem dnia oraz przydzielił pierwsze tematy.

15.00

W Gminnym Ośrodku Kultury odbyła się uroczysta inauguracja WARRK. Zebranych powitał wójt gminy Siennica Różana **Leszek Proskura**. Warto zaznaczyć, że bez jego pomocy organizacja całego przedsięwzięcia byłaby niemożliwa. Głos zabrali także: marszałek województwa lubelskiego **dr Krzysztof Grabczuk**, który udzielił nam finansowego wsparcia i objął Akademię honorowym patronatem oraz przedstawiciele UMCS: prorektor **Ryszard Szczygieł** i **profesor Ryszard Tokarski**. Władze tej uczelni objęły Akademię patronatem naukowym. Tytuł Honorowego Rektora Akademii otrzymała Pani **dr Alicja Kapuścińska**.

19.00

Uczestnicy mieli okazję poznać się lepiej przy ognisku, które z mokrych gałęzi wyczarowała **Dorota Bzikot**. Pomógł jej w tym **Paweł**, nasz połykacz ognia, dając pokaz „fireshotu” (po polsku: plucia podpałką do grilla). Wieczór uświetnił występ tubylców. Po wypiciu dużej ilości napojów z bąbelkami zatrzęsnęli swojego zmęczonego kolegę w składziku na drewno. Całe szczęście, uwieczony wyszedł oknem.

≈ 29.06.09 ≈

9.10

Pani rektor opowiadała nam o swoim mężu, którego określiła jako „człowieka o patologicznej skromności”. Dowiedzieliśmy się m. in., że

jedynym źródłem informacji o Ryśku były jego oficjalne depeche do PAP-u. W czasie wyjazdu do Hondurasu przysyłał żonie jedną prywatną wiadomość: „prześlij mi pieniądze”. Warto przytoczyć słowa pani Alicji na temat podróży z Herodotem: „a nie jestem taka pewna, czy on tego Herodota wszędzie woził”.

11.25–12.00

Franciszek Piątkowski, tak jak Lenin, poniósł klęskę – komunizm wojenny upadł. Nie dość, że spotkanie z **Piotrem Załuskim** rozpoczęło się z prawie półgodzinnym opóźnieniem, to projekcja jego filmów okazała się niemożliwa ze względu na nadmiar światła.

Przede wszystkim rzuca się w oczy światło. Wszędzie – światło.

Wszędzie – jasność. Wszędzie – słońce.

Ryszard Kapuściński, „Heban”

15.15

Profesor Ryszard Szczygieł wygłosił wykład o historii Siennicy, który rozpoczął słowami: „witam państwa, witam słuchaczy i zainteresowanych, bo takiego podziału należy dokonać”. Ciekawy był także żart kończący prelekcję: „a to jedziemy do Bończy, bo tam się świat kończy”.

19.00

Po przeniesieniu sprzętu do zaciemnionej sali Urzędu Gminy mogliśmy wreszcie obejrzeć filmy Piotra Załuskiego o Ryszardzie Kapuścińskim. Wyjątkowa atmosfera sprawiła, że czuliśmy się tak, jakby pan Ryszard był z nami. Reżyserowi udało się uchwycić ogromne ciepło i życzliwość, jakimi emanował jego bohater.

≈ 30.06.09 ≈

10.30

Profesor Ryszard Tokarski wygłosił wykład na temat językowego obrazu świata. Mówił między innymi, że mowa odbija system wartości

obowiązujący w danej kulturze oraz utrwała stereotypy. Za przykład posłużył mu tekst piosenki „Dobranoc” Jeremiego Przybory, którą równie pięknie, co niespodziewanie wykonali **Marek Kusiba** i **Ewa Czerwińska**. Dla wielu słuchaczy był to najważniejszy punkt wykładu.

15.00

Warsztaty reportażu pisanego zostały przeprowadzone w trzech grupach pod kierunkiem: Marka Kusiby, Franciszka Piątkowskiego i Ewy Czerwińskiej. Franciszek Piątkowski zaproponował swoim podopiecznym ćwiczenie pt. „Co słonko widziało?” oraz przedstawił krótką historię reportażu. My, skromni kronikarze, nie mogliśmy być w kilku miejscach jednocześnie, dlatego informacje o pozostałych grupach pochodzą z drugiej ręki.

Marek Kusiba przedstawił najważniejsze cechy gatunków dziennikarskich, natomiast Ewa Czerwińska przeprowadziła swobodną rozmowę o swoim zawodzie.

19.00

„Nocny Marek” – prowadzone przez Marka Kusibę, wieloletniego przyjaciela Ryszarda Kapuścińskiego, zajęcia dotyczyły twórczości mistrza. Tego wieczoru czytaliśmy fragmenty „Cesarza”, „Buszu po polsku” oraz „Gdyby cała Afryka”. Prowadzący po raz pierwszy zasygnalizował zagadnienia, które mieliśmy usłyszeć jeszcze wiele razy.

≈ 01.07.09 ≈

10.20

Cały dzień spędziliśmy z wybitnymi reportażystkami Radia Lublin: **Moniką Hemperek** i **Katarzyną Michalak**. Mimo że zajęcia trwały długo i były bardzo intensywne, to zainteresowanie słuchaczy utrzymywało się na stałym, wysokim poziomie. Obie panie promieniowały niezwykle ciepłem i potrafiły przekazać nam magię swojego zawodu. Jak powiedziała Katarzyna Michalak: „Radio to spotkanie, spotkanie bardzo intymne w środku nocy. Radio to spotkanie i opowieść”.

19.00

Kolejną sesję „Markomanów”, przeprowadzoną tym razem na świeżym powietrzu, zakłócała ósma plaga egipska – deszcz chrabąszczy.

≈ 02.07.09 ≈

9.15

Drugi dzień przygody z reportażem radiowym. Część z nas rozmawiała z **Henrykiem Głowackim** – byłym sołtysem Zagrody i prawdziwą kopalnią informacji. Reszta podjęła trud pracy w terenie tzn. wylegiwała się w leśnej altanie. Po połączeniu obu grup, z mikrofonem w rękę poszliśmy rozmawiać z mieszkańcami Zagrody o zlikwidowanej niedawno szkole.

14.30

Pod kierunkiem pań Michalak i Hemperek wykonywaliśmy proste operacje montażowe na zebranych wcześniej materiale. Dla niektórych uczestników był to pierwszy w życiu kontakt z profesjonalnym sprzętem do obróbki dźwięku. Nie bolało.

16.00

Bogusław Wróblewski wygłosił odczyt pt. „Reporter jako pisarz wobec współczesnego świata”. Sielską (żeby nie powiedzieć senną) atmosferę zburzył „szalejący redaktor”, Franciszek Piątkowski. Nikt przed nim (ani po nim) nie wyklócał się z taką pasją o teorię reportażu.

19.00

Czesława Borowik przeprowadziła pierwsze zajęcia z cyklu swoich warsztatów. Wprowadziła nas w tematykę historii mówionej z ogromnym zapalem, a może nawet poczuciem misji.

≈ 3.07.09 ≈

10.00

Wykład **prof. Anny Pajdzińskiej** „Świat w słowie i świat poza słowem”. Pani profesor mówiła między innymi o tym, jak używany przez nas język wpływa na postrzeganie i rozumienie świata. Podczas porównywania zwrotów używanych przez różne nacje doszła do następującego wniosku: „Jesteśmy dość wstrętnym narodem, tak obiektywnie mówiąc”.

12.15

Najważniejszym punktem warsztatów Czesławy Borowik było robienie głupich min, oczywiście w celach dydaktycznych. Oprócz tego prowadząca zademonstrowała nam najzabawniejsze taśmy z całego swojego archiwum.

15.00

Wojciech Giełżyński wygłosił odczyt o nieuniknionym zmierzchu cywilizacji Zachodu i nadchodzącej dominacji Wschodu. Potem zaprezentował swoje ostatnie publikacje, w tym – ja sam powiedział – najgłupszą książkę świata. Opowiedział także o swoich romansach (ale tylko tych niezrealizowanych), na przykład z Brigitte Bardot. Natomiast Ryszarda Kapuścińskiego przedstawił w dość oryginalnym świetle; na przykład „Busz po polsku” określił jako książkę „dość przeciętną”.

19.00

Giełżyńskiego ciąg dalszy. Reporter zaskoczył nas biegłością w recytowaniu poezji Gałczyńskiego oraz tym, że mimo upływu czasu zachował godny podziwu upór, aby korzystać ze wszystkich uroków życia.

≈ 4.07.09 ≈

10.30

Leszek Mądzik opowiadał o Ryszardzie Kapuścińskim z perspektywy plastyka. Poprzez pryzmat robionych przez reportażystę fotogra-

fii udało mu się ukazać wiele cech jego osobowości. Jak powiedział: „Nie chciał być mądrzejszy od tego, co zobaczył”.

15.00

Wykład **Marka Millera** szybko zamienił się w żywiołową rozmowę o dziennikarstwie i życiu. Dyskusja, po przeniesieniu w bardziej sprzyjające okoliczności przyrody (tj. do apartamentu naszego gościa), przeciągnęła się do późnych godzin wieczornych.

≈ 5.07.09 ≈

Niedziela została ogłoszona dniem wolnym od pracy – ale nie dla wszystkich. „Szalejący redaktor” Franciszek Piątkowski pracował indywidualnie z licealistami nad poprawieniem ich tekstów.

14.15

Odczyt **dr. Mariana Kawałko** pt. „Tożsamość historyczna własnej rodziny” pozwolił nam zapoznać się z podstawowymi technikami odkrywania przeszłości oraz zrozumieć, dlaczego warto to robić.

≈ 6.07.09 ≈

15.00

Jedyny wykład w tym dniu wygłosiła **dr Aneta Wysocka**. Była przygotowana tak rewelacyjnie, że słowo „wygłosiła” można zamienić na „wyrecytowała”.

20.00

Ostatnie zajęcia z cyklu „Nocny Marek” były pożegnaniem nie tylko z warsztatami, ale poniekąd również z Ryszardem Kapuścińskim. Obejrzelśmy prezentację zdjęć wykonaną po pogrzebie wielkiego reportażysty.

≈ 7.07.09 ≈

10.00

Grażyna Lutosławska, dziennikarka radia Lublin, miała wygłosić wykład na temat sztuki budowania nastrojów. Tak naprawdę żadnego wykładu nie było; pani Grażyna po prostu zaczarowała nas swoim głosem i dała pokaz radiowej magii.

18.00

Dwa busy – czerwony i zielony – wywiozły nas do lasu, gdzie z rąk pani prodiżekana **prof. Haliny Pelc** otrzymaliśmy dyplomy uczestników Akademii. Było dużo podziękowań i wręczania sobie prezentów; potem podano bigos i świeże piwo, a **Tomek Badach** dał koncert piosenki studenckiej. Nie możemy wyjść z podziwu dla wójta Leszka Proskury, który spełniał wszystkie nasze zachcianki, zanim zdążyliśmy o nich pomyśleć.

≈ 8.07.09 ≈

Po krótkim pożegnaniu z dyrektorem szkoły **Jackiem Jagiełłą** oraz paniami kucharkami znów wsiedliśmy do naszych dwóch busów. Żal było wyjeżdżać z Siennicy, ale wiemy, że za rok będziemy tu mile widziani.

ANNA KIEDRZYNEK
WERONIKA GAWRON
KACPER KONDRAKIEWICZ

MARTYNA SKROK

OPOWIEŚĆ O RYŚKU

ROZMOWA Z ALICJĄ KAPUŚCIŃSKĄ

Piękny, lipcowy dzień. Letnie słońce zagląda przez okna do środka apartamentu, w którym mieszkała dr Alicja Kapuścińska podczas I Wakacyjnej Akademii Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego. Jasne promienie rozświetlają twarz kobiety, która na pewno więcej, niż większość kobiet byłaby w stanie znieść, przetrwać, wytrzymać, pogodzić się...

❖ **Jak znosiła Pani długie rozstania z mężem? Wszak były to czasy, w których nie od razu docierały informacje, że z mężem jest wszystko w porządku...**

To pytanie często pada w wywiadach. Rzeczywiście były to czasy, kiedy można było od początku do końca zupełnie nic nie wiedzieć o osobie, która wyjechała. Nie było telefonów, a poza tym miejsca, do których Ryszard jeździł i tak nie dysponowały żadnymi środkami komunikacji. Jedyna droga, którą zdobywałam informacje o mężu, to były jego depesze do PAP-u, które mi udostępniano. Mogłam pójść, przeczytać wszystkie, które przysyłał i stąd wiedziałam, gdzie się znajduje i co ewentualnie się z nim dzieje. Aczkolwiek depesze najczęściej traktowały bardziej o miejscu, w którym przebywał. Nadchodziły jednak i takie, w których dowiadywałam się, co jemu się mogło przydarzyć. Bywały również i takie, które budziły we mnie obawy i lęk. Właściwie

depesze były jedyną formą komunikacji, ponieważ poczta w tamtych miejscach nie funkcjonowała, nikt też wówczas nie słyszał o żadnych telefonach komórkowych czy e-mailach.

❖ **Czy Pani mąż zabierał ze sobą jakiś przedmiot – taki na szczęście – który towarzyszył mu w każdej wyprawie?**

Oczywiście! Były to klucze od mieszkania. Musiał wiedzieć, że ma dokąd wrócić, że ma miejsce w świecie, miejsce w życiu, którego jest pewien, które go nie zawiedzie i o tym właśnie miejscu przypominał sobie symbolem w postaci kluczy. Nigdy o nich nie zapomniał, zawsze „na ostatnią chwilę” sprawdzał, gdzie są i czy na pewno je wziął. Była to żelazna pozycja na liście rzeczy do zabrania. Poza tym zawsze zabierał ze sobą notatniki i ołówki – bardzo dużo ołówków. Kolekcjonował je, tak samo jak wszelakiego rodzaju długopisy.

❖ **A kredki?**

Kredkami podkreślał w książkach, natomiast zbierał długopisy. Każdy musiał mieć jakiś szczególny napis, żeby odróżniały się od siebie. Kiedy szłam na jakąś konferencję medyczną (A.K. jest lekarzem – przyp.), to zawsze mówił „Jak będą jakieś długopisy, to nie zapomnij przynieść!”

❖ **Z wielu opresji podczas podróży Ryszardowi Kapuścińskiemu udało się wyjść właściwie bez szwanku. Czasami cudem uniknął śmierci. Czy mąż był osobą wierzącą?**

Mąż, owszem, był osobą wierzącą, ale nie był nadmiernie praktykujący. Zawsze z sentymentem wspominał fakt, że swojego czasu był ministrantem i to w dodatku w Laskach, u kardynała **Stefana Wyszyńskiego**. Zdaje się nawet, że Wyszyński go bierzmował, ponieważ mieszkał w sąsiedniej wiosce w czasie wojny. Na pewno prowadził życie duchowe, nie afiszował się jednak z nim nigdy. Nie był agnostykiem, ale też nieustannie nie biegał i nie przyjmował sakramentów.

❖ **Co mąż przywoził z wypraw? Czy tylko książki, czy może jeszcze jakieś inne drobne przedmioty?**

Przywoził różne drobiazgi, które miały dla niego wartość wspomnieniową. Do takich pamiątek należały m.in. kamienie. Bardzo lubił kamienie oszlifowane przez wodę, zbierane na wybrzeżach. Do dnia dzisiejszego leżą w jego pracowni, jako że nic nie uległo tam zmianie od czasu jego śmierci. Przywoził różnego rodzaju figurki, naczynka, naszyjnik z koralików z plemienia Masajów, kolczyki, maski, krzyże koptyjskie – ogrom pamiątek ofiarowanych i zakupionych. Miejsc, które odwiedził przez lata swoich wypraw było ogromnie dużo, dlatego też i pamiątek jest bardzo wiele.

❖ **Czy córka wyczekiwała, aż tata przyjedzie, coś przywiezie? Czy tata starał się jej w jakiś sposób rekompensować okresy rozstania?**

Nie spodziewała się wielkich prezentów, zwłaszcza że kraje, do których mąż podróżował nie były miejscami, skąd można było przywieźć fajne ciuszki czy coś podobnego, co mogłoby sprawić wielką radość dorastającej dziewczynie. Naturalnie, spodziewała się, że jakiś drobiazg zawsze dostanie – i dostawała. Taty nieraz nie było miesiącami, trudno się było z tym pogodzić, lecz takie było życie i obowiązki. Wiedziałyśmy, że nie jedzie tam dla przyjemności czy też ciekawych wrażeń, ale do pracy, trudnej i niebezpiecznej. Miałam świadomość tego, że jest to jego praca. Ja miałam swoją pracę i swoje obowiązki. Podróże były jego pasją, a moją pasją zawodową była moja praca, której również bardzo się poświęcałam.

❖ **Zmieniała Pani studia – z historii na medycynę. Po jakim czasie?**

W czasie drugiego roku. Naszą młodzieńczą miłość szybko przekształciliśmy w małżeństwo, a wkrótce niebawem okazało się, że będziemy mieli potomstwo, w związku z czym musieliśmy postanowić co dalej. Ja mieszkałam w akademiku, a on w małym domku z rodzicami. Nie było szans ani pieniędzy na osobne mieszkanie. Wobec tego

doszliśmy do wniosku, że ja na czas urodzenia dziecka i pierwszego okresu wychowania go – pojadę do moich rodziców i tam pomieszczę, a potem wrócę na te studia. „Na te studia”, jako że dawniej zawsze marzyłam o medycynie. Studiowałam historię i na pewno byłabym nauczycielką. W czasie, kiedy byłam w okresie ciąży i porodu w Szczecinie, u moich rodziców – mama Ryszarda dostała udaru mózgu. Były to czasy, kiedy nie było telefonów, a po pogotowie trzeba było biec dwa kilometry w samym środku Warszawy. Teściową udało się uratować i to w dodatku praktycznie domowymi sposobami, co było prawdziwym cudem. Mąż był tym bardzo przejęty i poruszony. Kazano mu kupić na rynku jakieś pijawki, żeby przystawić je do tętnicy szyjnej mamy i ściągać krew. Jego mama nawet chyba nie była w szpitalu, a wyciągnięto ją z tego w domowych, prymitywnych warunkach. Kiedy sytuacja nieco się unormowała, Ryszard przyjechał do mnie do Szczecina i powiedział „Nie miałem pojęcia, że medycyna jest tak cudowną rzeczą! Uratuje człowiekowi życie. Ty chciałaś iść medycynę – idź na medycynę, to jest coś pięknego. Co z tego, że będziesz kolejną nauczycielką, kiedy to jest tak cudowny zawód!”. Mnie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Miałam przerwę, urlop dziekański, ale nikt ode mnie nie żądał, żebym kontynuowała studia historyczne. Zdałam egzamin na medycynę, szczęśliwie nikt więcej nie zapytał mnie o nieszczęsny nakaz pracy. Skończyłam studia medyczne, czego nigdy nie żałowałam, bo była to moja ogromna pasja od bardzo wczesnego wieku.

❖ A jakim był studentem był Ryszard?

Bardzo dobrym. Celującym nie był tylko dlatego, że równocześnie zajmował się bardzo wieloma sprawami. Już wówczas troszkę pisał, okresowo trochę pracował, dużo poświęcał się też społecznie, więc nie zajmował się tylko nauką. Był jednak studentem bardzo dobrym. Już na trzecim roku pracował jako asystent na wydziale filozofii. O czymś to musiało świadczyć, że już wtedy zaproponowano mu pracę z pierwszym rokiem. Przy czym trzeba zaznaczyć, że wówczas były to studia czteroletnie. Już wtedy pisał wiersze, opowiadania, które dopiero póź-

niej były wydawane, drukowane. Miał bardzo rozległe zainteresowania, ale inne jak u rówieśników i nie dotyczyły np. muzyki rockowej. Ryszard interesował się sprawami bardziej problematycznymi – zajmował się literaturą, sprawami społecznymi, co zresztą potem ujawniło się w jego pisaniu.

❖ Jak było z jego językami? Znał angielski, rosyjski, hiszpański, portugalski, francuski. Czy on tych wszystkich języków nauczył się sam, czy z pomocą jakiegoś lektora?

Rosyjskiego zaczął uczyć się w szkole, w Pińsku, na początku wojny. Potem miał lektorat tego języka zarówno w szkole średniej, jak i na studiach. Rosyjski znał więc naprawdę bardzo dobrze. Angielskiego zaczął się dopiero uczyć podczas wyprawy do Indii, kiedy przeraził się, że jest zupełnym kaleką w zakresie porozumiewania się w świecie, że jest niemową. Uczył się go bardzo dużo po powrocie do Polski, a potem czynnie – podczas wyjazdów, kiedy miał okazję rozmawiać po angielsku. Był to pierwszy z języków zachodnich, który poznał. Pod koniec lat 60., jeżdżąc po krajach Ameryki Łacińskiej – Peru, Argentynie, Chile – uczył się hiszpańskiego. Brał lekcje, słowniki, podręczniki, dosłownie kuł na pamięć słówka. W nauce języka był niezwykle wytrwały i pracowity. Gdy zaczynał się uczyć języka, wszystko inne było na drugim planie. Kiedy więc ulokowano go w Meksyku jako stałego korespondenta na cały kontynent, mówił już płynnie po hiszpańsku. Portugalskiego uczył się będąc w Angoli, około roku '76, a ponieważ już wówczas znał hiszpański, było mu łatwiej. Potem, kiedy trochę więcej czasu spędzał już w domu, brał lekcje francuskiego. Bardzo pilnie uczył się tego języka; są w domu jeszcze całe duże zeszyty ze słówkami, które wypisywał. Uczył się bardzo cierpliwie, starał się czytać teksty francuskie, żeby przyswajając sobie język. Biernie znał go bardzo dobrze, czynnie mógł się dogadać, ale francuskiego nie opanował w stopniu perfekcyjnym. Natomiast zupełnie nie miał serca do niemieckiego. Kiedy był w Berlinie i miał okazję uczyć się tego języka, nie miał na to zupełnie czasu. Przez rok udzielił ponad 130 wywiadów, zapraszano go na wykłady, miał też ponad 30

wyjazdów z Berlina. Posługiwał się już wtedy płynnie angielskim, toteż niemiecki nie był mu bezwzględnie konieczny. Czuł też, że nie zdąży, że nie ma siły, nie ma też serca do niego, nie idzie mu to. W rezultacie niemieckiego nie nauczył się nigdy.

❖ **Czy często i chętnie spotykał się z dziennikarzami?**

Dużo miał rozmów, wywiadów. Nigdy nie odmawiał spotkań, zwłaszcza młodzieży. Zabawny był fakt, że kiedy dziennikarz poprosił go o wywiad i on się na niego zgodził, to zanim dziennikarz zdążył zadać pytanie – Ryszard zdołał go już o wszystko wypytać: kim jest, dla kogo pracuje, czym się interesuje, jakie ma plany, czy to będzie większa pozycja, czy tylko doraźny wywiad. Kiedy mąż już wszystko wiedział, dopiero wtedy dziennikarz miał szansę pytać o coś jego. W ten sposób ujawniała się m.in. jego ogromna ciekawość drugiego człowieka, ciekawość świata, którą zaspokajał w każdy dostępny mu sposób.

❖ **Jak wyglądał proces pisania? Czy od razu po powrocie z wyprawy mąż zabierał się do pracy, czy wymagało to jeszcze jakiś dodatkowych przygotowań?**

Doraźne depesze pisał w miejscach, w których był. Natomiast po powrocie, kiedy nie miało to być sprawozdanie dla agencji, składające się wyłącznie z faktów i ich oceny, które był w stanie napisać od ręki, a tekst pogłębiony dla prasy, czy ewentualnie do książki – zawsze trochę odczekiwał. Najpierw sięgał do literatury. Przywoził ze sobą książki, które dotyczyły miejsc, w których był i wydarzeń, które miały tam miejsce. Kiedy znał dokładny termin wyjazdu, starał się przed nim zapoznać w literaturę, by wiedzieć możliwie najwięcej na temat kraju, miejsca, do którego zostanie wysłany. Po powrocie chodził do księgarń. Obkładał się książkami i bardzo dużo czytał, czytał, czytał. Kolejno po sobie następowały etapy: najpierw czytania, myślenia, a dopiero potem pisania. Najwięcej czasu zabierało mu czytanie i przygotowywanie się do pisania. Czuł się odpowiedzialny za to, co chce komuś przekazać,

by nie mówić o rzeczach w sposób powierzchowny. Bardzo źle oceniał opinie formułowane na gorąco, podawane do wierzenia wszystkim. Uważał, że media robią błąd, mówiąc o rzeczach w sposób ogólny.

❖ **Macie Państwo bardzo dużo książek. Czy zdarzało się je wyrzucać, kiedy się już nie mieściły?**

Nie z powodu braku miejsca. Nie przypominam sobie, żeby Ryszard kiedykolwiek pozbywał się jakichkolwiek książek. Każda książka miała dla niego swoją cenę, wagę, historię. Chyba, że np. jakiś egzemplarz był już bardzo mocno zniszczony, a w międzyczasie dostawał nowe wydanie, to wtedy ewentualnie pozbywał się starego egzemplarza. Nigdy jednak nie było to pozbywanie się książek w sposób lekceważący. Zdarzało mu się przekazywać je do bibliotek szkolnych. Gromadził i gromadził. Pytałam nawet architektów, czy stropy wytrzymają te tony książek. Ciągle przybywało nowych. Zresztą, teraz ja też ciągle dostaję jakieś nowe książki.

❖ **Ryszard Kapuściński wychowywał się w Pińsku (obecna Białoruś – przyp.). Były to czasy wojny, a co się z tym wiąże – głodu i ogromnego ubóstwa. Czy kiedy mąż stał się osobą znaną, starał się w jakiś materialny sposób zrekompensować tamte czasy?**

Ryszard był osobą niezwykle skromną. Jedyne, co uwielbiał kupować – to buty. Polesie było regionem bardzo biednym, a podczas mroźnych zim w czasie wojny Ryszard często nie miał butów. Trauma, jaka powstała w umyśle 10-letniego wówczas chłopca ciągnęła się latami. Kiedy już mógł sobie pozwolić na swobodny zakup obuwia, to miał z 10 par butów – od sandałów po półbuty. Uwielbiał je kupować, nie lubił wyrzucać.

❖ **Oboje Państwo byliście bardzo zapracowani i nie mieliście zbyt wiele czasu dla siebie. Czy jednak w wolnym czasie uprawialiście Państwo wspólnie jakąś pasję? Czy mąż lubił np. tańczyć?**

O tak. Wspólnie tańczyliśmy tango. Ryszard nie lubił tańców rytmicznych, a tango było tańcem dostojnym, chodzonym, drobił więc małymi kroczkami. W młodości dużo tańczyliśmy, nastrojowa muzyka była mu potrzebna.

❖ **Jak długo byliście Państwo małżeństwem?**

55 lat... kawał czasu.

❖ **Ryszard Kapuściński jest zawsze ukazywany jako osoba ciepła, dobra, otwarta. Czy Państwo kiedykolwiek kłóciliście się, czy mąż był osobą nerwową?**

Pewnie, że się kłóciliśmy, bo czy można w małżeństwie w ogóle nie sprzeczać się i nie poróżnić? Nie było to jednak nic takiego, co zagrażałoby naszemu związkowi. Jego częste wyjazdy nas scementowały. Stęskniliśmy się za sobą i czuliśmy najpierw niepokój, a potem radość z powrotu. Wobec tego nowe doświadczenia pomagały nam nawzajem się rozumieć. Byliśmy normalnym małżeństwem. Dobrym małżeństwem.

❖ **Co denerwowało Pani męża w ludziach? Jakie cechy charakteru, czego nie mógł znieść?**

Denerwowało go, kiedy ktoś zwracał mu głowę, a on chciał pisać (śmiej). Mawiał wtedy „złodzieje czasu!” i było to dla niego nie do zniesienia. Nie lubił fałszu, nieuczciwości, ponieważ sam był człowiekiem prostym, skromnym i uczciwym. Ogromnie więc nie znosił tego typu zachowań. Zawsze wiedziałam, że jeśli wygłasza pogląd na jakiś temat, można mu ufać, ponieważ opinia ta jest głęboko przemyślana. Starał się być dla wszystkich ludzki, uczciwy i życzliwy. Wszędzie przekonywał się, że sprawdza się to w stosunkach międzyludzkich. Zawsze mawiał, że nie ma kultur wyższych i niższych, wszystkie są równorzędne i równie ważne. Nie tolerował więc właściwie wszystkiego, co było

przeciwieństwem tych jego poglądów. Właściwie to same dobre rzeczy można o nim powiedzieć i to nie dlatego, że go już nie ma, ale dlatego, że taki po prostu był.

❖ **Bardzo dobrym człowiekiem...**

Tak, dokładnie.

**ROZMAWIAŁA: MARTYNA SKROK
SIENNICA RÓŻANA, 30.06.2009 R.**

U NAS LUDZIE SĄ TAKIE ZGRANE!

– Co ci to? na *Mroden* –oro, co ci to, *Motruno*! A! gadziowie przekłęci – rzekł, przypominając sobie w gniewie język cygański – już ci coś zrobili!

I pięć ściśniętą podniósł do góry.

– Klnę się – dodał – że już dłużej nie wytrzymam; sam zginę, ale wieś pójdzie z dymem w popiół, za łzy i krew naszą! Niech pogina jak szukela (pies), kiedy jak szukela nie mają serca!

To mówiąc *Cygan*, którego oczy gorzały, tak był straszny wściekłym gniewem, że się *Motruna* aż cofnęła, żegnając mimowolnie.

– A *Tumry mój!* – zawołała – czegoż się gniewasz i grozisz? Nic się nie stało naprawdę, nic, mój kochany...

Historię miłości *Cygana Tumrego* i wiejskiej dziewczyny *Motruny* opowiadają mieszkańcy *Siennicy Różanej*. Na scenie *Teatr Pokoleń*: pięćdziesięciu dwóch aktorów w strojach ludowych i sukniach cygańskich. Najmłodszy ma sześć lat, najstarszy siedemdziesiąt cztery. Na widowni: około tysiąc widzów. Trwa premiera „*Chaty za wsią*” na motywach powieści *Józefa Ignacego Kraszewskiego*.

LECHO

– Próby do spektaklu trwały niemal cztery miesiące – podkreśla **Leszek Proskura**, wójt gminy *Siennica Różana*. – Społeczność stworzyła piękną rodzinę.

– Bo u nas to tutaj ludzie są takie zgrane! – dodaje **Krystyna Winiarczyk**, poetka ludowa. – Kultura na wysokim poziomie jest! A i wójt dobry, dba, tutaj bardzo dba.

Bo *Leszek Proskura* dorastał w *Woli Siennickiej*. Jako dziecko pomagał rodzicom w gospodarstwie. Do podstawówki w *Siennicy Różanej* chodził polną drogą. Ale kiedy lekcji i pracy nie było, grał w piłkę na pastwisku. Albo stawiał szafas w sadzie i chlapał się w rzece. Z tego okresu mile wspomina biwaki harcerskie, na przykład w *Suścu*, gdzie z plecakiem pełnym prowiantu chodził szlakiem szumów na *Tanwi*. A kiedy już mleko pod nosem młodego *Proskury* obeschło, to rowem bądź piechotą na zabawy chodził. Niedługo potem skończył szkołę średnią w *Lubyczy Królewskiej*. Na jakiś czas opuścił rodzinne strony, by wrócić w roku osiemdziesiątym.

– Był jeszcze PRL, gdzie wszystko było centralnie sterowane – mówi. – Nikt się nie przejmował inwestowaniem. Dopiero ten samorząd zmienił oblicze gminy.

Był rok dziewięćdziesiąty, kiedy *Proskurę* na wójta wybrali.

Władysław Sobieszczuk: – *Lecho* wpisał się tu jako miejscowy, chociaż nie w *Siennicy*, a w *Krasnymstawie* teraz mieszka.

Marian Cichosz, były wojewoda i wiceminister sprawiedliwości, działa w *Stowarzyszeniu Miłośników Ziemi Siennickiej*: – Jak po wyborach parlamentarnych w dziewięćdziesiątym czwartym roku wojewodą chełmskim zostałem, to współpracowaliśmy z *Lechem*, żeby coś dla *Siennicy* zrobić, w tym salę gimnastyczną przy szkole.

Krystyna Winiarczyk: – *I zalew zrobił*, bo przecież tu takie chaszczce byli, trzcina pozarastane.

Marian Cichosz: – *Gmina* otrzymała wyróżnienie jako gminy przyjaznej środowisku.

Leszek Proskura: – Bo nasze pierwsze kroki były skierowane na ochronę środowiska. To było coś nowego. Były wtedy organizowane konkursy przez *Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej*. Praktycznie żadnego nie omijaliśmy, bo chcieliśmy pozyskać dotacje na nasze działania. I tak mamy oczyszczalnię ścieków, wodociągi – podkreśla, by po chwili mówić i o tym, że to gmina

typowo rolnicza. Że dosyć biedna. Choć ziemie dobre, klasa czwarta. Na polach: pszenica, rzepak, buraki... Ale w najbliższych latach przemyśl może ruszyć. – Bo przystąpiliśmy do programu „Gmina przyjazna inwestorowi”. Są ulgi w podatkach, pomoc urzędników w przygotowaniu cykli inwestycyjnych – dodaje i dalej mówi, że mieszkańcy gminy są aktywni. Że jest osiem jednostek straży, która społecznie pracuje. Wspomina i o aktywnej grupie kombatanów. No i trzynastu Kołach Gospodyń Wiejskich, które pozytywnie rywalizują między sobą.

– Bo już przed wojną były tu żywe Koła Gospodyń Wiejskich – wtrąca Władysław Sobieszczyk, mieszkaniec gminy i regionalista z zamiłowania. – Było też tutaj dwóch tkaczy. Wieczorem kobiety przędły len na nici. Siennica Różana jako pierwsza w zaborze rosyjskim zorganizowała Kasę Spółdzielczą. To wzajemne ratowanie się w trudnych sytuacjach życiowych. Orkiestra dęta była. Taki organista Czerwieniec był w tamtym czasie. To byli ludzie oddani sprawie jednoczenia się. Zaangażowanie mieszkańców zawsze duże było, na przykład przy budowie remiz strażackich: we Żdzannym, w Wierzchowinach, Zagrodzie, Siennicy Różanej, Maciejowie, Woli Siennickiej, na Małej Siennicy, w Dużej Siennicy – to osiem remiz. Możemy dziś powiedzieć, że to jest osada, wcześniej był to dwór. Dziś ostał się tylko pusty pałacyk po ostatnim właścicielu – Koszarskim.

ŚWINKA PROBOSZCZA

Kiedy **Jerzy Koszarski** majątkiem w starym parku zarządzał, a ksiądz Terebus gospodarzył na plebanii, **Stanisław Dzik**, ojciec Krynstyny Winiarczyk był stróżem przy kościele.

Ksiądz miał i konie, i świnie, a nawet krowę. Któregoś razu zwrócił się do stróża z prośbą: – Panie Stanisławie, pan mnie zagoni świnę do kawalera, bo chce matką być świnia.

Wolę księdza wypełnić wypadało: – Dobrze proszę księdza – odpowiedział pan Stanisław.

Na skróty pójść nie można, bo przez plac dziedzica Koszarskiego przejść by trzeba.

– Jak ja z nią tak daleko dojdę? – głowił się stróż.

Miał już iść naokoło, kiedy spostrzegł otwartą bramkę boczną, prowadzącą na plac dziedzica. Ową furtką chadzała pokojówka, która w pałacu Koszarskiego sprzątała.

– A pójde na skróty – pomyślał. – Bo i ja się zmęcze, i świnia się zmęczy. Jeszcze mi padnie na drodze.

Po chwili wahania otworzył furtkę. Nie zdążył przejść, bo dziedzic wyszedł na balkon. Zmierzył stróża wzrokiem i zaczął krzyczeć: – Ty durniu, ty chamie, tędy nie wolno ludziom chodzić, a ty ze świnia idziesz?!

Dzik podniósł głowę i tak mówił: – Panie jaśnie dziedzicu, przychodzi pan dziedzic do księdza proboszcza w gościnę, to wie, że ja jestem stróżem przy kościele. I to jest świnia księdza proboszcza. Jaśnie dziedzic spyta księdza. Ale tak daleko boję się iść, żeby świnia mi nie padła, jak się zmęczy. I ja tędy takem się odważył iść.

Wtem dziedzic się zmitygował, bo usłyszał, że świnia proboszcza: – To, panie Stanisławie, proszę iść – powiedział, zmieniając ton głosu.

Na to Dzik: – To dziękuję bardzo jaśnie dziedzicowi, żem z protegi księdza świni pół alei dziedzica przeszedł.

I tak pan Stanisław świnę zaprowadził, po czym wrócił tą samą trasą.

Z powodu zadłużenia folwark rozparcelowano w tym samym roku, kiedy z połączenia PSL Piast i PSL Wyzwolenie powstało Stronnictwo Ludowe. Podczas okupacji hitlerowskiej we dworze Niemcy urządzili posterunek SS.

RAZOWIEC

Władysław Sobieszczyk wychował się w Siennicy Królewskiej Dużej w domu z dwudziestego ósmego roku. Nowoczesnym jak na tamte czasy: z kuchnią i dwoma piecami chlebowymi. Były też dwie izby, komora i sień z kuchnią letnią. Choć zamiast podłogi – klepisko.

Był kilkuletnim chłopcem, kiedy światowa wojna wybuchła: – Wspomnąc sobie trzydziesty dziewiąty rok...

Wojska niemieckie były już coraz bliżej. Ludzie gadali, że za Krasnymstawem Niemcy rozstrzelali mężczyzn. Widzieli i to, jak za

uciekającym oddziałem polskich ułanów unosiły się tumany kurzu. I mieszkańcy uciekali. Rodzina Sobieszczuków drabiniastym wozem pojechała na Maciejów, gdzie została na kilka dni. Pan Władysław widział jak jakieś dwieście metrów dalej rozbrajało się pięciu polskich żołnierzy. Smutnymi oczami dziecka patrzył jak zdejmowali mundury. Niedługo potem dwóch żołnierzy matkę pana Władysława o ubranie prosiło. Pani Sobieszczuk podała koszule, spodnie i marynarki z męża.

Sobieszczukowie mieli już wracać do domu, ale zanim wsiedli na wóz, matka jeszcze zdążyła upiec chleba razowego. Ciemnego i popękanego. Ruszyli w drogę. Żołnierze w cywilnych strojach szli obok. Jeden krowę prowadził. Drugi niósł dziecko na rękach. Albo wiadro z mlekiem. Koła wozu wolno toczyły się po drodze polnej, bagiennej i wyboistej, kiedy usłyszeli jak padła seria niemieckich strzałów w pobliskim lesie. I we wsi Niemcy byli wszędzie. Byli już prawie na miejscu, kiedy gestapowcy zatrzymali wóz i zażądali chleba. Kobieta podała razowiec. Niemiec się zaśmiał, po czym zaniósł chleb do swoich kamratów. Jeden drugiemu podawał, oglądali i śmiali się. Po jakimś czasie bochenek zwrócili i pozwolili odjechać. Ale na podwórku Sobieszczuków było już zielono od niemieckich mundurów. Kuchnia dymiła, bo zupę gotowali.

– My na swoim, a nie na swoim. Tak było – mówi pan Władysław.

ŻYDÓWECZKA

– Niemcy byli wszędzie – dodaje Krystyna Winiarczyk. Pamięta, bo miała wtedy pięć lat. Żałuje, że nie urodziła się jakieś pięćdziesiąt lat później.

Pamięta jak butów nie było. Bo kiedy przed lekcjami pasła krowy w lesie, to grzała bosc stopy w krowich sikach.

– Potem moja starsza o sześć lat siostra uplotła słomiaki z przędzy – wspomina. Z kolei do szkoły jak nie boso, to chodziło się w drewniakach robionych przez Niemców. Podeszwa sztywna i gruba. Żeby nie można było uciekać, jak będą chcieli kogoś złapać.

Z okna domu pani Krystyna widziała jak Niemcy strzelali do Żydów. Słyszała jak trzynastoletnia Żydóweczka krzyczała przeraźliwie: – Gwałt mama, gwałt!

Bo gestapowcy zabrali jej matkę i do rozstrzału prowadzili.

– Niemiec ranił Żydóweczkę – opowiada pani Winiarczyk. – Potem sołtys wyznaczył mojego ojca i sąsiada żeby tych Żydów zakopać. Wykopali dół. Był duży, bo na czternaście ludzi. Bierą ciała: ojciec za nogi, ten pod pachy. I rzucają do tej mogiły. Ojciec podchodzi do tej Żydóweczki, a ona się odzywa: „Boli, boli...” Ojciec mój był w niewoli niemieckiej cztery lat. Umiał po niemiecku i mówi, że dziewczynka jeszcze żyje. Ale Niemiec każe kopać i rzucać do mogiły. To mój ojciec mówi, że jemu serce i sumienie nie pozwolą, żeby takie młodociane dziewczynkę zakopać żywe. Przyszedł, przyłożył tu do skroni... – tak to ojciec opowiadał mamie, a ja słyszałam – i dobił ją.

JAJKO

Ojciec pani Krystyny zwykł siadać na stołeczku. Na kolanach trzymał deskę, by nożykiem pożyczonym od szewca przekroić zapałkę na pół.

– Tato, cio ty robisz? – pytała córka.

– Dzielę zapałkę, żeby mama jedną zapałką dwa razy ogień podpaliła.

We wsi sklepu nie było. Ale po sąsiedzku mieszkała żydowska rodzina. Muszkowa sprzedawała sól i zapałki. Jedna paczka za dziesięć jajek. Któregoś razu Dzikowa, zawinawszy jajka w chustkę, wysłała córkę po zapałki. Po drodze jajko się zbiło. Dziewczynka mówiła, chlipiąc: – Muszkowo, tu mama dała dziesięć jajek, żebyście zapałek dali... Ale się zbiło.

Na to Muszkowa: – Nie płacz Krysiu, ja ci za dziewięć jajek dam paczkę zapałek.

– Bo żyli w symbiozie: Polacy, Żydzi i Ukraińcy – wtrąca pan Władysław, a pani Krystyna dalej wspomina jak to Muszkowa zwykła do Dzikowej mówić: – Dajcie mi tej swojej córeczki najmniejszej. Bo moje pojechali na szabas, a ja się boję sama spać.

Bała się o majątek. Żeby jakiegoś napadu nie zrobili. Podczas tamtych wieczorów pani Krystyna co raz pytała Żydówkę: – Muszkowo, czy macie mace?

– Z tą Muszkową spałam i ona mi zawsze dawała tej macy – dodaje po latach..

– Był czterdziesty, bodajże, drugi rok jak nie było ani mleka, ani grochu czy słoniny – opowiada pan Władysław. Pamięta jak ojciec zbierał kłosa żyta, które dojrzałe. Łuskało się, gotowało i jadło.

No i kontyngent Niemcom trzeba było oddawać.

S O S N A

Tamtego dnia wiatr poruszał drzewa, a promienie słoneczne oświetlały okolicę. Dochodziła trzecia, jak na podwórko Sobieszczuków wbiegł pies w towarzystwie Sosny, swojego pana. Niektórzy mieszkańcy gminy mówili, że Sosna to Niemiec. Inni, że Poznaniak. Byli i tacy, dla których był Ślązakiem. Ale wszyscy byli zgodni co do jednego: zbrodniarz. Pan Władysław miał jakieś jedenaście lat. Tamtego dnia bawił się z bratem. Ojciec był w polu, w burakach. Matka została z synami. Siedziała przy suszonych wiązkiach lnu, kiedy Sosna spytał:

– A gdzie mąż jest?

Odpowiedziała, że w burakach.

– Daleko stąd?

– Jakieś pół kilometra.

– A czy mleko jest?

– Mam zsiadłe mleko i bułkę.

– To dawać tutaj.

Kobieta wpuściła Sosnę do kuchni. Pies biegał po mieszkaniu i węszył, kiedy jego właściciel jadł.

– Czy kontyngent oddany? – spytał Sosna.

– Jeszcze pięćdziesiąt kilogramów zostało, ale my to oddamy – odpowiedziała kobieta i dalej tłumaczyła, że w maju dopadło ją zapalenie płuc. – Ale w ciągu tygodnia, dwóch wszystko będzie oddane – zapewniała.

Ale Sosna rzekł tylko, ku zdziwieniu kobiety: – Nie oddawać! Dla dzieci na chleb pozostawić. I nikomu się nie tłumaczyć.

Niedługo potem wyszedł. Nie upłynęły jeszcze dwie godziny, a po wsi szybko rozeszła się wieść: Wolski zabity.

Okazało się, że mężczyzna siedział na ganku z sąsiadem, kiedy podszedł Sosna i spytał: – Wolski jest tutaj? Pan Wolski, czy pan?

– Ja – odezwał się.

– Proszę za mną – powiedział Sosna i wyprowadził mężczyznę na pobocze. Oddał dwa czy trzy strzały. Wszystko się działo jakieś trzysta metrów od podwórka Sobieszczuków. – To jeszcze do dzisiaj widzę na tym poboczu i na skarpie krew tego Wolskiego – mówi cicho pan Władysław, po czym dodaje: – Kazał zakopać ciało za płotem. Nie wolno jego było pochować na cmentarzu. Dopiero na wiosnę hakami wyciągnęli ciało i złożyli na cmentarzu.

Prawdopodobnie była przygotowana zasadzka na Sosnę, w lesie przed Siennicą Dużą. Podobno zbrodniarz jechał rowerem. Wykonawca wyroku miał siedzieć na drzewie. Ale strzały nie padły. Mówi się, że pistolet maszynowy się zaciął. Inni tłumaczą, że Sosna był wysoko ubezpieczony. Gdyby został zabity, Niemcy zlikwidowaliby nawet kilka wiossek.

M A R T E N S

Bywali też inni Niemcy, jak Martens, który nic nie mówił na przykład wtedy, kiedy partyzanci rekwirowali świnie czy konie.

Był sierpień czterdziestego drugiego roku, kiedy Niemcy spędzili pod kościół ludność z Siennicy Różanej i Baraków. Majątkiem zarządzał Martens. Karabiny maszynowe stały już rozstawione. Natenczas Martens nadszedł. Niemcy mieli już strzelać, kiedy administrator zaczął tłumaczyć: – Tutaj bandy nie ma. A jeżeli napadają, to bandy z zewnątrz.

Do masowej egzekucji nie doszło. Co dziesiąty Polak został wybrany i wywieziony do obozu koncentracyjnego na Majdanku, do Dębicy albo Oświęcimia. Zginęli tam między innymi: **Franciszek Krawiec, Józef Wierzchoś, Czesław Płachecki, Franciszek Mróz, Michał Jakubiec.**

Martens wyjechał. Ale korespondował z fornalami. Pisał do sienniczian, których bliżej znał.

Dziś w centrum Siennicy Różanej, wśród drzew, stoi obelisk. Pomnik pamięci żołnierzom Wojska Polskiego, poległym w obronie ojczyzny w walce z Niemcami w trzydziestym dziewiątym, odsłonięto niespełna rok temu. – Z naszej gminy bodajże sto dwadzieścia obywateli pochodzenia polskiego zginęło – mówi pan Władysław. – Droge w kierunku Siennicy Małej myśmy nazywali drogą śmierci, bo Sosna zastrzelił tam wiele osób.

LEMONIADA NA SZKLANKI

– Za komuny było już lepiej, jakby nie było – podkreśla pani Krystyna. – Dokonali reformy rolnej. Nie ma już dziedziców. I szkoła stoi na Koszarskiego dziedzica placu, i ośrodek zdrowia, i urząd. Stypendia byli. Ni telewizora, ni radia nie było. Wtedy ojciec koleżanki zrobił ławeczkę z sośniaka i się śpiewało: „Upływa szybko życie, jak potok płynie w dal...”

Miała lat naście, jak na wiejskie zabawy zaczęła chodzić.

Krystyna Winiarczyk: – To tam nie szła, jak dziś, dziewczyna z chłopcem.

Władysław Sobieszczuk: – Całą grupą się szło. I wracało. Kawaler podstrzyżony, marynarka i krawacik, buty oficerki, na nogach bryczesy. Jak panna usiadła na kolanie, to się mało nie skaleczyła, tak wyprasowane były. A panienki! Bluzeczka, spódniczka granatowa bądź czarna w kolano. Ach!

Krystyna Winiarczyk: – Modne wtedy były, a dzisiaj babki spodnie założyły, by w rządzie ważniejsze były. Ale babka, gdy zaszczecka – zamknie uszy i ucieka.

Władysław Sobieszczuk: – Orkiestra grała w lesie, na przykład „Walczyka na falach Dunaju”. Pachniało żywicą i ziołami. Zabawy rozpoczynały się o drugiej po południu, a kończyły o dziesiątej albo jedenastej. Na Jana w Siennicy był odpust. Kramarz szedł do rzeki albo studni, proszek wyspał, zamieszał i sprzedawał lemoniadę na szklanki. Drugi kielbasę wę-

dził. Dwóch, trzech kawalerów brało butelkę, kielbasę i szli na bok. Panienka co najwyżej szczypkę bądź lemoniadę miała.

ŚWIATŁOWÓD

Po wojnie pani Krystyna dwa lata piechotą chodziła do gimnazjum do Krasnegostawu. Zegara nie było. Miała jakieś szesnaście lat, jak: – Raz zeszedł księżyc – mówi. – Myślałam, że dzień się robi. Zerwałam się do szkoły. Zachodzę na Królewską Siennicę, a to się ciemno zaczyna robić. A Kazia, moja koleżanka tam mieszkała. Patrzę: świeci się u niej światło. Było w pół do pierwszej w nocy. Mówię do jej matki: „Kienowo, ja nie wiem która godzina. Boję się iść, bo tam dalej las.” Ona na to: „Dziecko moje, Kazia randkuje. Jej narzeczony będzie szedł na szóstą do pracy, bo w więziennictwie pracuje, to z nim pójdziesz.”

– Kiedyś światła, gazu nie było – mówi pan Władysław. – Droga z Krasnegostawu bita była do końca Siennicy Dużej, a stamtąd, do kościoła, to był bruk.

Leszek Proskura: – Dzisiaj dzieciaki autobusami dowozimy do szkoły.

Anna Fornal: – Nasza gmina pięknieje z każdym rokiem.

Leszek Proskura: – Jest to jedna z nielicznych gmin, gdzie rolnicy mogą nieodpłatnie wywozić śmieci na gminne wysypisko odpadów, takie z prawdziwego zdarzenia.

Anna Fornal: – Wójt: młody i prężny.

Władysław Sobieszczuk: – Wszystko idzie w dobrym kierunku. Jest dobra współpraca w zarządzie gminy.

Leszek Proskura: – Tego nie zmieniłyby same władze. Mamy wspólnych ludzi na terenie gminy. Myślą i o swoich sołectwach, i o całej gminie. Jak się trzeba było brać za robotę, to i komitety społeczne powstawały, na przykład przy inwestycjach: wodociągi, kanalizacja, gazyfikacja. Trzeba było przez każdy podwórek przejść.

Wójt przyznaje, że bywało tak, że rolnicy o miedzę się kłócili. Bo wartość ziemi wzrastała.

Bywało i tak: jak rolnik podpisał umowę, a później się z niej nie wywiązywał. – Kładliśmy światłowód i tylko jeden rolnik w całej gminie nie zgodził się, żeby przez jego ogródek światłowód przeszedł – przyznaje wójt. – Musieliśmy przeprojektować i puścić światłowód pasem drogowym – uśmiecha się, by po chwili dodać, że takie przypadki można na palcach jednej ręki policzyć.

OKULARY Z DRUTU

– Siennica Różana nie jest przeciętną, małą gminą – mówi Anna Fornal, prezes Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Siennickiej.

Anna Fornal, skończywszy studia polonistyczne w Lublinie, została nauczycielką w tutejszej szkole. Niedługo potem wyszła za mąż. W Siennicy mieszka już pięćdziesiąt lat. Mówi, że ludzie tu zawsze byli przychylni. Że przyjemnie się pracowało: – Była współpraca pomiędzy nauczycielami i rodzicami uczniów. Lubiłam tych uczniów, którzy nabroili i potrafili przeprosić. Kiedyś wzrok mi się zaczął psuć i okulista przepisała okulary. Zdzisio, mój uczeń, zrobił sobie okulary z drutu. Włożył na nos i chodził z rękami założonymi do tyłu jak ja. Mówię: „Zdzisiu, może zepsułam sobie wzrok na waszych błędach jak poprawiałam zeszyty. A ty się śmiesz z tego.” Zdjął okulary i wyrzucił do kosza – uśmiecha się.

Pani Anna Siennicę polubiła i pięć lat temu razem z innymi zakochanymi w gminie założyła Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Siennickiej: – Bo była grupa ludzi, która popierała ten pomysł: i ośrodek kultury, i sołtysi z poszczególnych wiosek. I społeczeństwo zareagowało pozytywnie.

Marian Cichosz: – W stowarzyszeniu działałam od momentu powstania, z doskoku tak. Bo mieszkam w Lublinie, wcześniej byłem w Warszawie. Ale przyjeżdżam tu na spotkania. Myśmy zainicjowali patronat nad „Chatą za wsią”. Ale nie pieniądze się liczy, a wsparcie i stworzenie dobrej atmosfery.

Anna Fornal: – Teraz przyjeżdżają do nas sławni artyści, w tym **Wojciech Siemion**, grała Orkiestra św. Mikołaja.

Marian Cichosz: – W Siennicy jest grono ludzi, które mnie osobiście przyciąga, bo ja nie urodziłem się w tej gminie. Tu jest dobry klimat na rzecz działania dla młodego pokolenia. Dawanie dobrych wzorów, czyli właśnie tego społecznikowskiego działania. Jest wójt, pani Kielbasa – malarka, pani Winiarczyk...

CZARNY KOT

Krystyna Winiarczyk ma siedemdziesiąt pięć lat. W pięćdziesiątym czwartym roku wyszła za mąż. Urodziła trzech synów i córkę. Dziś mieszka z synem i synową w Siennicy Różanej. Niedaleko kościoła. Na schodach z betonu, przy drzwiach wejściowych do mieszkania, wygrzewa się czarny kot. Na podwórku słychać warkot kosiarki. Pani Krystyna robi porządki. Ale pracę przerywa i wychodzi przed dom. Siedząc na krześle pod drzewem, opowiada o dzieciństwie i latach młodości w czasie komuny. Nawet kot, ten sam, który siedział na schodach, przysłuchuje się słowom staruszki. Bo gdyby urodziła się pięćdziesiąt lat później, mogłaby mówić inaczej, tymczasem snuje swoją historię. Wie, co to głód. Matkę straciła jak była młoda. Potem dwóch synów pochowała: jeden zginął w wypadku, drugi w wojsku był majorem i umarł na zawał serca, bo mu żonę utopili w zalewie. Mówi, że jej poezja jest szara i prosta jak jej życie wieśniacze. Spogląda pytająco spod fioletowego beretu i mówi:

Czy szczęście kiedyś zapuka do mnie?

Czy ja go w życiu zobaczę?

*Ach w jaką godzinę to nieszczęśliwą matką mnie zrodziła,
że życie pełne troski, żalu.*

Po co godzino wybiłaś?

*Świat mi poskąpił majątku, piękności, wszystkiego, co w życiu się
szczęściem zwie,*

i często siedzę w skryciu, samotnie na papier przelewam żale swe.

I żyję na świecie już tyle lat, dźwigam ciężar losu swojego,

lecz kryje się w sercu nadzieja ducha, że zabłyśnie dzień szczęścia mojego.

*I wtedy znajdę dla serca ukojenie i będę mogła coś światu dać,
Bo jedynie ta kartka i skromny ołówek, mogą w moim życiu szczęściem
się stać...*

Pani Krystyna wydała trzy tomiki: „Kosz nieboskłonów”, „Białej malwy kwiat” i „Zbieram poezję jak w ogrodzie kwiaty”.

– Fraszki piszę, piosenki, przyśpiewki ludowe. Jak u nas taki kapelmistrz był, trochę starszy był ode mnie, to ja im pisałam teksty do kapeli. No i o wsi dużo piszę:

*Kocham swoją wioskę rodzinną: pola, łąki, gaje.
I poranną zorzę, co o świcie wstaje.
Kocham te ogródki różami usłane,
kocham swoją wioskę: Siennicę Różaną.
I rzekę Sienniczkę, która obok płynie,
ma rodzinna wioska tak daleko słynie.
Tutaj ojciec, matka lata swe przeżyli,
mnie w rodzinnej wiosce uczucia wszczepili.*

CZY TO W SEJMIE, CZY W SENACIE

I były wiceminister Siennicę lubi, bo można się tu zaszyć: – Mam tu działeczkę. Przyroda nieskażona – mówi, by po chwili dodać, że zauroczony tutejszą przyrodą, jak pani Winiarczyk, wiersze pisze:

*Czapla siwa i bocian chodzą tutaj razem
jak dwa dobre braty.
Wyskoczył lis z nory i lasica w ciemne łąty,
wygrzewa się w słońcu czerwcowym.
Czas sianokosów w Siennicy zawitał,
czas to piękny, wspaniały, pachnący
Macierzanką i czeremchą, jak powój dziko rosnący,
cieszy oko zbląkanego wśród borów wędrowcy.*

Cichosz polityki nie lubi: – Pracowałem w prokuraturze, bo skończyłem prawo na UMCS. To były lata komuny. Nie chciałem być w partii. Ponieważ trzeba się było zapisać, to wstąpiłem do ZSL –u, co było wyjątkiem w prokuraturze. Ale niczego nie żałuję – dodaje. To poprzez działalność w ruchu ludowym spotkał Leszka Proskurę.

– Sprawiał wówczas wrażenie człowieka zorganizowanego, wyważonego, a jednocześnie przyciągał swoją osobowością i zainteresowaniem wieloma problemami – tłumaczy.

Zaprzyjaźnili się. Niedługo potem Cichosz został wojewodą chełmskim. Później wiceministrem sprawiedliwości: – CBA nielegalnie założyło mi podsłuchy. Śledztwo do tej pory się toczy. W styczniu odszedłem razem z ministrem Cwiąkalskim. Byłem jego pierwszym zastępcą. Cichosz nie lubi o tym mówić i uparcie powtarza, że polityka go mierzi: – Bo demokracja nie polega na tym, żeby robić karierę dla siebie. Tylko robić coś dla ludzi. To, co jest tu w Siennicy powinno pączkować. Trzeba zacząć od drobnych spraw: jak widzę, że jest śmietniczka, to nie wyrzucam papierka na ulicę. Tych nawyków nie ma w polskiej mentalności. Pewnie i w tej gminie znajdą się tacy ludzie, którzy rzucą papierka na ulicę, bo to nie jest enklawa. Ale większość mieszkańców reaguje pozytywnie. Tu w Siennicy Różanej jest przykład tego, co się w socjologii i politologii społeczeństwem obywatelskim nazywa.

Krystyna Winiarczyk od polityki nie stroni. I śmiało komentuje wierszem polskie realia.

– Bo ja dużo satyry piszę – uśmiecha się. – Ostatnio to mówiłam tak po chuligańsku:

*Czy to w sejmie czy w senacie,
nie popuścisz z pasa bracie.
Bo gdy chłop ci chleba nie da,
wszystkim w oczy zajrzy bieda.
Co chłop chce, trzeba mu dać,
bo będą kiszki marsza grać,
A gdy kiszki marsza zagrają,*

*to wam portki pospadają.
Posadzili was na stołki,
uważajcie, bo pod stołkami kopią dołki.
A gdy nóżka w dołek wpadnie,
spaść ze stołka to nieładnie.
Już zajęte wszystkie stołki,
siedzą na nich te pacholki.
A dla ciebie chłopie stołka nie ma,
cała nasza polska ziemia.*

REJ W BABINIE

Krystyna Winiarczyk ostatniej zimy napisała sześćdziesiąt cztery wiersze. Chodzi na spotkania autorskie i pisze dalej.

Marian Cichosz razem z synem będzie prowadził kancelarię prawniczą w Lublinie. Niedawno wydał tomik wierszy: „Modlitwa o miłość do wrogów”.

Władysław Sobieszczuk ma niespełna siedemdziesiąt osiem lat, gospodarstwo: trzy hektary i dzierżawa. Na emeryturze czyta książki. O historii swojej gminy może mówić godzinami.

Anna Fornal dzieci nie ma. Mąż zmarł. – Miałam wyjechać do Wrocławia, ale jakoś nie bardzo mi się chce – mówi. Bo i Siennicy, i Stowarzyszenia nie zostawi, bo tradycję trzeba kultywować i mówić o ludziach związanych z Siennicą.

Leszek Proskura nadal prężnie wójtuje w gminie. Nie tylko pozyskuje środki na kolejne inwestycje, ale duchem i sakiewką wspiera inicjatywy mieszkańców. Często powtarza, że to działalność kulturalna zawsze integrowała tutejszą społeczność.

Bo „Chatę za wsią” wystawiono w Siennicy już w latach sześćdziesiątych. – Ale teatr grali jeszcze przed wojną – podkreśla pani Krystyna. Był rok tysiąc dziewięćset trzynasty, kiedy **Franciszek Zaraza** założył Teatr Amatorski. Przygotowano dwie sztuki „Na przekór” i „Łobzowanie”. Premiery nie było. Ale już w roku siedemnastym wznowiono kolejne próby. Wystawiono między innymi: „Walkowe kochanie”, „Za-

ręczyny Jagny”, „Ojcowiznę” i „Swatów”. Po drugiej wojnie światowej na jakiś czas teatr wznowił działalność. Po latach przerwy – był grudzień 2008 roku – Teatr Pokoleń z Siennicy Różanej ponownie wystawił sztukę „Chata za wsią”. Dzisiaj trwają kolejne próby. – Mieszkańcy pracują nad następnym przedstawieniem: „Rej w Babinie” – z dumą podkreśla Proskura. – Bo Rej tutaj żył, tutaj tworzył, tutaj się ożenił.

sierpień 2009

- **Gmina Siennica Różana leży w powiecie krasnostawskim w województwie lubelskim. Na jej terenie znajduje się czternaście miejscowości, m.in.: Siennica Różana, Siennica Królewska Duża, Maciejów, Wierzchowiny, Wola Siennicka, Zagrody, Baraki, Siennica Mała.**
- **Graficzna forma zapisu wierszy Krystyny Winiarczyk na podstawie recytacji autorki.**
- **Pierwszy fragment reportażu pochodzi z „Chaty za wsią” Józefa Ignacego Kraszewskiego.**

AGNIESZKA GÓRA

IWONA MAZUR

SZMUL – ZAPOMNIANY OGIEŃ SHOAH

POWRÓT DO ŹRÓDŁA

*„Zygielbojm Szmul Mordka**Rodzice – Józef i Hena Pinkier**Urodzony – 21 II 1895 w Borowicy, pow. chełmski,**Stan cywilny – żonaty, Maria z Rezonów**Dzieci – syn 22 lata, córka 22 lata, syn 11 lat*

...

Narodowość – żydowska”

Rozgrzane powietrze drgało i tańczyło na horyzoncie. Jak okiem sięgnąć zieleni. Zieleń i błękit nieba, z którego strumieniami lał się żar, jak z rozgrzanego kotła. Jaszczurki wylegiwały się na poboczu, łykając pożądliwie każdy powiew chłodniejszego powietrza. Ludzie ospale krążyli w swoich domostwach, rozleniwieni upałem, który pokonywał każdego. Zapytany przechodzień wskazał, gdzie są Kątki – część oddalonej o około 11 km od Krasnegostawu Borowicy, w której dawniej żyli Żydzi. Podążyłam razem z panią Dorotą – dyrektorem Gminnego Ośrodka Kultury, oraz z panią Lidią – nauczycielką języka polskiego w szkole w Siennicy Różanej, zgodnie z kierunkiem wyznaczonym przez palec tego człowieka i naszym oczom ukazała się droga polna zarośnięta szmaragdowo-zieloną trawą. Po lewej stronie była remiza, po prawej nieprzenikniony mur utka-

ny z dziko rosnącej tarniny i traw. Dalej zagroda pani Janiny Pawlas: białe, wielkie indyki podeszły na swych sztywnych nogach i przyglądały się z zaciekawieniem przybyszom. Psy zaszczekały na powitanie i uspokojone zaraz przez panią Janinę i jej córkę, zaczęły się łaścić przymilnie do nogi. Pani Janina – kobieta w starszym wieku, ubrana w spódnicę, podomkę i kolorową chustę, która zakrywała pasma siwych już włosów. Żywo patrzące niebieskie oczy zdradzały bystrość umysłu, zaś poorana zmarszczkami twarz dużo mówiła o doświadczeniach tej kobiety. Świerszcze grały do wtóru z piejącymi kolorowymi kogutami i z radosnymi trelami jaskółek.

– Czy pani pamięta jakichś Żydów, którzy mieszkali w Borowicy?

A tak, pewno, że pamiętam. Była tu karczma żydowska spalona przed wojną i dwa sklepy żydowskie. Żydzi żyli tu, żyli, dopóki Niemcy nie zaczęli ich zabijać. Pani, co to dla nich było zabić. Jak dla psa mucha. Nie mieli litości dla nikogo. Jeden sklep miał Szmul i jego rodzina – Esta, Hana i Sija. Drugi sklep miał Abel. On miał żonę i z nią wychowywał swoją siostrzenicę – Lolę. W czasie obławy zastrzelili ich, później Polacy wywieźli ich do lasu, żeby ich pochować. Po cichaczku. Niemcy często robili takie obławy. Jedna była 19 maja. Pamiętam dobrze, co się wtedy działo, bo mój brat Bernard zginął wtedy z ręki Niemca. Ktoś na szybko zbił trumnę z desek i urządzono pogrzeb. W czasie nabożeństwa Niemcy obstawili się dookoła wioski i później, po mszy, strzelali do ludzi i spędzili ich pod młyn. Żydów mordowano na miejscu, Polaka czasami puścili. Oj, pani! Zabić to dla Niemca było nic. Jak dla psa mucha.

– Jak wyglądał wasza codzienność, którą dzieliliście także z Żydami?

– Żyło się z Żydami normalnie, zgodnie. Mieli swoje pola pod remizą, praktykowali swoje obyczaje. Ludzie jak ludzie. Tylko w lesie pełno mogił.

Szmul, o którym wspomniała pani Janina to nie Zygielbojm. Jednak w takich właśnie warunkach dorastał, pośród innych ludzi dzielących ten sam los. Szerzej o stosunkach polsko-żydowskich tamtego okresu opowiedziała mi pani Irena, która w młodości mieszkała w wiosce nieopodal Borowicy.

– Co najbardziej utkwilo pani w glowie z tamtego okresu, co jest zwiazane z Zydami?

– Chodzila do szkoly podstawowej z Zydowka. Byla to skromna dziewczyna, bala sie wszystkiego. Dzieci czasami robily jej na zlosc, ale z natury nie ponizaly nikogo. Byla w domu tak nastawiona, zeby sie nie wyroznic. Mieszкала z rodzina koło kościoła, wtedy nazywano ten przysiółek Browarówka. Smutny był jej los. W co dziesiątym domu byli dziesiątnicy, którzy odpowiadali za porządek. Pilnowali, zeby partyzantów nie było. To Niemcy wprowadzili. Gdy wywozili jej ojca, podniósł się straszny lament. Zaprowadzili go do pałacyku w Różanej, córka szła za nim. Jego zabili i ją zabili. Mój ojciec był felczerem. Gdy wracał w listopadzie od chorego do domu zaczął o czyjaś nogę, nie widział wszystkiego dokładnie, bo jedno oko miał uszkodzone. To było ciało tej Zydówki.

– Czy mieszkali w pani wiosce inni Żydzi?

– Koło mojego domu, w sąsiedztwie, mieszkała też rodzina żydowska – mąż, żona i trzy małe córki. Żyli bardzo biednie. Ona materiały dorywczo donosiła za kurę czy jajka. W sumie we wsi było trzy rodziny żydowskie. Żydzi starali się nie narażać i ludzie tolerowali ich, ale za bardzo nie lubili. Wołali często „O, Żyd”. Po I wojnie światowej majątek dziedzica przeszedł w ręce państwa, w imię którego zarządzał administrator. Mój ojciec leczył administratora, jego rodzinę i służbę, i administrator pozwolił mu paść krowy na pastwiskach i łąkach do niego należących. Pasły się też tam krowy kowala, nauczycieli i Żyda Fawela. Czasami pastuch gnał krowę, czasami ja to robiłam. Pamiętam, że raz rasowa krowa nauczycielki szła pomału, a Żyd popędzał ją kijem i mówił przy tym „A nu, Matko Bosko”. On miał dwoje dzieci; dziewczynka miła sześć lat jak wybuchła wojna, chłopiec roczek. Fawel chciał oddać swoje dzieci na wychowanie, prosił, klękał, wołał: „Matko Bosko, Jezu, ja we wszystko wierzę!” Nikt dzieci nie wziął, bo ludzie się bali i Niemcy zabrali całą rodzinę. Był też taki Polak. Mówili na niego Fajeczka. On źle traktował Żydów. Miał nóżkę cielecą z kopytkiem i jak spotkał jakiegoś Żyda, to bił go nią.

– A jak Niemcy obchodzili się z Żydami?

– Żydów zabijano pod pałacem często. Chowano ich potem byle gdzie. Jeden jest pochowany w rowie, drugi w Dębince, trzeci koło stawiku w Siennicy. Niemcy nie znali litości.

– A czy Polacy pomagali Żydom?

– Taka Rudka wychowywała Zydówkę i ta dziewczynka dzięki temu przeżyła. Po wojnie jej rodzina wróciła i zabrała ją z powrotem do siebie. Było też pewne małżeństwo bez dzieci i wzięli sobie na wychowanie małe dziecko. Pewnego dnia przyszli Niemcy, wywelekli ich na dwór i ich zastrzelili. Dom podpalili i to dziecko się spaliło.

* * *

Szumul chciał ocalić takich prostych, niewinnych ludzi, którzy nie zasługiwali na los, jaki stał się ich udziałem.

Szukam informacji o Szmulu. Jestem w bibliotece w Krasnymstawie. Tam, dzięki uprzejmości pani dyrektor, otrzymałam książkę Andrzeja Rowińskiego zatytułowaną „Zygielbojma śmierć i życie”. Ta niepozorna, jasnożółta książka otworzyła mi oczy i umysł na wydarzenia sprzed lat, na cichych bohaterów, o których dzisiaj rzadko się mówi.

DZIECIŃSTWO – RAJ UTRACONY

Jak okiem sięgnąć – pola. Pola i las. Pozarastane trawą kawałki ziemi leżały spokojnie, szemrał wśród nich leniwie wiatr, jakby był duchem minionej epoki. Obok odłogów pyszniła się świeża, zielona trawa, a łany zboża falowały w takt melodii wygrywanej przez wiatr. W takim miejscu można odetchnąć pełną piersią.

Wioska wyglądała tak, jakby od stuleci nic się nie zmieniło, z wyjątkiem nowocześniejszych zabudowań i samochodów w miejsce furmanek. Nic dziwnego, że tak ciężko było opuszczać ten kawałek ziemi rodzinie Zygielbojmów, niemalże przed stuleciem.

Na to samo niebo, co ja, patrzył przed wieloma laty Abram Borowicer. Abram był arendarzem, miał młyn, ale przede wszystkim miał u ludzi szacunek. Jego rady cenił sobie dziedzic – dzisiaj już postać

traktowana jak z bajki. Dziedzic odwiedzał niekiedy Abrama i jego rodzinę i rozprawiali o uprawie roli oraz o innych wiejskich sprawach. Abram i jego druga żona Gołda mieli syna – Joskego. Joske poślubił piękną pannę – Henele, która powiła mu w niedługim czasie pierworodnego syna – Szmula. Na obrzezanie Szmula wydano wielką ucztę – zaproszono rabinów, całą rodzinę oraz przyjaciół. Już wtedy wróżono Szmulowi, że wyrośnie na wielkiego człowieka, ale jeszcze nie znano miary jego wielkości.

Abram postanowił oddać młyn pod opiekę Joskego. Joske zyskał sympatię ludzi tam pracujących i zajęcie to dawało mu dużo satysfakcji. Pewnego dnia obiegła wieś lotem błyskawicy wiadomość, że młyn się pali. Próbowano ugasić czerwone języki ognia, który, na przekór staraniom, jeszcze z większym zacięciem pochłaniał deski, aż wreszcie pozostawił po sobie tylko popiół i zgliszcza. Wraz z młynem spłonęła też cała sympatia dziedzica do starego arendarza i jego rodziny. Bieda nagle zaczęła zaglądać w domostwo Abrama, bo odbudowanie młyna nie było możliwe. Były ogromne chęci, było wiele par rąk gotowych do pracy, ale sakiewka Abrama i Joskego była pusta i nie można było kupić materiałów na nowy młyn. Uznano to za znak dany od Boga, by opuścić to sielskie gniazdo. W ten sposób – odprowadzani przez okolicznych mieszkańców – z ciężkim sercem i łzami w oczach arendarz Abram i jego rodzina pozostawili za sobą część historii.

DRZEWO FIGOWE HENELE

Słońce ogrzewało moją twarz w parku w Krasnymstawie. Siedziałam zmęczona skwarem leżącym się z nieba i rozmyślałam nad Szmulem. Stare, dumne drzewa wystrzeliwały z ziemi uwiecznione w skorupie kostki brukowej. Ludzie przechadzali się powoli i odwiedzali sklepy rozmieszczone dookoła rynku lub śpieszyli się – dokądś. Kobiety z wózkami dziecinnymi rozmawiały radośnie o swych pociechach w cieniu drzewa. Starszy mężczyzna z laską w dłoni obserwował ruch, twarze ludzi i igraszki dzieci bawiących się przy fontannie. Dwa sple-

cione z sobą karpie, z których zimnych rybich ust wypływały strumienie wody, przywiodły mi na myśl słowa pani Zasadny, z którą rozmawiałam w Borowicy. Opowiedziała mi ona historię Moszka, który żył w Borowicy i trudnił się handlem. Wspominała z nutką melancholii w głosie: „Moszek kupił raz we wsi cielę. I ciągnął to cielę za ogon aż do Rejowca. A ile razy mu to cielę uciekło! Albo raz kupił dwa pełne kosze karpie i tak długo szedł i się męczył z tymi koszami, aż wreszcie doszedł do Rejowca i sprzedał je na targu.”

Tamte czasy miały właśnie taki smak i swoisty urok, dzięki któremu – czytając o nich bądź słuchając przyprószonych już kurzem opowieści – zdaje się człowiekowi, że słyszy czarodziejskie słowa baśni, które później zmieniły się w gehennę.

* * *

Henele była córką krasnostawskiego rabina i jej rodzina pomogła stanąć im na nogi w nowej rzeczywistości. Było im ciężko – Joske zajął się handlem zbożem, ale interesy nie są intratnym zajęciem dla osób o dobrym, miłościwym sercu. Henele urządziła herbaciarnię z kramikiem spożywczym i w ten sposób udawało im się przeżyć z dnia na dzień. Joske udzielał potajemnie lekcji, uczył też chrześcijańskie dzieci języka polskiego, co pod zaborem rosyjskim było surowo zabronione. Wszystko to trwało, dopóki Żyd Lajzer Lafer nie przybył z Petersburga i nie otworzył legalnej szkoły. Tymczasem Henele została krawcową i szyła koszule, prześcieradła i wszystko, co jej zlecono. Jedenastoletni Szmul podjął pracę w fabryce pudełek aptecznych, tęsknił do czasów z Borowicy i karmił się jasnymi wspomnieniami. Oprócz niego pracowało w fabryce Barucha Lurjego wiele innych dzieci. Szmul wychodził rankiem i wracał wieczorem, by zdobyć trzydzieści kopiejek. Powoli ze spokojnego, małego Szmulika wyrastał Szmul, który patrzył ludziom śmiało w oczy i pomagał matce w utrzymaniu rodziny. Po jakimś czasie zarabiał czterdzieści kopiejek dziennie i czuł się dumny z tego, co robi. Czuł się dumny z tego, że jest robotnikiem, że godziwie zarabia na życie. Już wtedy w jego sercu zaczęło kiełkować ziarno poczucia jedności z takimi jak on.

PRZEBŁYSKI CHARYZMY

Studiując opasłe tomy historii, czytając różne relacje i słuchając opowieści ludzi dowiedziałam się, że w czasie wojny rosyjsko-austriackiej rozegrała się w okolicach Krasnegostawu bitwa. Żydzi, oskarżeni o przechowywanie Rosjan w domach, zostali z nich wypędzeni prosto pod grad świstających kul. Walka trwała cały dzień, a przestraszeni i spragnieni ludzie nie mieli nawet wody do picia. Szmul, nie zastanawiając się długo, pobiegł do rzeki z dwoma wiadrami i zaczerpnął z niej ożywczej wody. Nie zważał na lecące zewsząd kule i doniósł wodę na miejsce. Nagle ktoś krzyknął, że woda jest zatruta i wodę pochłonęła ziemia. Nikt nie wiedział, co począć. Szmul zdecydował, że należy pójść tam, gdzie nie ma płomieni, czyli do parku. Przerażeni ludzie szli za rozkazem młodego Szmula, ale i stamtąd musieli uciekać. Szmul powiedział, że trzeba się udać nad rzekę. Niektórzy spośród uciekinierów byli poranieni i trzeba było ich rany przemyć wodą. Szmul zaczerpnął z rzeki kubek wody i bez wahania go wypił, pokazując tym samym, że woda jest zdatna do picia. Ludzie rzucili się do rzeki spragnieni ochłody i odświeżenia. Pragnęli zmyć z siebie brud i kurz, który nagromadził się na ich ciałach w ciągu tego makabrycznego dnia. Umyci chcieli zobaczyć, co pozostało z ich domostw. Ich oczom ukazał się szary krajobraz przykryty grubą warstwą popiołu. Zrozpaczeni i zrezygnowani udali się do Rejowca, szukając tam wytchnienia i spokoju. Gdy dochodzili do mostu ktoś krzyknął, że most jest zaminowany. Zaczęto lamentować i szukać innych dróg, ale Szmul był już na moście i spokojnym krokiem przeszedł przez niego, po czym wrócił do zebranych ludzi. Dał dowód trzeźwości umysłu i odwagi, którą niektórzy określiliby mianem szaleńczej. Został okrzyknięty bohaterem.

PIERWSZE KROKI W ŚWIECIE POLITYKI

Patrzę na fotografię Szmula, która została wykonana na kilka dni przed owym tragicznym wydarzeniem. Widzę człowieka poważnego

z ciemnymi, przenikliwie patrzącymi oczami, ubranego w garnitur, jasną koszulę i elegancki krawat. Jednak w tych oczach dostrzegam coś więcej niż powagę i przenikliwość. Jest w nich zwątpienie i zderminowanie zarazem. Patrzą w obiektyw aparatu tak, jakby ktoś im przerwał pracę nad czymś ważnym. Taki był Szmul – całym sercem oddany sprawie. Na polityka i człowieka, jakim później się stał, zaczął wyrastać w Chełmie, gdzie stawiał pierwsze kroki w labiryncie politycznych intryg.

Po krótkim pobycie w Rejowcu, Szmul wraz z ojcem wyjechał do Chełma, by poszukać jakiegoś mieszkania. Cała rodzina po jakimś czasie przeprowadziła się tam i Szmul rozpoczął pracę w olejarni. W 1914 roku zaczęły tworzyć się w Chełmie formacje społeczno-polityczne. Niedługo trzeba było czekać na zawodowych działaczy Bundu; organizowali ten ruch w konspiracji do roku 1916, kiedy Chełm znalazł się pod okupacją austriacką. Na zebraniu założycielskim wystąpił z przemówieniem młody Szmul, którego później wybrano do zarządu. Bund zorganizował dom dziecka, spółdzielnię robotniczą, kółko dramatyczne, piekarnię i zajmował się wieloma innymi sprawami. Po roku działalności Szmul został wybrany na delegata na konferencję do Lublina i od tego czasu jeździł ze swoimi przemówieniami po kraju i agitował do Bundu. Takie były początki jego marszu ku wielkiej polityce i ku wielkiej odpowiedzialności.

CHEŁM WCZORAJ I DZIŚ

Pobyt w Chełmie był dla Szmula jeszcze szczęśliwym okresem. Realizował się jako działacz Bundu i był mu oddany całkowicie. Także atmosfera miasta była przyjazna. Jego rodzina była powszechnie szanowana, a Chełm tętnił w tamtym czasie życiem. Znane były różne historie, które Żydzi sami wymyślali, by przyciągnąć do swojego miasta ludzi. Targ chełmski stanowił mocną konkurencję dla targu lubelskiego. Niektórzy przyjeżdżali z czystej ciekawości, by przekonać się o prawdziwości pewnych anegdot. Jedna z nich odnosi się do luden klappera (Żyda, najczęściej bardzo ubo-

giego, który uderzając pałką w okiennice budził do porannej modlitwy, bądź przypominał w przededniu świąt o zamykaniu sklepów o ustalonej godzinie). Gdy świat spowijała cudownie miękka i czysta powłoka śnieżna, luden klapper niszczył ją chodząc i pukając do okiennic. Żydom się to nie podobało, więc postanowili go nosić, aby biała pierzyna pozostała nienaruszona.

Dzisiaj pamiątką po Szmulu jest w Chełmie tablica, którą uroczystie odsłonięto 24 września 2008 roku w sześćdziesiątą piątą rocznicę jego śmierci. Ciemna tablica, usytuowana przy ulicy Mickiewicza 9, gdzie Zygielbojmowie mieszkali przed wojną, a na niej kilka lapidarnych zdań streszczających niezwykle życie tego człowieka.

WARSZAWA – MIASTO NADZIEI

Szumul pragnął zdobyć zawód i w tym celu wyruszył do Warszawy, zaopatrzonego w list Jankiela Rotenberga. Przyjeżdżał do Chełma tylko na Paschę i powoli zaczął ściągać do Warszawy swoje rodzeństwo. Stał się z czasem coraz bardziej znaczącym działaczem Bundu. Kres wszystkiemu położył wybuch drugiej wojny światowej. Niemcy wdarli się do Warszawy i zaczęli narzucać mieszkańcom, a zwłaszcza Żydom nowy porządek. Każdy był zastraszony i nikt nie mógł się czuć bezpiecznie. Szmul był w tym czasie członkiem rady starszych i on jeden tylko sprzeciwił się temu, by Żydzi dobrowolnie przenieśli się do getta. Wołał i prosił na darmo. Nikt nie brał na poważnie jego przewidywań, które okazały się prorocze.

Jako działacz Bundu był w centrum zainteresowania gestapo i musiał szukać drogi ucieczki, by opowiedzieć światu co się dzieje w obozach koncentracyjnych i za wysokim murem getta. Szmul stał się posłańcem ostatniej nadziei ludzi skazanych na zagładę. Droga jego ucieczki prowadziła przez Kraków, następnie przez Berlin i Ben-Heim – ostatnie miasteczko niemieckie przy granicy z wolnym światem, Holandią. Nie można tego nazwać drogą czy podróżą – była to męka zarówno cielesna jak i duchowa. Sam o tym opowie najlepiej.

SZMUL MÓWI (Z KSIĄŻKI „ZYGIELBOJIM BUCH”)

„Na dworcu było szumnie i zimno. Wypełniali go ludzie ubrani po wiejsku. Z paczkami i tobołkami pchali się do jedynej kasy, w której kupowano bilety kolejowe. Patrol niemieckich żołnierzy, w płaszczach o wysoko postawionych futrzanych kołnierzach, z nasadzonymi bagnietami na karabinach, kręcił się w tłumie, zaglądając ludziom w twarze. Pojedynczy Żydzi, z żółtymi łatami i opaskami na rękawach, ostrożnie przesuwali się wzdłuż ścian, tuląc się po kątach. Pragnęli żeby ich nikt nie widział i aby nie skierował się na nich wzrok Niemców. (...) Stanisława, mojego polskiego towarzysza, znalazłem na umówionym miejscu. Stał, opierając się o barierę schodów prowadzących na perony. U jego nóg znajdowały się moje walizki. (...) Tak więc stałem uzbrojony we wszystkie potrzebne papiery oraz bilet kolejowy i czekałem na pociąg, który winien odejść o dziewiątej rano. Przechodziła godzina za godziną i żadnego pociągu nie było. (...) Na zewnątrz świeciło słońce i panował mróz 40°C. (...) Zaciśnięte ręce, które każdy prawie trzymał przy ustach i chuchał na nie, były opuchnięte z zimna i czerwone jak buraki. W pewnej chwili wkroczyła nowa grupa Niemców z karabinami na ramieniu. Zbrodnicze, nalane czerwienią twarze z zaciętością rozglądały się wokół. (...) Wszystkich Żydów wyrzucili z kolejki, która czekała przed kasą po bilety. (...) Za każdym razem, kiedy Niemiec już przeszedł, wymieniałem spojrzenia ze Stanisławem. On przekazywał mrugnięciem sygnał „jest dobrze”, „jakoś idzie”.

(...) Pociągu wciąż nie było. Ten dzień, ten pierwszy dzień mojej podróży, spędzony w tak nieprawdopodobnych warunkach, w zimnie, bez jedzenia, a najważniejsze, w tej nieludzkiej atmosferze hitlerowskiego sadyzmu, nie przepowiadał mi nic dobrego na przyszłość.

(...) „Pociąg nadchodzi” – krzyczano ze wszystkich stron. (...) Ciężko sapiąc, nadszedł pociąg. Wszyscy razem rzucili się do drzwi. Nastąpił straszny tłok i tumult ludzi sprasowanych w ciemności. (...) Krzyki w tej ciemności stały się jeszcze głośniejsze. Jeden z Niemców uderzył kolbą w głowę polską kobietę z dzieckiem na ręku – uczynił to z tego powodu, że nie zrozumiała jego rozkazu i szła inną stroną, niż on wyznaczył.

(...) Zaraz potem płomień latarki oświetlił moją twarz. Zatrzymałem oddech. Nazistowska łapa chwyciła mnie za ramię i para jasnych zwierzęcych oczu zatrzymała się na mojej twarzy. Wytrzymałem to spojrzenie, nie mrugnawszy okiem. W końcu wepchnięty zostałem na korytarz wagonu i tam stanąłem w gęstym kłębowisku ludzkim, jak wbity gwóźdź. (...) Na koniec jednak pociąg ruszył z miejsca leniwie, ciężko stękając. Zaczął się pierwszy etap mojej pełnej niebezpieczeństw podróży przez hitlerowskie piekło.

(...) Staliśmy w pustym polu. (...) Nagle wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Z daleka usłyszeliśmy wiele głosów – część płakała, szlochała, prosiła. Inni krzyczeli, rozkazywali i kłęli. (...) „Alle Juden heraus!” W wagonie nikt się nie odezwał. (...) Z innych wagonów, a także z pola wciąż jeszcze słycać było głosy i płacz.

(...) Po drodze mieliśmy jeszcze kilka przeżyć i scen podobnych do tych, jak opisałem powyżej. Ale prawdziwe piekło oczekiwało nas dopiero w Koluszkach. Była tutaj oficjalna granica z Reichem, kiedy się jechało w kierunku Łodzi. Wszyscy pasażerowie do Łodzi musieli wysiąść z wagonów i przejść ostrą, osobistą rewizję. Żydów, którzy próbowali jechać do Łodzi, przy tej okazji bito i obrabowywano, rozbierając do naga. (...) Bardzo wielu w Koluszkach aresztowano, wysłano do obozów koncentracyjnych, wielu spośród nich nigdy nie wróciło do swoich rodzin.”

W takiej atmosferze Szmul odbył całą podróż. Cofnięto go z granicy z Holandią i wtedy rozpacz zajrzała mu w oczy. Przeżył dwa tygodnie w Berlinie, w stolicy nazizmu, bez środków do życia, bez jednej pomocnej dłoni, bez życzliwej twarzy. Będąc w Berlinie Szmul dokonał ważnego spostrzeżenia, które ukazuje całą istotę człowieczeństwa: „Idąc ulicami i patrząc na domy, czułem, że przeżyłbym największe szczęście, gdybym nagle ujrzął, jak te domy burzą bomby – tak jak w Warszawie zostały zburzone. Ale patrząc na ludzi na ulicach, na kobiety, dzieci, starców i mężczyzn w średnim wieku, machinalnie zadawałem sobie pytanie: czy rzeczywiście chciałbyś zobaczyć, jak ci ludzie będą rozerwani, jak oczy i twarze tych właśnie kobiet i dzieci nagle ogarnia panika i śmiertelny strach – tak jak widziałem to na ulicach

Warszawy? Siłą woli odrzuciłem od siebie tę myśl. Zdałem sobie sprawę, że odrzucenie obrazów mordy, które normalnie u ludzi jest zależą, podczas tej wojny staje się słabością. Hitler najprawdopodobniej w swoich kalkulacjach przewidział tego rodzaju „słabość” większości ludzi na świecie. On wyliczył, że nie tylko liczbą czołgów jest silniejszy od innych, ale również miarą braku prawości i zdolnością zabijania.”

Szmul w rezultacie swych działań dostaje się do wolnego świata. Belgowie otworzyli drzwi wagonu na swojej granicy – zobaczyli go zakrwawionego i półprzytomnego.

„LE CZ WYŚCIE PODNIEŚLI KAMIEŃ, BY CISNAĆ NIM
W KANONIERA...” – W WOLNYM ŚWIECIE

Szmul, mimo szeregu czyhających nań niebezpieczeństw, dokonał niemożliwego – przedostał się do wolnego świata. On – Żyd przeżył dwa tygodnie w nazistowskich Niemczech. W USA wielki działacz Bundu, jakim był Szmul, pracował w fabryce guzików. Życie nie rozpieszczało go, jak i jemu podobnych. Przez cały czas miał jeden cel – powiedzieć światu o tragedii Żydów w Polsce, przekazać błaganie o pomoc wysyłane z getta warszawskiego i obozów koncentracyjnych, otworzyć obywatelom wolnego świata oczy na zbrodnicze działania nazistów. Był wierny do granic hymnowi Bundu: „Siostry i bracia z pracy i nędzy, Wy wszyscy rozrzućcie i opuśćcie – Razem!”

Prawdziwą batalię z ludzką obojętnością i niedowiarstwem stoczył Szmul w Anglii, do której trafił 29 marca 1942 roku. Działał tam jako członek Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej na emigracji z ramienia swojej partii. Już wówczas łączność z Armią Krajową i całym podziemiem była sprawna i Szmul otrzymywał meldunki o sytuacji Żydów w obozach i getcie. Wielokrotnie cytował te sprawozdania w czasie swoich przemówień zarówno na posiedzeniach Rady, jak i przy innych okazjach. Większość z nich była drastyczna, lecz mimo tego Szmul miał ogromne trudności, by wywołać jakąkolwiek reakcję opinii publicznej lub władz. Przekazywał je Światowemu Kongresowi Żydów i Amerykańskiemu Kongresowi Żydowskiemu w nadziei na to,

że obie organizacje użyją swych wpływów, by wyrzucić naciski na rządy alianckie, aby te pomogły polskiemu Żydom.

„WARSZAWA – GETTO, 7 LUTEGO 1943. (...) W STYCZNIU NIEMCY PRZYSTĄPILI DO LIKWIDACJI GETTA WARSZAWSKIEGO. LUDNOŚĆ STAWIŁA ZBROJNY OPÓR. ZABITO KILKUDZIESIĘCIU NIEMCÓW. ŻYDÓW POLEGŁO PARUSET, M. IN. NASZ MARMELSZTEJN, CHOŁODENKO I GITERMAN Z AJDC. PO TRZECH DNIACH OPORU AKCJĘ PRZERWANO. WYWIEZIONO 6000 ŻYDÓW. W CAŁEJ POLSCE ODBYWA SIĘ NADAL LIKWIDOWANIE ŻYDÓW. W POŁOWIE LUTEGO MAJĄ ZLIKWIDOWAĆ WARSZAWSKIE GETTO. ZAALARMUJCIE CAŁY ŚWIAT. ZWRÓCIĆ SIĘ DO PAPIEŻA O INTERWENCJĘ, ZAŚ DO ALIANTÓW, BY Z JEŃCÓW WOJENNYCH ZROBILI ZAKŁADNIKÓW. CIERPIMY STRASZNIE. POZOSTAŁYM 200 000 GROZI ZAGŁADA. TYLKO WY MOŻECIE NAS URATOWAĆ. ODPOWIEDZIALNOŚĆ WOBEC HISTORII SPADNIE NA WAS.”

Tak brzmiała treść jednego z szyfrogramów z okupowanej Warszawy zaadresowanego do Szmula.

Szum był niesamowicie zdeterminowany, by uratować chociaż jedno istnienie. Pisał raporty, m. in. do prezydenta Roosevelta, przemawiał na antenie radia BBC. Bez skutku. Cierpiał katusze psychiczne, gdyż brał na siebie całą odpowiedzialność za fakt, że codziennie ulegają zagładzie jego pobratymcy. Związał swój los z losem Żydów, którzy byli po drugiej stronie świata – na stronie okrucieństwa. Identyfikował się z nimi i łączył się z nimi w ich cierpieniu. Był nieustępliwy, niektórzy zarzucali mu, że był wręcz natrętny, ale on nie rezygnował i coraz silniej walczył, by świat zwrócił nareszcie oczy na tragedię Żydów. Musiał toczyć potyczki słowne na posiedzeniach Rady, szczególnie z reprezentantem syjonistów – Schwartzbartem. Wyjaśniał, prosił, nawoływał i walczył jedynym orężem, jakie posiadał – słowem i nieustępliwością. Niezrozumienie i niechęć, z jakimi miał do czynienia przelewały powoli czarę goryczy.

Będąc jeszcze w USA, dostawał listy od dzieci i żony. W swych listach próbowali zachować pozory normalności w tych nieludzkich czasach, przekazać sobie iskierkę otuchy, pokazać, że mimo nieobec-

ności myśli się dniem i nocą o swoich najbliższych. Tak pisała jego żona Mania: „Jestem od tygodnia w Miedzeszynie. Obchodziliśmy tu wczoraj 15-lecie istnienia naszego sierocińca. Dzieci ślicznie przedstawiały. (...) Twój syn też brał udział w przedstawieniu, no i był dumny ze swej roli. (...) Co u Ciebie słyszeć?”

Przebywając w Wielkiej Brytanii, Szmul nie wiedział, co się dzieje z jego rodziną. Sądził, że zginęli w obozie koncentracyjnym, jak jego matka. Być może ta myśl przesądziła o podjęciu najbardziej drastycznego i zarazem ostatniego kroku.

„SYNOWIE MACHABEUSZÓW! I WY POTRAFICIE
UMIERAĆ” – ŚMIERĆ SZMULA

Szum sporządził list pożegnalny w maju 1943 roku. Był on skierowany do Prezydenta Raczkiewicza i Prezesa Rady Ministrów Władysława Sikorskiego. Wyjaśnia w nim motyw samobójstwa. Oto fragment, który najtrafniej, według mnie, uzasadnia jego wybór:

„(...) Nie mogę pozostać w spokoju. Nie mogę żyć, gdy resztki narodu żydowskiego w Polsce, którego jestem przedstawicielem, są likwidowane. Moi towarzysze w getcie warszawskim polegli z bronią w rękę w ostatnim bohaterskim boju. Nie było mi sądzonym zginąć tak jak oni, razem z nimi. Ale należę do nich i do ich grobów masowych.

Śmiercią swą pragnę wyrazić najsilniejszy protest przeciw bierności, z którą świat przygląda się i dopuszcza do zagłady narodu żydowskiego. Wiem, jak mało znaczy życie ludzkie w naszych czasach, ale ponieważ nie mogłem nic zrobić za życia, przyczynię się może przez moją śmierć do tego, by złamała się obojętność tych, którzy mają możliwość uratowania, być może w ostatniej chwili, pozostałych jeszcze przy życiu Żydów polskich.

Moje życie należy do narodu żydowskiego w Polsce i dlatego mu je oddaję. Życzeniem moim jest, by resztki, które zostały po kilku milionach Żydów polskich, dożyły wyzwolenia w świecie wolności i sprawiedliwości socjalistycznej razem z ludnością polską. Wierzę, że powstanie taka Polska i nadejdzie taki świat.”

Jego śmierć była swoistym manifestem, lecz nie przyniósł on zamierzonego skutku. W prasie kilka krótkich notek informowało o śmierci członka Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej Szmula Zygielbojma. Szmul jest jednym z bohaterów getta, mimo iż w nim nie był fizycznie. Bez wahania stawiam go w jednym rzędzie z Anielewiczem, czy z Ringelblumem. Walczył niestrudzenie o uratowanie chociaż części Żydów i wykorzystał w tym celu wszelkie dostępne mu środki. Pragnął, by jego prochy spoczęły razem z prochami spalonych w obozowych krematoriach, jednak nie uczyniono zadość jego życzeniu.

* * *

Przed śmiercią był na kolacji u Ciołkoszów. Miał bardzo dobry nastrój, wydawało się, że nareszcie odzyskał spokój ducha. Po powrocie usiadł przy swoim biurku, gdzie sporządzał niezliczone raporty, wystosowywał pisma do różnych instytucji z prośbami o pomoc dla Żydów. Przy tym biurku spełnił swój ostatni obowiązek – napisał rekomendację dla dra Emanuela Szerera, aby zajął jego miejsce. Zgasił lampę, po czym na zawsze zgasł płomień jego istnienia.

* * *

Gdy rozpoczynałam pisanie tego reportażu nie wiedziałam, jakimi ścieżkami będę musiała pójść i dokąd one mnie zaprowadzą. Nie wiedziałam, kim był Szmul Zygielbojm i czego dokonał. Teraz wiem, że był to człowiek wyjątkowy i obdarzony charyzmą. Żałuję, że na lekcjach historii nie wspomina się chociażby paroma zdaniami o jego osobie. Że pomija się go często milczeniem. A on walczył o lepsze dziś i jutro:

*Wspólnie zaświeci nam niebo ponad zburzoną Warszawą,
gdy zakończymy zwycięstwem krwawy nasz trud wieloletni:
każdy człowiek otrzyma wolność, kęs chleba i prawo
i jedna powstanie rasa, najwyższa: ludzie szlachetni.
/fragment wiersza Władysława Broniewskiego „Żydom polskim”/*

Szmul Zygielbojm niewątpliwie należał do elitarnej rasy ludzi szlachetnych.

IWONA MAZUR

Felieton inspirowany pierwszą WARRKą, opublikowany w cyklu „Żabką przez Atlantyk” na łamach Przeglądu Polskiego, tygodniowego dodatku kulturalnego Nowego Dziennika w Nowym Jorku.

MAREK KUSIBA

SEN O SIENNICY

Przed dwoma laty przyśnił mi się piękny sen. Podzieliłem się sennym marzeniem z przyjacielem, któremu tej samej nocy przyśnił się sen prawie identyczny.

Zdumieni zbieżnością marzeń sennych usiedliśmy do stołu w jego lubelskim domu z kartką papieru i dwoma długopisami. Zaczęliśmy przerysowywać sen na papier. Wykładowca akademicki **Franciszek Piątkowski** przepisał zdanie ze zbioru wykładów **Ryszarda Kapuścińskiego** *Ten Inny*: „Zatrzymaj się. Oto obok ciebie jest inny człowiek”. Ja wygrzebałem z pamięci cytaty z Cypriana Kamila Norwida: „(...) dom mój ruchomy, z wielbłądziej skóry”; tak poeta definiował w *Pielgrzymie* życie w podróży. Na tułaczce po obcych krajach pozostawał od 21. roku życia. W swych peregrynacjach nie ominął także Ameryki. Jego „ruchomym domem” były często sandały ze skóry wielbłąda.

Ryszard Kapuściński reporterskie podróże rozpoczął, gdy miał tyle samo lat co Norwid. Nie wiem, czy chodził w sandałach po pustyniach Sahelu i piaskach Sahary. Wiem za to, że tuż za progiem jego warszawskiej pracowni stoją poleskie postoty, czyli proste łapcie z brzoźowego łyka. Symbolizują nie tylko pasję podróżniczą pisarza. Znany w świecie „Kapu” czerpał z mądrości starych plemion afrykańskich, bo rozumiał, że potrafią one, dzięki przebyłym szlakom, zastyszczonym i przekazany następcom opowieściom, ogarnąć i zrozumieć świat. Poleskie łapcie symbolizują także jego dzieciństwo. Gdy był dzieckiem w Pińsku, a potem w okolicach okupowanej Warszawy, marzył o drewnianych

chodakach, na które musiał zarobić sprzedając mydełka. Pisał: „Przez całą wojnę moim marzeniem są buty. Mieć buty. Ale jak je zdobyć? Co zrobić, żeby mieć buty? W lecie chodzę boso i skórę na stopach mam twardą jak rzemień”.

Ostatnie lato przed wojną spędził w Pawłowie na Lubelszczyźnie. Byłem tam w poniedziałek i chodziłem wokół otynkowanego dziś domu **Józefa Bobki**, wujka 7-letniego wtedy Ryśka. Nad okolicą górował zamknięty na cztery zamki i trzy zasuwę potężny, z otwartą raną wyrwanej klamki, dziwnie martwy kościół. Przypomniał mi się wers z Jana Lechonia: „Wiem, że był tam pan Bóg, lecz go nie widziałem”... Za to w Gminnym Ośrodku Kultury zobaczyłem trzy 7-letnie aniołki; dziewczynki malowały *Panią Lato*. W innej sali siedem osób uczyło się trudnej sztuki garncarstwa. Wojtek P. przeprowadził wywiad z formującymi glinę paniami; zbierał materiał do reportażu o kolejnym zlocie „kapumaniaków” we wsi, stynącej do niedawna jedynie z wyrobu garnków i beczek.

My jednak nie przyjechaliliśmy tam ani na złot, ani na kurs ginącej sztuki sprawnych rąk. Przybyliśmy z nieodległej Siennicy Różanej, gdzie od tygodnia trwały zajęcia I Wakacyjnej Akademii Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego, zorganizowanej pod honorowym patronatem marszałka województwa lubelskiego **dr. Krzysztofa Grabczuka**. Gdy piszę te słowa, zajęcia jeszcze trwają, studenci dziennikarstwa, polonistyki i politologii z kilku lubelskich uczelni razem z uczniami z liceów Kraśnegostawu i Lublina słuchają wykładów, prowadzonych przez profesorów mojej macierzystej uczelni, Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, który objął opieką naukową młodych dziennikarzy, rozmawiają z tuzami polskiego dziennikarstwa i artystami, dyskutują do późna w noc o pisaniu i życiu, czytają i omawiają fragmenty twórczości cesarza reportażu, uczą się trudnej sztuki zatrudniania słowa – z równym wysiłkiem, jak amatorzy trudnej sztuki garncarstwa.

Nie wypada mi pisać o sukcesie, skoro to nasz wspólny z Franciszkiem Piątkowskim pomysł-sen, który nie tylko nam się przyśnił, ale i po dwóch latach starań i zabiegów stał się jawą, przede wszystkim dzięki determinacji Franka. Mogę jedynie napisać o własnej radości z po-

wodu spotkania niezwyklej młodzieży, napawającej także radością i dumą **dr Alicję Kapuścińską**, pełniącą w wakacyjnej szkole pisaną funkcję honorowej pani rektor, jak i naukowców, redaktorów i dziennikarzy, łącznie z **Wojciechem Giełżyńskim**, **Piotrem Załuskim** i **Markiem Millerem**; tak się zachwycili poziomem młodych adeptów pióra i mikrofonu, że zamiast jednego wykładu dali aż po trzy...

Doświadczyłem niezwyklej przygody, intelektualnej i duchowej, dzięki dobroci serca i rozumu naszych gospodarzy, których nazwiska kunktatorsko podam; niech mi to będzie dopisane na Sadzie Ostatecznym do mizernej listy nepotyzmów, ale moi nowi przyjaciele warczą się nie takich grzechów. Są nimi: wójt gminy **Leszek Proskura**, starosta Krasnegostawu **Janusz Szpak**, panie **Anna Fornal** i **Irena Zaraza** ze Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Siennickiej, a także dyrektorka Gminnego Ośrodka Kultury w Siennicy, **Dorota Bzikot**. Franek nie podołałby wyzwaniu – że coś się od nas Ryszardowi Kapuścińskiemu należy – bez tytanicznej pracy jego prawej ręki, **Elżbiety Pydy**, pracującej na UMCS. Mieszkamy w internacie Zespołu Szkół Ministerstwa Rolnictwa, gdzie czuwa nad spokojnym snem naszych studentów dyrektor **Jacek Jagiełło**, a nad radościami podniebienia **Tomek Badach**, prezes OSM Krasnystaw, bez którego uczynności nie byłoby Akademii. Smak pysznych jogurtów i najlepszych w Polsce serków będzie mi się długo śnił w Kanadzie – aż do następnego lata w gościnnej, pięknej i mądrej Siennicy, jak najbardziej Różanej...

MAREK KUSIBA
8 LIPCA 2009

MAREK SZYMANIAK

GIEŁŻYŃSKI Z KRASNEGOSTAWU

Krasnystaw pod koniec XIX wieku to miasteczko z zaledwie kilkoma, może kilkunastoma ulicami. W całym mieście jest zaledwie siedem telefonów; w domu **Wincentego Giełżyńskiego**, krasnostawskiego notariusza, telefonu nie ma. Syn Giełżyńskich, **Witold**, kończy szkołę powszechną. Co dalej? Rodzice zadecydowali: ich syn będzie kształcił się w Lublinie, w męskim gimnazjum. Dziś do Lublina to godzina jazdy samochodem – przed blisko stu laty dystans wymagający ogromnych poświęceń. Mimo zaborów, w domu Giełżyńskich zawsze pielęgnowano patriotyzm i ojczystą mowę. Nic więc dziwnego, że gdy tylko młody Witold znalazł się w środowisku ludzi o podobnych poglądach, w jego głowie zakiełkowały pierwsze myśli o walce i tworzeniu pierwszej niepodległościowej opozycji.

*

Słońce tego lipcowego dnia unosiło się bardzo wysoko. Błękitne niebo bez jednej chmurki sprawiało, że upał był jeszcze dotkliwszy. Mieszkańcy Siennicy Różanej szukali choćby skrawka cienia, w którym mogliby odpocząć, odetchnąć chłodniejszym powietrzem. Chwili odpoczynku nie mieli młodzi adepci dziennikarstwa, uczący się w trwającej właśnie Akademii Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego, podczas której syn Wiltolda Giełżyńskiego – **Wojciech** – opowiadał nie tylko o sztuce reporterskiego fachu, ale i o swoim ojcu.

– Ojciec, już jako uczeń gimnazjum w Lublinie, wyróżniał się patriotycznym duchem – wspomina Wojciech Giełżyński, lekko poprawiając okulary i przeczesując siwe włosy. – W 1906 roku organizował strajki i demonstracje przeciw rosyjskiemu zaborcy. Młodemu wtedy chłopcom udało się podłożyć bombę w szkole, ta jednak, nie wiadomo dlaczego, nie wybuchła. Kolejną formą sprzeciwu i walki był incydent, który rozszedł się szerokim echem w całym mieście. W katedrze lubelskiej uczniowie śpiewali pieśni na cześć cara. Ojciec, wraz z kolegami, wyłamał się z tego nakazu i w rezultacie katedra była jedynym kościołem w Polsce, w którym przestano śpiewać pieśni na cześć zaborcy. Za zorganizowanie manifestacji antycarskiej został wyrzucony z gimnazjum z wilczym biletem. Ponieważ nie mógł uczyć się w Lublinie, przeniósł się do Warszawy. Tam ukończył szkołę średnią. Ojciec od 1906 roku działał na rzecz Towarzystwa Szerzenia Oświaty „Światło”. Jego członkowie spotykali się w lubelskim mieszkaniu przy ulicy Zielnej 4 oraz w cukierni Rutkowskiego, dzisiejszej Lubliniance. Mieli tam nawet swój stały stolik pod dużym oknem. Głównymi działaczami byli wtedy: **Stefan Żeromski**, doktor **Witold Chodźko**, **Jan Hempel** czy **Władysław Kunicki**. „Światło” założyło dwie elementarne szkoły utrzymywane ze składek członkowskich na Kalinowszczyźnie i na Piaskach przy Placu Bychawskim. Organizowano też publiczne wykłady nazywane Uniwersytetem dla Wszystkich. Niestety władze rosyjskie nie zapomniały o ojcu. Najpierw na trzy miesiące osadzono go w więzieniu, po czym został zmuszony do opuszczenia granic Królestwa Polskiego w 1908 roku. I tak znalazł się w Paryżu.

Stolica Francji okazała się dobrym miejscem dla 22-letniego Giełżyńskiego. Ukończył tam Szkołę Nauk Politycznych i Społecznych oraz studia prawnicze. Z Paryża słał korespondencje do „Wiedzy” i „Kuriera Lubelskiego”, stając się jednym z ośmiu zagranicznych reporterów. Zawód dziennikarza stał się jego życiowym powołaniem i służbą społeczną. Jego praca zawsze była dokładna, a myśli poważne i niezależne. Był jednym z tych dziennikarzy, reporterów, o których Ryszard Kapuściński potem pisał: „Nigdy nie spotkałem cynicznego reportera. To zbyt trudny zawód dla cyników, wymaga wielkiego po-

święcenia i zaangażowania. Za same pieniądze nikt tego nie będzie robił”.

Dopiero po kilku latach Giełżyński mógł wrócić do Polski. Po powrocie z Paryża, w wieku 25 lat, objął w maju 1911 redakcję „Kuriera Lubelskiego”. Sprawdził się jako naczelny dziennika, ponieważ kierował nim bardzo sprawnie, wprowadzając nowe trendy i skupiając wokół pisma ciekawych publicystów, pisarzy i działaczy społecznych. „Kurier Lubelski” miał za jego przewodnictwa charakter lewicowy. Pisali w nim zarówno Hempel jak i Żeromski, szerząc głównie opinie liberalno-demokratycznej inteligencji. Jednodniówka (jak wtedy nazywano „Kuriera”) miała 36 stron, a w części zasadniczej, pozbawionej reklam, publikowano wiersze, aforyzmy, prozę i eseje. Tego typu gazeta była na rynku lubelskim pomysłem pionierskim. Czasopismo literacko-artystyczne – bo tak należałoby je określać – miało niekonwencjonalny i nowoczesny styl.

– Ojciec udzielał się także społecznie – zaznacza donośnym i żywym głosem syn, Wojciech Giełżyński. – Współpracował z Lubelską Spółdzielnią Spożywców założoną w 1913 roku. Co ciekawe, działalność LSS nie ograniczała się tylko do gospodarki; spółdzielcy działali także na polu politycznym i oświatowym, tworząc Bibliotekę im. H. Łopacińskiego wraz z czytelnią, czy wydając własne pismo.

Po rocznym epizodzie w Łodzi, gdzie Giełżyński kierował redakcją „Nowego Kuriera Łódzkiego”, dziennikarz przeniósł się do Warszawy, gdzie redaguje miesięcznik „Myśl Polska”. Patriotyczna dusza publicysty nie pozwoliła mu pozostać bezczynnym. Dlatego pierwszy raz spróbował własnych sił jako wydawca, tworząc pismo „Głos Stolicy” o zabarwieniu niepodległościowym. Działając w Warszawie – w 1920 roku został sprawozdawcą parlamentarnym, a po pięciu latach (na rok) zmienił stronę medialnej barykady i kierował Wydziałem Prasowym Prezydium Rady Ministrów.

Okres międzywojenny, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, to czas wytrwałej i ciężkiej dziennikarskiej pracy Witolda Giełżyńskiego. Pracuje on w kilku pismach, co jest możliwe dzięki rozwojowi prasy. Od marca 1920 roku jest, po **Stefanie Krzywoszewskim**, redak-

torem naczelnym „Kurieria Polskiego”. Pisze też do „Epoki”, „Ekspresu Porannego”, „Tygodnika”, „Kurieria Czerwonego” czy pisma „Świat”. Rozwój prasy codziennej i wzrost czytelnictwa gazet w Polsce jest okazją do wielkiej aktywności na rynku ludzi, dla których tworzenie czasopism to tylko biznes. To podejście otwarcie krytykuje Giełżyński, pisząc w jednym ze swoich artykułów: „Wydawnictwa pełnią dziś tylko funkcję biznesową i zajmują się głównie zarabianiem pieniędzy. Dbają tylko o jedno – aby zainkasować gotówkę. Gdy już wyczerpią wszystkie możliwe środki oszustwa i ziemia zaczyna parzyć im stopy, rzucają cały interes i zakładają nowe wydawnictwo pod innym tytułem, w innej dzielnicy państwa”. Słowa pisane przez Giełżyńskiego dobitnie pokazują, jak traktował zawód dziennikarza, który zawsze powinien być usługą społeczną, a nie tylko środkiem do pomnażania pieniędzy. Dodajmy: Są to słowa aktualne także dzisiaj, chociaż wydawnictwa nie zakładają nowych wydawnictw. Ani pod innym tytułem, ani w innych dzielnicach państwa.

Zdobywając redaktorskie doświadczenie i uznanie na rynku warszawskim, zostaje jednym z twórców, pierwszych w Polsce, stowarzyszeń zrzeszających dziennikarzy.

– Mój ojciec przez rok był wiceprezesem Syndykatu Dziennikarzy Warszawskich – mówi z wyraźnymi emocjami Wojciech Giełżyński.
– To dzięki niemu podpisano pierwszą umowę zbiorową między warszawskim Syndykatem a wydawcami – dodaje.

Jego publikacje na temat teorii dziennikarstwa owocują pomysłem założenia Wyższej Szkoły Dziennikarskiej w 1929 roku. Giełżyński był współpomysłodawcą przedsięwzięcia i profesorem – wykładał zagadnienia z zakresu sprawozdawczości parlamentarnej. W opinii studentów był bardzo wymagającym i surowym wykładawcą, który od swoich uczniów wymagał zawsze wzorowych postaw moralnych i szerokiej wiedzy – zarówno teoretycznej jak i praktycznej. To wszystko świetnie określił **Ryszard Kapuściński** w jednej ze swoich wypowiedzi: „Do tego, żeby uprawiać dziennikarstwo, przede wszystkim trzeba być dobrym człowiekiem. Żli ludzie nie mogą być dobrymi dziennikarzami. Jedynie dobry człowiek usiłuje zrozumieć innych, ich intencje, ich

wiarę, ich zainteresowania, ich trudności, ich tragedie. I natychmiast, od pierwszej chwili, stać się częścią ich losu”.

Wybuch II wojny światowej zastał Giełżyńskiego w Warszawie; kierował wówczas filią krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, z którym współpracował od 1934 roku. W czasie kampanii wrześniowej dziennikarz zajął się wydawaniem „Biuletynu Prasy dla Użytku Pism Warszawskich”, który był tworzony z inicjatywy **Stanisława Kauzika** i **Jana Kuczabińskiego**. Pismo wychodziło w dniach 11–20 września 1939 roku. Biuletyn miał wypełnić lukę powstałą w wyniku ewakuacji rządowej Polskiej Agencji Telegraficznej – PAT oraz likwidacji innych agencji prasowych. Wydawany był w objętości od 3 do 6 stron i w nakładzie kilkudziesięciu egzemplarzy, a docierał do władz cywilnych i wojskowych stolicy.

W czasie okupacji niemieckiej Giełżyński był przewodniczącym tajnej organizacji dziennikarskiej i redaktorem naczelnym konspiracyjnego pisma „Wiadomości Polskie” oraz członkiem „Rzeczypospolitej Polskiej”.

– W czasie wojny ojciec, jako akowiec, należał do komisji do walki z kolaboracją dziennikarzy oraz organizował pomoc dla bezrobotnych redaktorów. Stał też na czele komitetu ruchu oporu w warszawskim środowisku dziennikarskim – wymienia Wojciech Giełżyński.

Jeszcze przed zakończeniem II wojny światowej wrócił do Lublina, gdzie redagował „Gazetę Lubelską”, niezależny dziennik codzienny. Jednak zaledwie po upływie pół roku wrócił do Warszawy, gdzie został redaktorem naczelnym „Kurieria Codziennego” i „Gazety Ludowej”, organu PSL Stanisława Mikołajczyka. W 1948 roku zrezygnował z czynnego uprawienia zawodu dziennikarza.

– Od tego momentu ojciec zajął się pracą dydaktyczną na Wydziale Dziennikarskim Akademii Nauk Politycznych oraz pracował nad opracowaniem dziejów prasy polskiej – wspomina Wojciech Giełżyński.

Po siedmiu latach badań ukazało się potężne dzieło z zakresu historii prasy „Prasa Warszawska 1661–1914”. Witold Giełżyński stał się jednym z najbardziej cenionych w środowisku akademickim prasoznawców i teoretyków prasy. Opracowywał hasła słownika dzienni-

karzy i publicystów polskich. Pisał cenione do dziś eseje poświęcone prasie lubelskiej.

– Z okazji 300-lecia prasy polskiej, w 1961 roku, otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski – dodaje Wojciech.

Witold Giełżyński był wielokrotnie odznaczany. Jego dziennikarską pasję odziedziczył jeden z dwóch synów – Wojciech, który jest jednym z najwybitniejszych polskich reportażystów.

Witold Giełżyński zmarł 31 grudnia 1966 roku w Warszawie. Jeden z najwybitniejszych synów ziemi krasnostawskiej został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim.

MAREK SZYMANIAK

AGNIESZKA JANIAK

JÓZIO

Działalność reporterska to badanie prawdy, w tym prawdy drugiego człowieka. Tym samym to wielka odpowiedzialność, zwłaszcza jeśli poszukiwania sięgają w daleką przeszłość.

Ostateczna wersja tego tekstu powstała blisko rok po chwili, gdy dowiedziałam się o istnieniu **JÓZEFA DZIKA**. Nie mam poczucia sukcesu czy definitywnie zakończonej pracy. Ponad trzydzieści lat, jakie dzielą mnie od śmierci mojego bohatera, okazało się barierą zbyt wysoką, by swobodnie przejść drogą faktów i wspomnień. Portret, którym powinien być ten tekst, okazuje się niewyraźny i zamazany, jak malarska impresja.

Mimo to mam nadzieję, że Józef Dzik jest w tym tekście obecny. Może w taki sam sposób, w jaki przechodził przez życie: zaczepiony w dziesiątkach miejsc, znany w setkach instytucji, istniejący w świadomości tysięcy ludzi. I, jednocześnie, w tym swoim globtroterskim pędzie, sprawiający wrażenie obywatela polskiej kultury, Lubelszczyzny, choć z korzeniami w maleńkiej Siennicy. Nie udało mi się odkryć, jaki był w głębi, pod pokładami energii i nadzwyczajnej otwartości. Za to jego niebywale ruchliwa postać pozwoliła mi na refleksję: takich ludzi jest dzisiaj niewiele. I niech nawet będzie to truizm ze szczyptą banału – Dzik jest częścią świata, który gdzieś odpłynął w potoku cyfrowej nadwyżki informacji. Ten świat odpłynął, ale Józio zostawił mi kotwicę, dzięki której zacumowałam na gładkiej tafli wspomnień o nim – ciepłych, nostalgicznych, pełnych

zadumanej tęsknoty „za wczoraj”. To zaledwie skrawki wspomnień, pozszywane cienkimi nićmi i nierównym ścięciem, jednak pozwalające wydobyć pamięć o Józefie Dziku z tygla rzeczy zapomnianych.

Władysława Sobieszczuka spotkałam przypadkiem – dołączyłam do rozmowy prowadzonej przez kilkoro uczestników WARRK-i jeszcze podczas lipcowej Akademii w Siennicy:

- Pamięta pan Józefa Dzika?
- Józia? A jakże, pamiętam...!

Okazało się, że pan Sobieszczuk jest w stanie powiedzieć o moim bohaterze kilka całkiem obszernych zdań, że znał go, pamiętał, ciepło wspomina. Dowiedziałam się, że córka Władysława Sobieszczuka urodziła się jako wcześniak, miała zwichnięte biodro, rodzice postanowili ją zawieźć do lubelskiego szpitala. Już w Lublinie wstąpili do jednej z kawiarni, na Królewskiej, w pobliżu katedry. Nagle widzą: ni stąd ni zowąd zbliża się Józio Dzik. „Co życzyście sobie na obiad? Ja płacę!” – woła z ożywieniem, jak to on. Było to chyba w 1974 roku.

Kilka lat później to Józek był już ciężko chory. Na raka. I wtedy wychodził ze szpitala i pokonywał drogę do Akademii Rolniczej, na próby zespołu. Chciał być ze swoimi artystami do samego końca, chociaż wtedy nie pełnił już funkcji kierownika „Jawora”.

- Józek był świetnym organizatorem – podkreśla pan Sobieszczuk.
- Czy doszły pana kiedykolwiek pogłoski, jakoby Józef Dzik w okresie II wojnie światowej przez dwa, trzy tygodnie ukrywał u siebie hrabiego Potockiego?
- Nie, nic takiego do mnie nie doszło.
- Ale czy to było w ogóle możliwe?
- No było możliwe, było.

Tu natknęłam się na barierę milczenia. Trudno wydobyć z przeszłości prawdy niepodważalne. Zwłaszcza gdy zagłębiamy się w czas, kiedy cisza była obrończynią ludzkiego życia, gdy „mówić” wiązało się z „ryzykować”, a słowa miały dużo większą wartość i siłę sprawczą niż dziś. Nawet banalne i wypowiedziane przypadkiem – potrafiły zabić. Wuj

Sobieszczuka też liznął tej wojny, mieszanki o smaku cierpko-gorzkim. Jednej z zim przetrzymywał jeńca sowieckiego... Ale to inna historia, chociaż historie przeplatają się i krzyżują, zupełnie jak ludzie, którzy je tworzą. Historia, o której opowiadałam jest historią Józefa Dzika. I wszystkich innych osób, które Józio, żyjąc tak intensywnie, spotykał i na które miał wpływ. Jaki jest jej ciąg dalszy?

TA KULTURA TAK KWITŁA W TEJ SIENNICY...

Poniedziałek, zwykły dzień roboczy. Jechałam do Siennicy Różanej, do pana **Zygmunta Mazurka**, kolegi Józefa Dzika z młodych lat. Wsiadłam z autobusu i wstąpiłam do sklepu. Przywitałam się, kupiłam ciastka. Czy wiadomo, co u pana Zygmunta, tego z naprzeciówka? Można odwiedzić? Powiedziałam, w jakiej sprawie przyjechałam. Na dźwięk nazwiska Józefa Dzika sprzedawca zaczął opowiadać. Byłam zaskoczona. Włączyłam dyktafon:

- Jaki ludzie wspominają Józefa Dzika?
- To był chętny człowiek, naprawdę, każdy go wspomina miło, przecież jego zna chyba cała Polska. No, Polska jak Polska, ale w województwie lubelskim to wiadomo, znana postać.
- Słyszałam, że Dzik miał pokaźną gromadę chrześniaków.
- To gdzieś z Zamościa, to gdzieś tam ...No to wiadomo, jaka to uczciwość i poważanie tego człowieka... Zawsze humor, żart, zawsze był przyjazny dla nas, umiał się z tą młodzieżą tak dogadać, że każdy do niego lgnął. Jak on opowiadał, jak jeździli na tournée za granicę i jak zachęcał nas. Dla każdego to był bodziec: może gdzieś się pojedzie, coś się zobaczy w świecie... Ja już od szkoły podstawowej tańczyłam, od którejś tam klasy – szóstej czy siódmej – później po szkole też.

Słucham i staram się łączyć fakty. Wiem już, że Dzik nie miał gruntownego wykształcenia, że wielu rzeczy nauczył się sam, dzięki pasji i silnej woli, ale mimo wszystko pytam jeszcze o szkołę. Szukam różnych wymiarów ludzkiej pamięci.

– Gdzieś w początkach jeździł na kursy pod kątem uczenia tańców, no i po tych kursach... Po prostu zdolność była niesamowita u tego

pana. Całe życie poświęcił kulturze. A to już trzydzieści lat. Tu został pochowany, tu jest jego grobowiec.

TRZYDZIESTU TRZECH

To prawda: Józef Dzik miał trzydziestu trzech chrześniaków. Jednym z nich jest Janusz Dzik. Odwiedziłam go w Siennicy jeszcze w lipcu. Było spokojne, letnie popołudnie. Usiedliśmy na ławce, wdychaliśmy świeże powietrze, obok krzątała się matka Janusza.

– Józef był najmłodszym dzieckiem w rodzinie. Była ich szóstka. Wszyscy już nie żyją.

Janusz Dzik pamięta sporo, ale wciąż są to zaledwie ułamki, drobne okruchy, które zdmuchnąć może byle wiatr. Słyszę, że Józef był samoukiem. Że uczestniczył w organizacji centralnych dożynek w Warszawie. Że w Lublinie skończył szkołę średnią, potem studium choreografii. I że nie miał wyższego wykształcenia.

– Nie lubił mówić o II wojnie światowej, o partyzantce. Ale chodzą pogłoski, że w czasie wojny przez dwa, trzy tygodnie ukrywał u siebie hrabiego Potockiego... Ponoć po wojnie hrabia do niego przyjechał. A może tylko pisali ze sobą? Nie chciał o tym wszystkim mówić.

Dowiaduję się, że Józef Dzik był przeciwnikiem komunizmu. Miał też umiejętności krawieckie – projektował i szył stroje dla swoich artystów. Wspomnienia tworzą coraz wyraźniejszy obraz, ale ciągle niewystarczająco wyrazisty. Co jeszcze?

Janusz pamięta z czasów studiów: kiedyś chrzestny przyjechał do akademika Politechniki Lubelskiej i przywiózł prezenty. Często przywoził z podróży pamiątki, dawał bliskim. Na weselach rozgrzewał towarzystwo śpiewem, chociaż nie grał na żadnym instrumencie. Podczas wyjazdu na Ukrainę, z uczniami z zespołu tańca, pewna Polka nie dostała biletu, a bardzo chciała obejrzeć występ. Józef załatwił jej wejście, posadził ją w pierwszym rzędzie. Byli w Turcji, w Grecji – w Grecji dwie dziewczyny zostały. Janusz mówi, że nie ma w tym nic dziwnego. Takie były czasy. Dzisiaj jedyną różnicę stanowią chyba tylko wolne granice.

W rocznicę śmierci Józka przyjeżdża do Siennicy około pięćdziesięciu osób z zespołu „Jawor”, połowa zespołu. Jest msza, a potem idą z kwiatami na cmentarz. Janusz przypomina sobie, że **Stanisław Leszczyński**, pułkownik, też zaniósł Józiovi kwiaty, to było chyba w 2008 roku, na odsłonięciu pomnika. Rywalizowali ze sobą. Ponoć Leszczyński niczego mi na temat Józka nie powie, nie ma sensu go szukać...

CHĘĆ TO BYŁA. NIE TAK JAK DZISIAJ

Ekspedienta z małego sklepiku pytałam, w jakich okolicznościach poznał Józefa Dzika.

– Jeździliśmy na różne imprezy typu dożynki: czy powiatowe, czy nawet centralne. Chór liczył około czterdziestu osób, w zespole tanecznym mieliśmy dwanaście par, właśnie wtedy poznałem Dzika Józka, bo on już pracował w Lublinie, ale jako mieszkaniec Siennicy Różanej tutaj przyjeżdżał i jeszcze nas uczył tańców. A z tego co wiem, to on w Lublinie założył zespół taneczny, no, o szerokiej skali powodzenia, ponieważ dożynki centralne czy w ogóle większe imprezy o charakterze krajowym obsługiwali, a nawet jeździli po zagranicy.

Ludzka pamięć miesza fakty z domniemaniami, łączy szczegóły ważne i nieważne, tworząc niepowtarzalny, jedyny w swoim rodzaju kolaż. Słucham i zapisuję, ale do niektórych rzeczy muszę potem dojść sama, przeglądając teksty, materiały źródłowe. Dowiaduję się z nich, że w 1944 roku Józef Dzik założył w Siennicy Różanej zespół teatralny, którym opiekował się przez lata – nawet pracując już w Lublinie – a pierwszą sztuką grupy były „Swaty” Dominowej. W księdze pamiątkowej, założonej z okazji dwudziestolecia pracy artystycznej Dzika, znajduję artykuł z „Kuriera Lubelskiego” nawiązujący do tych – zamierzchłych dziś – czasów. Pożółkłe strony, pachnące kilkoma dziesiątkami lat, mówią:

(...) Jesienią 1944 roku, gdy można już było działać, nie usiedziało spokojnie, ale wziął się do organizowania widowiska. Miał to być wodewil pt. „Swaty” – zabawna intryga miłosna, mnóstwo piosenek, tańców. Trzeba było zrobić porządek w starej remizie strażackiej, a poza tym wystarać się

o zezwolenie w wydziale propagandy przy jednostce wojskowej stacjonującej wówczas w Krasnymstawie. Dostali stamtąd nawet dokument zezwalający na objazd z tą sztuką po całym powiecie i zobowiązujący władze do niesienia pomocy świeżo upieczonemu zespołowi. Oficer przybijający pieczęć pod tym dokumentem niewątpliwie zdawał sobie sprawę, że na polskie słowo ze sceny, choćby i w remizie strażackiej, ludzie czekają z utęsknieniem. I rzeczywiście – publiczność w Siennicy Różanej, w Surchowie, Rejowcu, Kraśniczynie i wielu innych wsiach, biła brawa aż ręce puchły. Przedstawienie, taniec, piosenka – to było znakomite remedium na nudę i przygnębienie, rozpraszało resztki mroków, jakie pozostawiła w duszach ludzkich noc okupacji. Zresztą czasy wciąż były niespokojne... Zdarzyło się pewnego wieczoru, że gdzieś w pobliżu wynikła strzelanina i przedstawienie zostało przerwane, a aktorzy w kostiumach i perukach uciekali pomieszani z publicznością. Ale chociaż zespół przeżył taką wcale nieartystyczną sensację, nie splajtował przecież. Następne przedstawienia odbywały się jak gdyby nigdy nic (...)

Mój rozmówca, pracownik sklepu, również był uczniem Józefa Dzika.

– Był bardzo utalentowany w tym kierunku i rozślawiał nasze ziemie siennickie na cały Lublin. Na próbach to było różnie, nieraz nie było nawet i komu zagrać, bo to różnie tam z tymi ludźmi z zespołów amatorskich, jak mieli czas... Mieliśmy akordeonistę, taki był Dzik Władysław. No i akompaniament był i po prostu ćwiczenia. Chęć to była. Nie tak jak dzisiaj.

WYRYWANIE STRZĘPKÓW WSPOMNIENIŃ...

Dopytuję: jakim był człowiekiem, jak traktował uczniów, jaki miał temperament? Nie mogę pozbyć się wrażenia, że obraz, który wyłania się z pamięci moich rozmówców, jest zaledwie szkicem, wstępem do charakterystyki, jaką chciałabym odmalować.

– Traktował nas żartobliwie, z przyjaźnią. Mówił: jak chcemy coś znaczyć, chcemy się pokazać, to musimy naprawdę się tego nauczyć,

żeby pokazać się z klasą. Dawał motywację w ciepłych słowach, nie na siłę, na siłę nikt z nikim nic nie zrobi. Nikogo nie obrażał, nie krzyczał, tylko w takich dobrych, ciepłych słowach zachęcał i to było powodem, że tak to wszystko rozkręcił... Może pani pójść do pana Zygmunta, on też jeździł na dożynki centralne, miał nadzór nad tymi zespołami, może pani coś tam jeszcze dodać...

Na koniec dowiaduję się, że rozmawiałam z sołtysem Siennicy Różanej, panem **Marianem Manachiewiczem**. Świat zszywają niewidoczne, ale bardzo mocne nici, ciasno łączące ludzi i zdarzenia.

KAPELUSZ, KOSZULA LNIANA I „BABSKIE BARCANKI” ...

Idę do małego domu naprzeciwko sklepu, w którym za ladą znalazłam pana sołtysa. Mieszka tam Zygmunt Mazurek, kolega Dzika z wczesnych lat. W przeszłości był w Niemczech na robotach. Stukam przez kilka minut do drzwi, do okna, znowu do drzwi, rozglądam się po podwórzu. Jest studnia, w oddali widać pole. Cisza i spokój, nawet samochodów nie słyhać, chociaż to zaraz przy jezdni. W końcu widzę za szybą poruszający się cień. Otwierają się drzwi. „Proszę, niech pani wejdzie”. Przypominam o sobie – ostatnio byłam tu w lipcu, wtedy nie udało nam się porozmawiać. Pytam o Józefa Dzika.

– Aaa, razem w zespoleśmy byli, razem tańczyliśmy, aj, to tyle lat... Cały czas on organizatorem był. Od młodego był taki, tylko w społeczeństwie coś robić, tańczyć, hulać, ojciec nieraz na niego krzyczał: „Tolocha, nie chce się robić, tylko lata, tylko lata”... Ale wyrobił się na człowieka. Wszędzie był. Takich ludzi nam trzeba dużo.

– Coraz mniej takich?

– Nie ma, dzisiaj nie ma, leci to, zaganiane to wszystko, karierę, cholera... A on był społecznik. Potem poszedł do Lublina, w Lublinie zrobił zespół, no i z tym zespołem jeździł poza granicami. Był w Belgii, to dałem mu adres do kolegi, bo miałem kolegę w Belgii, co ześmy z nim byli w Niemczech. I pojechał... Uznanie to ma wszędzie, kto by tylko o niego się zapytał, to nie ma ujemnych słów, tylko dodatnie, tylko dodatnie.

– Jak to było za młodych lat? Już wtedy organizował coś?
 – Latał... Odziewał się w barchanki babskie. Taki o był, cholera – zyciowy.

Chcę wrócić do zamkniętych drzwi, do sprawy z czasów wojny.

– Słyszałam, że w czasie wojny przechowywał u siebie hrabiego Potockiego... Czy to w ogóle jest możliwe?

– To... chyba za Niemców?

– Tak.

– Możliwe, ale to wszystko było po cichu.

– I potem nie chciał już mówić o tym?

– Nie...

– Ale to jest możliwe, tak?

– Jest możliwe, tak... U mnie przebywał z rodziną nawet wynalazca prochu bezdymnego, dyrektor, gościowa nie z tej ziemi. I tutaj u mnie zakwaterował, ale tak: tu Niemcy, tu Sowiety, a on żonę miał Ruskę i bał się cholernie Ruskich. I mówi: co zrobić? I zostawił tu dużo rzeczy, zostawił papiery, ja potem dałem komuś te papiery i zabrali je do Warszawy, trzeba się było powołać na niego. Był to hrabia, na wysokim stanowisku i w ministerstwie pracował. No, ale to Dzika nie dotyczy. Tak... Tyle lat już minęło...

Nagrywam, zapisuję. Nie wiem, czy Józef Dzik poznał hrabiego Potockiego, czy był z nim w bliskim kontakcie. Przeszłość zamyka kolejne drzwi.

– Miał kolegę Dzik, nie wiem, może pani słyszała, on zespół miał, duży zespół...

– Pan Muda?

– Muda, on tylko chór prowadził, spec od chóru, wybitnie zdolny; tak, dużo się poświęcił też i dużo się zasłużył. Zorganizował teatr, wyszkolił chór i ścigaliśmy pieniądze na tę remizę. No i dzięki zespołowi postawiliśmy ten dom ludowy. A dzisiaj już postawili dalej, to już państwo postawiło, nie wiem czy pani wie, na końcu Siennicy... Tam ładny dom jest, tak...

– A czy to prawda, że pan Dzik miał trzydziestu trzech...

Otwierają się drzwi, dźwięk kroków, ktoś wchodzi. Pan sołtys, mój rozmówca ze spożywczego.

– Zygmsiu, przyniosłem ci danie. Bo to mój wujek nawet.

Dialog przechodzi w rozmowę, konfrontacja wspomnień. A raczej próba zderzenia tego, co bezlitośnie rozrzucone przez czas. Sołtys opowiada:

– Miał wolne, urlopy, na żniwach był. Kapelusz, koszula lniana, przepasany, wesoły. Zobaczył, zaczepiał, żartował, jechał w pole. No i właśnie w wolnych chwilach, kiedy tylko mógł być w Siennicy, szedł na próby – chodźcie chłopaki, dziewczyny. I uczył.

– I szli za nim?

– Szli. Te czasy to się najwięcej, najmilej wspomina. Dzisiaj tego nie ma i nie będzie, no bo, wiadomo, jaka sytuacja. Teraz na wsi komputery, telewizory...

A ludzie siedzą w domach – dodaję.

– Kiedyś była byle jaka świetlica i szkoliło się w tej świetlicy!

Pan Mazurek ożywia się.

– Zimno, nie zimno... Tak, a błoto było potąd, słowo daję, nie można było przejść!

– Nie wiem, czy pan Zygmunt mówił – był zespół taneczny. Ale jaki był zespół teatralny! Jakie osiągnięcia, dużo ich było, nie będę wymieniał, ale taki szlagier był, „Chata za wsią” Ignacego Józefa Kraszewskiego sztuka. To przecież ona podbiła całe rynki tutaj, przecież to się łamali, remizy, pięćdziesiąt osób występowało w tym zespole, coś wspaniałego. I w Chełmie, i gdzie tylko wyjeżdżali, to sprzęt był byle jaki, jakieś samochody tam były, no, jak mogli tak wyjeżdżali. A później, jak gdzieś autobus był, to wynajmowali.

– Pomimo że, cholera, źle było, czasem nie było parę złotych na wyjazd, to jechało się z zadowoleniem.

– Takie największe gratulacje po tych występach, to zebrał występ „Chaty za wsią” w Lublinie, nie wiem, czy w teatrze Osterwy czy gdzie indziej, no i po zagranium sztuki tamten dyrektor w Lublinie rozmawiał z naszym reżyserem czy aktorem głównym i powiedział, że nam dać waznych aktorów, a my żebyśmy dali wam dekoracje, to podbijamy świat. No bo, wie pani, dekoracje były tam u nas namalowane, okolica, jakiś laszek. A teatry zawodowe miały – wiadomo, sceny. Ale tam jest pięć kilometrów

za lasem Stójło, to schodzili się ze wszystkich wsi, szli na próbę, szosy nie było, zalało. Dzisiaj raz by poszedł, to by rzucił dwadzieścia razy, a to szedł, próba do dwunastej w nocy, z latarką. Po takim błocie. Jakie chęci byli!

– A teraz wszystko można i nic się nie chce – dodaję cicho, dla samej siebie.

ZMIENIŁY SIĘ CZASY... ZMIENILI SIĘ LUDZIE?

Czy Józef Dzik odnalazłby się w dzisiejszym świecie łatwych rozwiązań i szybkiej konsumpcji?

– Ale dzisiaj..., dzisiaj by nie zorganizował. Inny jest kierunek, inny nurt dzięki tej technice, ona też potrzebna, ale młodzież wszystko tylko u siebie, komputer. Ciekawe, gdzie będzie dyskoteka – nieraz młodzież rozmawia. A wy czego się pytacie? Wy jesteście młodzi, my kiedyś mieliśmy ZMW silny, to myśmy organizowali, a kto wam będzie organizował? Stare chłopcy ze straży? Trzeba się zrzęczyć, zrobić sobie dyskotekę i już. Te czasy to się najmilej, najwięcej wspomina, bo wiadomo, jaka sytuacja jest teraz na wsi... Taki już jest okres ileś lat, że nie ma tej chęci społecznej, żeby coś tworzyć: zespolik, teatrzyk, tego nie ma, idziesz na gotowe...

HISTORIA CZŁOWIEKA, HISTORIA ZESPOŁU

Jestem w Lublinie, miejscu długoletniej działalności zawodowej i społecznej Józefa Dzika. Klub Zespołu Pieśni i Tańca „Jawor”. Ostatni etap moich krótkich poszukiwań. Szukam kącika pamięci. Znajduję w trzecim z odwiedzonych akademików. W klubie jest dziewczyna, nie pytam nawet kim jest, domyślam się, że to jedna z tancerek. Pokazuje mi popiersie Józefa Dzika. Potem prowadzi do kierownika zespołu, pana **Zbigniewa Romanowicza**. Mówię, w jakiej sprawie przychodzę, kierownik zaczyna opowiadać:

– Jako młody student, młody tancerz, niewiele na ten temat mogę powiedzieć, tym bardziej, że pan Józef był troszeczkę schorowany. Ale jeszcze – jak coś nie wychodziło na parkiecie – to potrafił się pode-rwać, krzyknąć, tupnąć. No i właśnie pamiętam jedno zgrupowanie

pod jego ręką. Było to w okolicach świąt Bożego Narodzenia, zaraz po świętach. Sylwester na miejscu i po sylwestrze, zanim zaczął się rok akademicki... I to był właściwie chyba ostatni moment, który pamiętam, kiedy jeszcze prowadził próby, kiedy był... A później kawałek stycznia, kawałek lutego, no i za miesiąc zmarł.

– Co było potem?

– Zespół przejęły osoby, które już przy Józefie Dziku pracowały. Była to pani **Zofia Toruń** i jego uczeń **Janek Pogonowski**, który wtedy już był po studiach, już był instruktorem, nabierał doświadczenia. I ówczesny kierownik organizacyjny uznał, że zespół jest już na tyle okrzeplony, prezentuje na tyle wysoki poziom, że być może te osoby – osierocone po Józefie Dziku – mogą nie dać rady. Zwrócił się do „Ziemi Lubelskiej”, do pana **Ignacego Wachowiaka**, który był wtedy szefem, żeby on pełnił rolę szefa artystycznego w naszym zespole. No i to było z różnym skutkiem, bo pan Wachowiak nie miał czasu, nie miał też chyba za bardzo ochoty zaangażować się tutaj. Owszem, parę razy przyszedł na próby i wtedy, w związku ze zbliżającym się jubileuszem, ustawił widowisko. Ale to był taki epizod. Okazało się, że pani Toruń i pan Pogonowski sobie nieźle radzą i oni przejęli tę pałeczkę. Później zmieniło się kierownictwo organizacyjne – w miejsce ówczesnego kierownika przyszedł były prezes i były tancerz Tadeusz Wierzbicki, no i on troszeczkę tutaj swoją politykę zaczął prowadzić. Nowy kierownik zatrudnił swoją żonę. Była naszą tancerką, solistką w zespole i miała weryfikację, tak że od strony formalnej jak najbardziej, no, ale wiadomo, że zatrudnić swoją żonę... Pani Toruń przestała pracować, później pan Pogonowski przestał pracować, pani Wierzbicka, żona szefa, została. A potem zespół prowadzili już uczniowie uczniów Dzika.

Dziwnie krótka jest historia zespołu po śmierci Józia. Daleka od rozmachu, jaki on sam tchnął w istnienie „Jawora”. Ot, parę nazwisk, prosta chronologia. Przypadek?

DZIESIĘĆ POWODÓW, ABY STAĆ W MIEJSCU

– Jak dzisiaj pracuje zespół, jacy są młodzi tancerze?

– No, zmieniło się wszystko i nawet pan Dzik by tutaj niewie-

le poradził, bo zmieniły się czasy, zmieniło się podejście. Przedtem decydowała pasja, zaangażowanie, a dzisiaj trochę taki konsumpcjonizm. Nie wyłącznie, bo są też ludzie z pasją, przychodzą i jak już wtopią się w zespół, to – nawet jeśli oprócz studiowania pracują – potrafią pogodzić to z pracą w zespole i rzeczywiście poświęcają dużo czasu... Ale tak generalnie, to się zmieniło. Tak jak czasem jeszcze trafię na jakieś stare dokumenty... Przychodziło zgrupowanie, wszyscy jak jeden mąż, pojedyncze wypadki, że ktoś tam nie może z jakiegoś względu, zdrowotnego czy rodzinnego. A teraz: „ja pracuję”, „ja się nie mogę zwolnić”, „ja mam drugi fakultet”, „ja mam dziesięć innych powodów” i często nie dochodzą do skutku zgrupowania dlatego, że ludzie nie mają czasu. Może by nawet chcieli, ale brak czasu.

– Znak czasów?

– Na własny użytek dzielę młodzież na taką, która czegoś poszukuje, coś chce zrobić oprócz studiów i na młodzież, która: „do pracy to mi się jeszcze nie chce iść, nie muszę, bo rodzice mi pomogą”, fajnie się studiuje, no bo wiadomo – nic na głowie poza nauką, a status studenta to wiele przywilejów. I praktyki zagraniczne, i wyjazdy zagraniczne, i środowisko akademickie, gdzie trochę kultury, sportu, innych rozrywek. Proszę – ile pubów, więcej niż akademików, więc życie bujnie kwitnie, tylko studiować: nie pięć lat, a piętnaście lat i nie ma czasu już wtedy, poza tymi piwiarniami, na żadną inną działalność. To chwala tym, którzy przychodzą do zespołu, bo oni rzeczywiście są warci pochwał wszelakich, bo właśnie większa część pracuje i studiuje, a naprawdę zespół zajmuje dużo czasu. Ja uważam, że to jest elita. Na ostatnim koncercie odchodziło pięć par czy sześć; sam się trochę wzruszyłem, bo niektóre osoby tańczyły dosłownie osiem, dziesięć lat i zaznaczyły się tutaj swoją obecnością bardzo pozytywnie. Rektor mówił, że to jest najwartościowsza część naszych studentów. Promują uczelnię – nasz udział w festiwalach krajowych i zagranicznych, wszystko pod sztandarem uczelni.

Patrząc na ścianę wypełnioną dyplomami i pucharami – imponujący widok. Część z nich zdobyta jeszcze za życia Józefa Dzika.

– Czas biegnie i kiedy świętej pamięci Józef Dzik odszedł od nas, to był 1979 rok. I wtedy zespół miał dziewiętnaście lat, teraz ma... czterdzieści dziewięć. Tego czasu już, po śmierci Józefa Dzika, naprawdę sporo upłynęło, a nie staliśmy w miejscu...

PRZYWRACANIE PAMIĘCI

– Po śmierci Dzika pamięć o nim była żywa. Jak przyszedłem do zespołu to mnie zdumiało, że nikt nie wie o Dziku – parę lat upłynęło i nie ma Dzika. Myślę sobie: no jak to możliwe? Zaprosiłem obecnego prorektora Dębickiego, ale coś mu tam nie pasowało, nie przyszedł na spotkanie. No to myślę sobie, że podobny pokoleniowo jest profesor **Tomasz Gruszecki**, nasz były tancerz, który doskonale znał Józefa Dzika i żeby go postawić przed młodzieżą, poprosić o wieczór pamięci, o wspomnienie o Józefie Dziku. To był chyba 1994 rok, przed jubileuszem. To, co ja wiedziałem, także opowiedziałem i był wieczór wspomnień. Ale myślę: wieczór mija, spotkanie mija, ci ludzie zapamiętają, ale przychodzą co roku nowe osoby. Musi być coś, co będzie Dzika przypominało. Trzeba zrobić popiersie. Wprawdzie był tam portrecik, powieszony z okazji dwudziestopięciolecia zespołu, ale mniej się na to zwraca uwagę. Więc na trzydziestopięciolecie zaplanowałem odsłonięcie tego popiersia, aby młodzież bawiąca się w klubie, mająca zajęcia, zawsze miała je w zasięgu wzroku. To była idea, którą udało się zrealizować. I druga rzecz, w sumie więcej zachodu wymagająca, bardziej kosztowna, to obelisk na cmentarzu w Siennicy Różanej. To też na trzydziestopięciolecie udało się zrobić. I już Józefa Dzika nikt z zespołu nie zapomni.

OJCIEC

Na chwilę jeszcze wracamy do przeszłości. Pytam o próby, o stosunek władz do działalności zespołu...

– Pieniądzy nie było; była idea, był pomysł, a zespół to nie chór. W chórze dziewczyny założyła bluzeczki, garniturki chłopcy ubiorą

i mogą w tym na okrągło śpiewać. Zespół pieśni i tańca to jest zupełnie inna bajka. Tu każdy region to inny kostium, jak kostium – to męski i damski, różnorodny, bogaty i drogi. Jeden region nie załatwia sprawy, a Polska jest ewenementem wręcz na skalę świata – inny powiat i już inne kostiumy. Oprócz tego instrumenty. Trzeba też było zapłacić ludziom, którzy przychodzili pracować. Ówczesna młodzież z powodzeniem angażowała się pod wodzą Dzika, szyli te kostiumy. On miał niesamowitą wyobraźnię przestrzenną, choreograficzną, potrafił to jakoś obejmować. Potem władze widziały, że zespół się rozwija, występuje, jest potrzebny, więc jakieś pieniądze przy okazji jubileuszy były. W ten sposób zabezpieczono bazę materiałową, kostiumową. Właściwie gdzie zespół nie pojechał, to coś tam zdobył, coś wygrał, był zauważony.

– Jaki był Józef Dzik, jako człowiek? – dopytuję. Mam wrażenie, że jego postać zamazuje się w tych wspomnieniach, że może minęło zbyt wiele czasu, by móc wyjść poza kilka rysów charakteru, parę sytuacji, fragmenty zapamiętanych dialogów.

– On był z jednej strony opiekuńczy, a z drugiej wymagający i krzyknąć potrafił. Zresztą inaczej się nie da, bo jeśli tak łagodnie głaskać, to można zagłaskać i nic z tego nie będzie. Muszą być stawiane wymagania, musi być dyscyplina, jedno z drugim musi się łączyć: kiedy poważnie, a kiedy po ojcowsku. Właśnie tak był nazywany: ojciec, ojciec Dzik. I to bardzo pasowało, nie tylko do charakteru, ale jako współzałożyciel zespołu był ojcem... On i **Bogusław Szot**. Lubelszczyzna ma szczęście, że miała takiego Józefa Dzika.

„OD SERCA DO SERCA...”

W księdze pamiątkowej, którą udostępnił mi pan Romanowicz, znalazłam dokument podsumowujący dwudziestoletnią wówczas pracę społeczną Józefa Dzika. Dziesiątki przeprowadzonych zajęć, szkoleń, kursów. Praca w Zespole Pieśni i Tańca KBW Ziemi Lubelskiej, współpraca z technikami rolniczymi, centralne dożynki, autorskie widowiska, liczne nagrody. Ale o wiele bardziej wymowny jest zna-

leziony w albumie wiersz. To znak, że Józef Dzik był nie tylko personą o wysokim uznaniu społecznym. Był człowiekiem, po prostu. I takim widzieli go inni. Także autorka wiersza, **Rena Możdżeńska**:

TOBIE ..

/ na XX-lecie pracy artystycznej – choreografa Józefa DZIKA /

(...)

„NIE – to kwiaty polne i leśne
Miedzą biegły za chłopcem
I – odcięły mu drogę!

Łanem przed nim stanęły
I płasząc prosiły
I błagały, szeptały
I raz jeszcze prosiły - -

Więc im ODDAŁ NA ZAWSZE swe serce
- pieśni
- rytmy
- żar ognia
- i tęsknoty i siły
Oddał ranki i zmierzchy
wszystkie słoty i burze
I roztańczył,
- rozśpiewał
Malwy, chabry
i na miedzy te róże !!
(...)

I OD SERCA DO SERCA – prostym słowem tak gadam
- - - wiecie chyba – do kogo to mówię
Komu kwiaty tańczące i te strofy dziś składam ??

Zespół Pieśni i Tańca „Jawor” działa przy lubelskim Uniwersytecie Przyrodniczym do dziś. W tym roku świętuje pięćdziesiątą rocznicę powstania. I chociaż od śmierci Józefa Dzika minęło trzydzieści lat, pamięć o nim pozostaje nie tylko w martwej materii popiersia. Znalazłam ją w ludzkich wspomnieniach, we fragmentach przywoływanych rozmów i sytuacji, w miejscach ważnych niegdyś dla słynnego sienniczana. Uskładałam ze znalezionych skrawków tekst – drobną potyczkę z zapomnieniem. Od początku do końca zdając sobie sprawę, że prawdziwą, wielowątkową i pełną rozmachu historię może napisać swoim życiem tylko sam człowiek, a zadaniem dziennikarza jest tę historię odczytać i zamknąć ją w słowach.

AGNIESZKA JANIAK

Felieton inspirowany pierwszą WARRKą, opublikowany w cyklu „Żabką przez Atlantyk” na łamach Przeglądu Polskiego, tygodniowego dodatku kulturalnego Nowego Dziennika w Nowym Jorku.

MAREK KUSIBA

BAJECZNY BABIN

Po przeczytaniu felietonu o zaletach Ziemi Lubelskiej, żyznej w liczne talenty, w której biją liczne źródła polskiej duchowości, przysłał mi emalię **Henryk Wójcik**, zagorzały lublinianin i bibliofil, przypominając, że pierwsza książka, wydrukowana w języku polskim, wyszła spod gęsiego pióra Biernata z Lublina. Miała proroczy tytuł *Raj duszny* i była parafrazą z tacińskiego modlitewnika, a ukazała się w Krakowie w 1513 r. Natomiast w samym Lublinie w XVI w. zaczęły się ukazywać także pierwsze modlitewniki i książki hebrajskie. Autor *Żywotu Ezopa Frygi, mędrca obyczajnego i z przypowieściami jego żył w krainie bogatej w przymioty i podmioty*. Jednym z takich podmiotów był Jakub Izaak Horowic, ojciec chasydyzmu polskiego, zwany „Widzącym z Lublina”, innym – **Mikołaj Rej**, ojciec literatury polskiej, gospodarzący polskim słowem tudzież pługiem w Siennicy Różanej.

Właśnie nadeszła stamtąd wieść, jak najbardziej gminna, o premierze w miejscowym amfiteatrze sztuki *Zetżyj po trzykroć*, opartej na kanwie komedii **Adolfa Nowaczyńskiego** *Jegomość Pan Rej w Babinie*, a zaadaptowanej na potrzeby piątej edycji imprezy „Z Rejem do Siennicy” przez **Andrzeja Misiurę** i **Tadeusza Kicińskiego**. Jak napisała w *Kurierze Lubelskim* **Sylwia Hejno**, Rej w Siennicy „gospodarzył i się pieniaczył w trakcie licznych procesów. Tymi doświadczeniami, podpartymi mocą pióra, wniósł wkład do Rzeczypospolitej Babińskiej – tworu dowcipkującej szlachty (m.in. **Jana Kochanowskiego** i **Mikołaja Sępa Szarzyńskiego**). Wyimaginowane państwo osadzone w podlubelskiej

wsu, ku wesołości czytelników, obśmiewało Rzeczpospolitą Polską, którą rządzą rozburmanieni lenie i opoje".

Tu muszę autorkę nieco poprawić, jako że poszła za bardzo na skróty (myślowe). U początków Rzeczypospolitej Babińskiej Polską rządził król **Zygmunt August**, który nie nadużywał raczej alkoholu. Jak w każdej epoce, tak i wtedy „obok bogów narodowych, bożków lokalnych były jeszcze bałwany epokowe” – jak napisał gdzieś Nowaczyński – ale bynajmniej nie skierował on swej „świeckiej krotocifli” przeciw władcy Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Także nie z powodu jego nieudanych rządów sędzia **Stanisław Pszonka** skrzyknął do Babina wesołe towarzystwo kpiarzy i wesołków, trudniących się żartobliwą działalnością pseudoliteracką. Król przepadał za długimi polowaniami, na których przepadał, bywało, i na pół roku, mógł więc i zawitać do Babina, pytając, czy Babińczycy mają już swego monarchę. Usłyszał w odpowiedzi: „Uchowaj Boże, Najjaśniejszy Panie, ażebyśmy za Twego życia mieli myśleć o wyborze innego króla; panuj i tu, w Babinie”.

W naszych czasach po takiej odpowiedzi, udzielonej prezydentowi, Rzeczypospolitą Babińską zająłby się skutecznie IPN. Mamy tak wspańnię państwo, że utworzenie państwa karykaturalnego, i to jeszcze za przeproszeniem babińskiego, nikomu nie jest potrzebne do śmiechu i szczęścia. W Babinie nadawano urzędy anegdotyczne, ale idiotyzmem jest porównywać urzędy z czasów np. sarmackiego zepsucia z naszymi, czystymi jak łza po spirytusie. Po Sarmatach szlachta polska odziedziczyła same wady narodowe, takie jak umiłowanie wolności, gościnność, męstwo i odwagę...

Jak pisał **Teodor Waga** w XVIII w., Rzeczpospolitą Babińską wymyślił szlachcic „dziwnie wesołego i żartobliwego humoru ku poprawie przez uczciwe żarty obyczajów narodowych i bezprawioń niektórych w rządach wkradających się”. Natomiast w niemieckiej encyklopedii Zendlera nazwano wesołą Republikę Babińską „stowarzyszeniem głupców”. Zawistni Niemcy nie mogli inaczej zareagować na inicjatywę powstałą nad Wisłą, Tyśmienicą i Wieprzem.

Przypomina o tym **Paulina Buchwald-Pelcowa** w obszernym artykule „Europejska *republica litteraria* o polskim Babinie”; podlubelska

wioseczka była obecna w książkach wydawanych w XVII i XVIII wieku w różnych krajach dzięki przedrukowi fragmentów *Roczników polskich Stanisława Sarnickigo*, który „stworzył podstawy do wykreowania sławy wesołej Rzeczypospolitej. U niego, jak u późniejszych autorów piszących o dziejach Polski, była to integralna część ogólnej historii kraju. (...) pruscy alabandrzy i francuscy kalotyńcy łączyli się z babińczykami w zabawie, w śmiechu, w żartach niewolnych od krytyki i ośmieszania wad”. Europa małpowała Babin, bo w krzywym zwierciadle anegdota „ostrzyły się dowcipy, także obyczaje” – jak pisał **Wespazjan Kochowski** o wiejskim Babinie. Jaka szkoda, że współcześnie dowcipy tudzież obyczaje nie ostrzą się w jakimś Babinie współczesnym, niekoniecznie wiejskim – a na Wiejskiej...

Nie jest tak zapewne dlatego, że dewizą prześmiewczego bractwa babińskiego było łacińskie *Omnis homo mendax* (każdy człowiek jest kłamcą), czego nie można dziś odnieść, pod groźbą pudła, do niektórych obywateli dusznego raju IV RP. Nie mogę sobie też wyobrazić współczesnego włodarza na Belwederze oglądającego dobrowolnie (i dobrodusznie) sztukę *Zetżyj po trzykroć* lub wystuchującego na swój temat uszczypliwej, trefnej (i trafnej!) facecji czy bajki komicznej...

MAREK KUSIBA
18 WRZEŚNIA 2009

ILONA BANACH

JEDNO LATO

*Całe życie rzekł mistrz
budowałem latawiec
chciałem żeby był
taki wielki
I mistrz
rozłożył ręce
i uleciał szeleszcząc
(Latawiec, J. Harasymowicz)*

Cisza. Za oknem gorące, stężone powietrze drga srebrzyście. Pełnia lata. Pusta wieś. Nie krzyczą dzieci. Nie jeżdżą samochody. Nie gra muzyka.

Kartkuję przewodnik. Wzrokiem ślizgam się po kolejnych stronach. Ułamki zdarzeń i ludzi z przeszłości sypią się na kartkę i natychmiast roztapiają w rozżarzone powietrze. Szukam czegoś lub kogoś, kto pozwoliłby oswoić mi to miejsce, znaleźć klucz do spotkanych tu ludzi. Obcych, a przecież tak życzliwych.

I nagle: „To był człowiek, którego pamiętają dziesięciolecia.”

Żar latem ma kolor bezchmurnego nieba. Cały świat blaknie od słońca; szarzeje, jakby przykryty popiołem z dalekich ognisk. W takiej scenerii odbyło się moje spotkanie z panią **Krystyną Zaworską**.

– Ja do chóru to późno przyszedłam, w latach osiemdziesiątych. Osiemdziesiąty piąty czy szósty to był. On już wtedy wiele lat dyrygował. Na wycieczce mnie usłyszał, spodobało się. Z początku to trochę się bałam śpiewać, doświadczenia przecież żadnego nie miałam, ale było dobrze. Raz w tygodniu na lekcję, bo lekcja się mówiło, przychodziliśmy. Pamiętam: stał taki lekko pochylony, już wtedy starszy był, ręką chór prowadził. On niczego nie używał, żadnej pałeczki, tylko ręką dyrygował. Każdy miał swoje stałe miejsce, każdemu według głosu miejsce na stałe przydzielał. Chór z Siennicy tu wszyscy w okolicy znali, podobał się. Nagrody zdobywali, jeździli. Więcej to pani Regina powie, ona w chórze dłużej i o historii, jeśli jakieś daty potrzebne, to będzie wiedziała.

– My teraz też w Siennicy chór mamy. Ale to już nie taki, co kiedyś. Same kobiety. Może ludziom chęci, może czasu brakuje. Za pana Mudy to był duży chór, mieszany, kilkanaście osób. Zawsze mi się podobało jak śpiewali na jakiś uroczystościach. Czy kościelne, czy patriotyczne pieśni śpiewali, ale to tak pięknie! Tyle ludzi, a jakby jeden głos. Czysto, mocno, jak dzwon. Jest nawet taka piosenka, „Siennicki Dzwon”, to właśnie pan Muda ułożył. Zna może pani?

Nie znałam. Już po chwili więc popłynęły słowa piosenki:

*Siennicki Dzwon to serce wsi
Siennicki Dzwon to właśnie my
Siennicki Dzwon daleko dzwoń
O naszej wiosce dzwoń...*

Nad nami, w popołudniowym upale, grały kwitnące lipy.

– Urodził się tu, w Siennicy. Tu mieszkał. Był rolnikiem, chłopem, prostym człowiekiem. Jego ojciec Łukasz też się muzyką zajmował. Od roku 1935, jak tylko z wojska wrócił, to chór przejął. Chór był duży, mieszany, 35 osób. A *capella* śpiewaliśmy, zresztą do dziś tak zostało. Chór powstał w 1910 roku. Założył go organista **Czerwieniec**, potem

proceedził kierownik szkoły **Gomułkiewicz**, a po nim **Bolesław Górny**, też nauczyciel. A potem to już w ręce Mudów przeszedł, najpierw Łukasza, potem syna jego, Jana. O, tu pani dam taki artykuł. Tu cała historia spisana. Repertuar był bardzo różny, zależny od uroczystości. Były pieśni patriotyczne, kościele, partyzanckie. Niektóre to takie powszechnie znane, niektóre sam układał.

W czasie wojny chór tak w pełni nie działał. Tylko mężczyźni się spotykali, bo baby to się bały. W onych czasach to nie wolno się było gromadzić, zrzeszać. To zakazane było. Tutaj silnie partyzantka działała, to śpiewali nocą partyzantom na pogrzebach. Ale jak tylko wojna się skończyła, to chór znów działał. I prawie do samej śmierci Muda chór prowadził.

Miał kamerton do podawania dźwięku, a tak nic więcej. On ze słuchu wszystko. Czterema głosami potrafił śpiewać. Za młodu, jak chłopaczkiem był, to w chórze kościelnym sopranem śpiewał. Wykształcenia muzycznego żadnego nie miał, samoukiem był. Na pewno zdolności po ojcu odziedziczył, bo i on wcześniej chór prowadził. Ale do kategorii dyrygenckiej sam doszedł. Tylko własna praca. I na instrumentach grał, chyba tylko na akordeonie nie bardzo, a tak na wszystkich.

– A jakim był człowiekiem? Dobrym, normalnym, nie wywyższał się, choć był dyrygentem. O, tu, na zdjęciu, tyłem stoi. Miał taki brązowy garnitur. Jak prowadził oktet męski i któregoś zabrakło, chory czy nie mógł pojechać, to sam na jego miejsce stawał. I jakim głosem, basem czy tenorem na ten przykład, trzeba było zaśpiewać, to śpiewał.

Chór był znany tu w okolicy, ale też szerzej. Polskę całą objechaliśmy, wzdłuż i w szerz można tak powiedzieć: Lublin, Warszawa, Kraków, Lwów. Wiele nagród zdobyliśmy, na dożynkach ogólnopolskich występowaliśmy. A natenczas to nie było byle co. Nagrania dla radio też mieliśmy. Wyjazdy były najczęściej kilkudniowe, ale on na śpiewanie czas zawsze miał czas, choć i gospodarstwo Mudowie nie małe mieli.

– Z początku to był zwykły chór ludowy, ale gdzieś tak w początkach lat osiemdziesiątych był taki pomysł, żeby nazwę wymyślić. To, co tu napisane w tym przewodniku to nieprawda, że chór od początku

Siennicki Dzwon się nazywał. My z początku żadnej nazwy nie mieliśmy. To był zwykły chór ludowy, nasz chór.

Przez te kilka minut, dzięki pani **Reginie Knap**, przebiegłyśmy przez dziesiątki lat istnienia chóru. Twarze z czarno-białych fotografii wypełniły surowe, świeżo wykończone pomieszczenie centrum kultury, w którym rozmawiałyśmy. Poza naszymi krzesłami nie było żadnych mebli. Potężne, szklane drzwi chroniły nas przed rozpraszającymi dźwiękami z zewnątrz. Ale lato nie dało o sobie zapomnieć. Pomruki zbliżającej się burzy przerwały nasze spotkanie. Trzeba zdążyć do domu przed deszczem.

* * *

Spotkać panią **Ewę Itrowską** nie było łatwo. Ludzie wiedzieli, że nie mieszka tu na stałe, pojawia się w okresie letnim w Siennicy. Bałam się, że się miniemy, albo spotkam ją, gdy szykować się będzie do wyjazdu, a może nie zechce ze mną rozmawiać. Nim jednak doszło do naszego spotkania życziwe wypowiedzi skierowały mnie na ławkę w ogrodzie pana **Józefa Mochnieja**.

– Co będę pamiętał, to pani powiem, ale ja już nie wszystko pamiętam. Mam swoje lata, osiemdziesiąt dziewięć, najstarszy we wsi z mężczyzn jestem. To proszę pytać, będę wiedział, to powiem.

– Jaki charakter? Miły, uprzejmy, uczciwy człowiek. Spokojny, na miejscu, dobry sąsiad. I niezwykle zdolny, wszystko w jednym palusku miał. Sygnaturkę tylko, taką co dźwięki wydaje, do podawania melodii używał, a tak wszystko sam. On lubił śpiewać, zamiłowanie miał do tego. Bo jakby tego zamiłowania nie miał, to by nie prowadził tyle lat, nie tak?

– Do chóru to się sam zgłosiłem. Już dokładnie nie pamiętam, ale tak koło dwudziestu lat miałem. Do chóru to przeważnie młodzież się garnęła. Żadnych przesłuchań, wybierania nie było. Kto chciał, to śpiewał. Wieś kwitła, młodzież zajęcie miała. Czasu starczało na wszystko, ale pracy takiej wygodnej jak dziś – czy maszyn, jak tam stoją – nie było. Młodzi szybko niezależni byli, ale rodzice mieli uwagę w jakim towarzystwie się jest. W chórze było sporo osób, więcej jak dwadzie-

ścia. Stąd, ale też z innych, okolicznych wsi. Wszyscy zżyci jak w rodzinie, bo i wiele rodzin tam śpiewało, po dwoje, troje. Jak się szło na lekcję to jedni po drugich zachodzili i tak kupą szliśmy. I pary w chórze się kojarzyły. Moja żona też w chórze śpiewała i tak się poznaliśmy.

– Raz w tygodniu były lekcje, wieczorem. Każdy miał rozpisane nuty i słowa. Ale z pamięci się śpiewało, człowiek musiał być wyszkolony. A wymagać, krzyczeć nie musiał. Przymusu żadnego nie było, człowiek z chęcią szedł. Te piosenki to trzymały wieś, kształciliśmy się przez to. Bo gdyby nie śpiew, to co by z nami było?

Tu, niedaleko, córka przyjeżdża, gdzie rodzice mieszkali. On same córki miał. Jak pani chce, to mogę zaprowadzić, pokazać.

Skrzypnięcie furtki, droga przez sad i już po chwili siedziałam w ogrodzie. Na niedużym stolyczku stały róże.

– Te róże to specjalnie dziś zerwałam, żeby nam się milej rozmarowało. A kasetę z programem o tacie, co pani w niedzielę obiecałam, przygotowałam. O, proszę. To bardzo ważna pamiątka dla mnie, wzruszająca. Niedługo przed śmiercią nagrana. Jak przyjechali filmować, to zima była, szaro, brzydko. Tato wcale nie chciał występować, nie był przygotowany. „Do Knapowej idźcie” – tak im powiedział. Bo pani Regina, jakby rzeczniczką zespołu była. Ale potem się zgodził.

– A te nuty, co pani widzi, to tato pisał jak już starszy był. A pismo miał piękne. Własnoręcznie każdemu słowa i nuty rozpisывał. Czasem długo w nocy siedział, żeby ze wszystkim zdążyć. Ciągłe pisał. Sam kupował papier nutowy, to kosztowało. W Krasnobrodzie w kościele taką piękną pieśń usłyszał, tak mu się podobała. Ktoś jej nuty przyniósł, a tata od razu zaczął nucić i śpiewać. Muzyka to było całe jego życie; co usłyszał, to zagrał. Żadnych szkół muzycznych nie skończył. Dopiero potem kurs dyrygencki zrobił. Na kursie tylko on i jeszcze jedna osoba nuty ze słuchu zapisali. Ta muzyka zawsze w nim była, ta pasja, a tego się nie można nauczyć.

– Grał na instrumentach. Najbardziej trąbkę lubił. Opowiadał, jak go wzięli do wojska: ogolili, wykąpali, ostrzygli. A on myśli: co dalej?

Ogłosili, że organizują orkiestrę wojskową, i jak ktoś umie grać na czymś, to żeby się zgłosić. I tato poszedł. A tam dowódca jakiś, książkę, o tak sobie otwiera, na nuty pokazuje i mówi: zagraj. I tato zagrał. Ale ten nie bardzo chciał wierzyć, że bez szkół i tak z nut gra. I znów książkę otwiera. A tata znowu gra. I tak się do orkiestry dostał.

– Z chórem wiele nagród zdobyli, jeździli po Polsce. Tu gdzieś miałam dyplomy, zaproszenia, ale przez tyle lat to się pogubiły. Nagrania dla radia też mieli. Na tej kasecie tata właśnie opowiada o tym dokładnie, jak śpiewali i ktoś przez otwarte okno ich usłyszał, a potem do radia zaprosił. Ale tata zawsze powtarzał: to nie moja zasługa. Po nagrodę to chętniej panią Reginę wysyłał, niż sam odbierał. Taki już był.

– Mama była zła i dumna jednocześnie. Zła, bo dużo obowiązków na nią spadło, jak wyjeżdżali, odrywali się od pracy. A tata artysta, nieprzeciętny człowiek, odważny. Wiele umiał pogodzić. Jak była wojna, to okupanci chcieli żeby wszyscy mężczyźni poszli pod szkołę. Co dziesiąty był zabierany. Ale tata nie poszedł, zaryzykował i schował się pod stertę siana. I został. Odważny był, nie bał się ryzykować.

– Owszem, miał różne propozycje, cieszył się uznaniem. I przecież chór nie tylko tu, ale też i w Krasnymstawie i Tarnogórze prowadził. Chcieli żeby do partii się zapisał, ale tata odmówił, nie chciał. Ziemię żał było zostawić, porzucić to wszystko. Chwilami było ciężko, dużo pracy, pięć córek. Tata nigdy nas do najcięższej pracy nie brał. Mieliśmy spore pole za lasem, 4 kilometry drogi. Jak padało to, pamiętam, tata tak się cieszył, że musi odpoczywać, że nie może w pole jechać. Ale jakoś to wszystko godził, potrafił dać coś z siebie innym. Nawet jak jechał do pracy, to nucił. Muzyka zawsze z nim była.

– Później ciężkie czasy były dla wsi, trąbka została sprzedana. Siostra, choć mała, płakała, bo czuła, że stało się coś ważnego. Barwne miał życie, ale ciężkie.

– Mama mu umarła jak miał trzy latka. A ojciec, Łukasz trzy razy był żonaty. Rodzeństwo przyrodnie miał, chyba ich trójka była. Siostra się nim opiekowała. Opowiadał jak podczas wojny szli przez rzekę, siostra go prowadziła. Uciekali, bo wszędzie wojna i pożoga.

– Tata dużo czytał, prawie codziennie, zwłaszcza gazety. Na każdy temat potrafił się wypowiedzieć. Lubił wiedzieć, co się na świecie dzieje. Opowiadał nam o historii, o tym jak w trzydziestym dziewiątym został powołany do wojska: Niemcy z jednej strony, a z drugiej Sowieci. Ja nie chciałam wierzyć, w szkole przecież inaczej uczyli. O Katyniu nam opowiadał, albo jak partyzanci szli na pomoc Warszawie. Mówił wnukom, że tu jeszcze kiedyś piękne filmy powstaną. Pięknie opowiadał.

– Po wojnie takie przedstawienie wystawiali – „Chata za wsią”. Z muzyką, choreografią, piękne stroje mieli. Bardzo się podobało. Tu wielu zdolnych ludzi było, z pasją. **Rybczyński**, tenor, często do taty przychodził. A śpiewał tak pięknie, jak sam Kiepusza. Siadali na ławce, tam, pod jabłonią i rozmawiali o wszystkim. Tata bardzo go szanował. I z **Józefem Dzikim**, który zespół taneczny prowadził, też się przyjaźnił.

– A te kwiaty to hortensje. Jeszcze mama sadziła. Pierwsza we wsi takie kwiaty miała. Teraz, jak się idzie, to prawie w każdym ogródku są, to wszystko od niej.

– Niezwykły człowiek, z charakterem. Cenił Edytę Geppert, operetki bardzo lubił. Do Lublina czasem jeździł na przedstawienia. Telewizji to tak nie za bardzo. Jak oglądał Teleexpress to mówił, że to taka „teledupa”, bo tylko urywki. Nie podobało mu się to. Lubił mieć własne zdanie, nie dał sobie niczego wmówić. Potrafił też trafne przydomki nadawać, towarzyski był. Miał poczucie humoru, psikusy robił. Jest takie zdjęcie taty z wnukami i balonikiem, bardzo takie wesołe.

– Czuł, że umiera. Coś go dusiło, z płucami miał problem, a leczyli go na serce. Źle go leczono. Kiedyś przyszłam dowiedzieć się, co z tatą, a ordynator na to: przecież na coś trzeba umrzeć. Nie chciał się spowiadać, nie lubił klechów. Ale Matkę Boską jak matkę traktował. „Do końca uczymy się życia” – tak mówił nawet przed śmiercią. Bardzo chciał żyć, ciekawy świata, życia do końca.

– Najpierw mama odeszła, potem zaraz tata. W jedno lato.

– Brakuje go bardzo.

– I mamy też.

Cisza. Kończy się lato. Drzewa powoli rudzieją. W powietrzu unoszą się pajęczyny. Kwitną ostatnie róże.

Oglądam kasetę od pani Ewy.

„Co to znaczy lubić? Noce małe w lecie. Do Warszawy, do Lublina często trzeba jechać. To mam te próby do godziny dwunastej, a o trzeciej już się widno robi. Ale jak człowiek ma chęć, to wszystkiemu podoła.”

ILONA BANACH

ALEKSANDRA BOROWIK, EWA GADOMSKA

UKRYTE ŚWIATŁO

MARIA KIEŁBASA od wielu lat jest dumą mieszkańców Siennicy Różanej i okolic. Uważa się za amatorkę, gdyż nie ukończyła żadnych studiów artystycznych. Krępuje ją pokazywanie swoich obrazów, chociaż te znalazły już niejednego kupca. Powszechnie znana jest jako autorka pejzaży. Ale jej artystyczna „szuflada” i dusza kryją o wiele więcej.

NIE BĘDZIE ŁATWO

– Pani Maria? Dam wam do niej numer, ale ostrzegam, nie będzie łatwo. Jest skromna, nieśmiała, bardzo zamknięta w sobie – mówiła nam **Dorota Bzikot**, dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Siennicy Różanej. Siedząc w jej biurze mieszczącym się w starym, przedwojennym budynku, przeglądaliśmy grube segregatory ze szkicami tutejszej malarki, Marii Kiełbasy. Otwierałyśmy oczy ze zdumienia. Namalowane farbami olejnymi, w dużym formacie, wyglądałyby zjawiskowo.

– Pani Maria źle się czuje w roli sztandarowej malarki – tłumaczy **Lidia Jurkiewicz**, nauczycielka w tutejszym zespole szkół. – Gmina chce się nią chwalić, jest zapraszana na każdą uroczystość, przy każdej okazji pokazywane są jej obrazy. Jest impreza okolicznościowa, przemówienie wójta, orkiestra, dyplomy i nagle pani Maria w antrakcie. Jej nie odpowiada taki wizerunek. To nie jest jej świat.

– Zrozumiałam to, kiedy zaprowadziłam do pani Marii swoich uczniów. Przedstawiłam ją jako wielką, utytułowaną malarkę, znaną całemu lokalnemu społeczeństwu. I szokiem dla mnie było, kiedy pani Maria wstydziła się mówić. Zarówno o sobie, jak i o swoich obrazach. Zamiast wielkiej artystki zobaczyliśmy niezwykle skromną osobę. Jej głębia jest skrzętnie skrywana przed drugim człowiekiem.

MISTRZ

Maria Kiełbasa przez wiele lat pracowała w GOK-u. Prowadziła tam zajęcia artystyczne dla dzieci. Pałeczkę po niej przejęła jej najstarsza córka, Sylwia.

– Dziewczyny uczą się poprzez kopiowanie rysunków mamy. To metoda powszechnie stosowana na studiach artystycznych. Studenci próbują malować jak wielcy mistrzowie, a moje uczennice jak Maria Kiełbasa – dodaje z uśmiechem.

Jako nauczycielka, pani Maria ma na swoim koncie kilka sukcesów. Jedną z jej uczennic, **Aneta Furtak**, jest teraz studentką Akademii Sztuk Pięknych i może pochwalić się własnymi wystawami. Sąsiadka Anety, **Agata Czemerys**, choć nie wybrała studiów artystycznych, wciąż doskonali swój warsztat i sprzedaje obrazy przez Internet:

– Zajęcia z Panią Marią były moim pierwszym, a jednocześnie najważniejszym krokiem w stronę malarstwa. To ona odkryła we mnie talent, wskazała właściwą drogę. Zawsze była cierpliwa, pomocna, jak nikt inny umiała mnie zmotywować do pracy. I, co najważniejsze, potrafiła mnie doceniać. Ona jest za delikatna, żeby powiedzieć komuś, że coś źle zrobił. Zawsze powtarzała, że jak obraz nie wyjdzie, to trzeba zrobić następny. Zamiast krytykować, udzielała rad.

Artystyczne zdolności pani Marii ujawniły się także w trójce jej dzieci. Sylwia wspomina:

– Malowanie było w domu od zawsze, ale raczej jako rozrywka. Mama nie próbowała nas na siłę uczyć. Dzięki temu każde z nas poszło własną drogą. Moja siostra Ania, choć przebywa za granicą, niedawno postanowiła wrócić do malowania. Jej obrazy są zupełnie inne

niż mamy. Bardzo zmysłowe, inspirowane fantastyką. Brat Paweł kocha muzykę, ma nawet własny zespół.

Natomiast sama Sylwia, choć nie mówi o tym wprost, chyba najbardziej poszła w ślady mamy. Maluje pejzaże, portrety, uczy w GOK-u. Zrobiła jednak coś, czego jej mamie zawsze brakowało do szczęścia – niedawno skończyła studia na wydziale artystycznym.

KRÓLEWNY I MROczne PEJZAŻE

Na pierwsze spotkanie z Marią Kielbasą umówiliśmy się w GOK-u, jej dawnym miejscu pracy.

– Są moje królewny – powiedziała z zakłopotaniem, patrząc na obrazy zdobiące ściany. Przedstawiają piękne, wytwornie ubrane kobiety. – Kiedyś, jeszcze na początku mojej pracy tutaj, uwielbiałam je rysować. Kolorowe, w pięknych sukniach i dużych kapeluszach. Malowałam je dla siebie, do szuflady. Dorota uparła się, żeby je tu powiesić.

Oprócz „królewien” wisi tu dużo pejzaży. Przeważnie w barwach zimowych lub ciemnych, nocnych.

– Te są późniejsze. Większość malowałam właśnie w GOK-u. Zadawałam uczennicom jakiś temat, udzielałam rad, a w międzyczasie tworzyłam swój obraz. Sprawiało mi to przyjemność, ale do momentu, w którym musiałam zrobić coś szybko na zamówienie. Nie dość, że niektóre pejzaże były zupełnie nie w moim stylu, to jeszcze dzieciaki cały czas o coś pytały, odrywały mnie od pracy. Lubiłam je uczyć, ale do stworzenia czegoś dobrego potrzeba skupienia, ciszy, odosobnienia. Między innymi dlatego maluję w nocy. Zdarza mi się siedzieć w mojej domowej pracowni do trzeciej, czwartej nad ranem. Czy stąd w moich obrazach ten mrok? Może...

Lidia Jurkiewicz: – Jej pejzaże są jak ona sama. Te czarne konary drzew, ten mrok, ta cisza z nich płynąca, to cała pani Maria ze swoimi czarnymi, luźno puszczone włosami. Ale zawsze gdzieś w środku ukryte jest światło, które prawie niewidocznie emanuje z tych obrazów.

WARTOŚĆ

Mieszkańcy Siennicy dobrze znają obrazy Marii Kielbasy. Niektórzy mają je nawet w swoich domach. Nie zdają sobie jednak sprawy, ile wysiłku wymaga stworzenie jednego dzieła. Sylwia:

– Mama jest tu niedoceniana. Ludzie uważają, że namalowanie obrazu trwa godzinę, dwie. A ona męczy się nad nimi co najmniej kilka nocy. Zresztą sama doskonale wiem, jak to jest. Ostatnio malowałam obraz weterynarzowi, u którego lecę moje koty. Miał być formą zapłaty. Kiedy siedziałam nad nim kolejny dzień, doszłam do wniosku, że łatwiej byłoby zapłacić mu gotówką. Tworzenie to ciężka praca, ogromne psychiczne zużycie. Po każdym obrazie artysta czuje się totalnie wypompowany, bo wkłada w niego całą swoją energię. Potem zostaje już tylko wewnętrzna pustka, którą wypełnić może nowa inspiracja.

Jednak efekt końcowy – dzieło, rekompensuje cały trud, jaki został włożony w jego stworzenie. Każdy obraz jest ważny, wyjątkowy, a więc i bardzo wartościowy, gdyż jest w nim serce, część artysty. Niestety, nie każdy nabywca zwraca uwagę na faktyczną wartość dzieła.

– Rozeszła się fama – mówi Sylwia – że mama maluje dobre obrazy za niewygórowaną cenę. I przychodzą ludzie, naprawdę na wysokich stanowiskach i właśnie tego oczekują. Przyjechał kiedyś profesor z Uniwersytetu Przyrodniczego. Mama namalowała mu naprawdę duży obraz i podała cenę. Czteryście złotych. A on stwierdził, że to za drogo i musiała ją obniżyć. Albo przyszedł kiedyś prokurator; mówił, że składają się z przyjaciółmi z pracy na obraz, który miał być przeznaczony na prezent. Tylko od razu zastrzegł, żeby nie był za drogi, bo nie ma pieniędzy. Godziwa zapłata jest jedną z form docenienia trudu artysty. Wtedy czuje, że obraz ma swoją wartość. A jeśli tego zabraknie, człowiekowi już nie chce się dalej tworzyć. Ale mama robi to dalej, bo to kocha.

ARTYŚCI

Pani Maria jest znana w tutejszym środowisku artystycznym. Przez wiele lat była zapraszana na plenery organizowane w okolicy, sama prowadziła warsztaty dla młodzieży. Kilka lat temu usunęła się w cień i tworzy już tylko w swojej domowej pracowni. Jaka jest tego przyczyna?

Odpowiedź pomaga nam znaleźć jej córka:

– Mama traciła wiarę w swój talent po każdym plenerze w Uhrze u **Teresy Chomik-Kazarian**. Któregoś roku organizatorka postanowiła podnieść rangę swoich warsztatów. Wśród zapraszanych osób coraz więcej było studentów oraz absolwentów kierunków artystycznych. Poskutkowało to tym, że gdy malarz z dyplomem namalował nawet coś tandetnego, to zostawał natychmiast okrzyknięty geniuszem. Zatem – nie liczył się talent, a wykształcenie. Dla mamy było to deprymujące. Bo kiedy stworzyła coś naprawdę dobrego, artyści przechodzili obok tego obojętnie. Jednak jak przyszło do wystawiania obrazów na sprzedaż, to właśnie jej dzieła cieszyły się największą popularnością. W tak zwanym środowisku artystycznym panuje ogromna zawiść. Nie można pochwalić, tylko potępić – że amatorka.

Ale nie tylko plenery miały wpływ na to, że siennicka malarka postanowiła usunąć się z artystycznego świata. Paradoksalnie, również najbliższe otoczenie przyczyniło się do tego, że pani Maria woli swój zaciszny ganek niż wielkie wernisaże.

Sylwia: – Kiedy do Siennicy przyjechał **Janusz Trzebiatowski**, zastał przyjęty ze wszystkimi honorami. Zrobili mu ogromną wystawę, gmina wydała przepiękny katalog z jego obrazami, oczywiście na najlepszym papierze. Pomyślcie, jak moja mama się wtedy czuła. Ona, która 20 lat tu maluje, tyle dała z siebie tej Siennicy. Bo przecież wcześniej, przed nią, nic takiego się tutaj nie działo – to ona zaczęła prowadzić te artystyczne zajęcia i nigdy nie doznała nawet cząstki tego co on, wielki profesor, który raz czy dwa tu przyjechał. No i jak można się w takiej sytuacji czuć docenionym? Co dziwne, bardziej od wójta, mamę doceniał sam Trzebiatowski. A ona przecież malowała dla wójta przez te wszystkie lata obrazy, którymi obdarowywał gości odwiedzających gminę.

Czy byłoby inaczej gdyby Maria tworzyła w mieście? Lidia Jurkiewicz uważa, że tak.

– Gdyby miała okno na świat, gdyby zestawiała swoje obrazy z dziełami innych artystów, jej samoocena poszłaby w górę. Przez to, że żyje w małej, hermetycznej społeczności docierają do niej tylko jednostronne opinie. Raz usłyszała coś negatywnego i to ciągle w niej tkwi. Należałoby ją przedstawić szerszemu odbiorcy.

INNA

Nietrudno poznać dom pani Marii pośród wielu innych. Trafiliśmy tam bez problemu, nie znając dokładnego adresu. Za płotem i furtką ukazał się nam tajemniczy ogród, a pośrodku niego nieduży domek. Pani Maria, stojąc na ganeczku pełnym kwiatów, otworzyła przed nami swój artystyczny świat.

Siennicka malarka urodziła się w Żarach koło Zielonej Góry.

– Z Siennicy Różanej pochodzi jej mąż – informuje jej przyjaciółka, **Katarzyna Kondratiuk**, pracownik szkolnej biblioteki. – Ale to właśnie w Żarach jest jej miejsce na ziemi, kraina dziecięcej szczęśliwości. Tutaj ludzie przyjęli ją jak swoją, ale ona zawsze będzie inna.

– Od dziecka interesował mnie świat magii, tajemniczości. Czytałam dużo bajek. Ta fascynacja tkwi we mnie do dziś. Uwielbiam Tolkiena i Sapkowskiego. Ten pierwszy to prawdziwy patron moich obrazów i chyba też tego mroku – pani Maria pokazuje obraz, gdzie wśród ciemnych gałęzi drzew, w białej poświacie można dopatrzeć się postaci Gandalfa. Jak twierdzi autorka, wyszło to zupełnie przypadkowo.

Jednocześnie pani Maria cały czas pozostaje wierna realizmowi.

– Nieraz słyszałam, że od takiego czegoś jest firma Kodak, że w marstwie trzeba zaszaleć. Tak mówi się zwłaszcza na plenerach, gdzie od pewnego czasu promuje się sztukę nowoczesną. A ja siebie w tym nie widzę i nic z tym nie zrobię. Inspiruje mnie literatura, dobre fotografie czy po prostu piękne widoki. Będąc przez dwa tygodnie we Włoszech, nad jeziorem Como godzinami wpatrywałam się w malowniczy pejzaż, jaki widziałam z okna. Zapragnęłam go uwiecznić. Takim, jakim jest,

jakim go widzą moje oczy. Ze względów praktycznych było to wtedy niemożliwe, więc zrobiłam kilka zdjęć i namalowałam go później w domu.

Wśród obrazków rodem z Tolkiena czy pejzaży znad Como znajdują się też portrety.

– Nie patrzcie, one są okropne! – mówi o rysunkach pięknych kobiecych twarzy. – Takie sztuczne, niepodobne do rzeczywistych. Zaczęłam malować portrety na życzenie córek, kiedy były jeszcze małe. Nie mówię, że nie lubiłam tego robić, ale tych obrazków chyba najbardziej się wstydziłam. Właśnie dlatego, że nigdy nie udało mi się odzwierciedlić rzeczywistych rysów jakiejś osoby. W ogóle w całym procesie tworczym najcięższym dla mnie etapem jest ocena obrazu przez innych. Boję się krytyki czegoś, w co włożyłam nie tylko wiele godzin pracy, ale także część siebie. Malując obraz na zamówienie, z przerażeniem myślę o chwili, kiedy przyjedzie po niego klient. Najchętniej schowałabym się do innego pokoju, a on niech go sobie weźmie i pojedzie. Niech ja nie widzę jego wzroku wpatrzonego w mój obraz. Wzroku, z którego niewiele można wyczytać.

Trudno w to uwierzyć, szczególnie gdy ogląda się jej dzieła. Byłyśmy wręcz zbite z tropu, gdy osoby z otoczenia malarki mówiły, że nie jest ona pewna swojej wartości jako artystka.

– Wcześniej, gdy ktoś chwalił jej obrazy to mówiła, że właściwie to tu jej nie wyszło, tam jej się nie udało – mówi Sylwia i dodaje: – Dopiero niedawno udało mi się to u niej zwalczyć.

Dorota Bzikot od dłuższego czasu namawia panią Marię do zrobienia wystawy.

– Jeszcze do niedawna chyba nie miałabym nic przeciwko – mówi malarka. – Obrazy wiszą, ludzie oglądają, a mnie tam może w ogóle nie być. Ale teraz już nie mam na to ochoty. Wciąż tkwi mi w pamięci wyjazd do Rejowca. Miały być tam jakieś uroczystości i Dorota przekonywała mnie, że powinnam się wypromować, pokazać swój talent. Z oporem, ale zgodziłam się. Nawet nie wiecie, jak fatalnie się czułam stojąc koło swoich obrazów opartych o chodnik na jakimś trawniku. Ludzie chodzili, patrzyli, oceniali. Jeden pan nawet kupił. Ale zarobione pieniądze nie zrekompensowały mi tamtego okropnego uczucia.

Może ja po prostu taka już jestem? Zawsze lubiłam być w cieniu, za kimś się chować. Nawet wchodząc do sklepu z córką pcham ją, żeby weszła pierwsza. Czasem marzę, żeby wszyscy zostawili mnie w spokoju. Czy to takie dziwne, że ktoś woli samotność?

PRZYSZŁOŚĆ

Zostać na ukochanej wsi, gdzie nie ma perspektyw na rozwój, czy wyjechać do znienawidzonego miasta w poszukiwaniu lepszej pracy? Sylwia Kielbasa wybrała tę pierwszą opcję. Po kilku latach pobytu za granicą wróciła do Siennicy i oddaje się pasji, jaką odziedziczyła po mamie. Niestety – jak sama mówi – pasję można mieć, dzieci są chętne, ja jestem chętna, jest wiele możliwości, ale człowiek musi się za coś utrzymać. Za 370 zł to pasja też na długo nie wystarcza. Nie mówię żeby pławić się w luksusie, ja tego nie potrzebuję, ale chociaż żeby wystarczało na podstawowe potrzeby. Pomimo niskich zarobków i pojawiającej się czasem bezradności, w oczach Sylwii widać błysk, gdy tylko zaczyna mówić o pracy.

Ten sam błysk widać u pani Marii, gdy mówi o swoich „ponurkach”. O tym, że jak już skończy malować obrazy na zamówienie, to będzie miała w końcu czas na to co kocha – na tolkienowską scenerię, melancholię i tajemnicę.

– Ania tak na poważnie zaczęła malować dopiero teraz, w Irlandii. Ma pracę, może się spokojnie utrzymać. Pozwoliło jej to na nowo odkryć w sobie pasję. Znajduje na nią coraz więcej czasu – mówi Sylwia.

Może to właśnie jest sposób? Wprawdzie idealnie byłoby gdyby z tego, co kochamy, można było żyć. Ale czy wtedy pasja nie przestałaby spełniać roli sacrum w życiu?

ALEKSANDRA BOROWIK
EWA GADOMSKA

ANNA CHOROŚ

PRZED WYSTĘPEM

*Świat podobny jest do amatorskiego teatru;
więc nieprzywoicie jest pchać się w nim do
ról pierwszych, a odrzucać podrzędne.*

*Wreszcie, każda rola dobra, byle ją grać
z artyzmem i nie brać jej zbyt poważnie.*

Bolesław Prus

(Lato. Ogród przy dworze babińskim. Huśtawka. Wokół drzewa owocowe. Obok staw rybny. Stoły zastawione do biesiady. Służba wtacza beczkę z piwem. Wszyscy biorą udział w przygotowaniu uczty na cześć przyjazdu nadzwyczajnego gościa Mikołaja Reja)

To dopiero pierwsza scena pierwszego aktu sztuki „Zełżyj po trzykroć, czyli Jak to Rej z Siennicy za sędziego bywał w Rzeczpospolitej Babińskiej – silna komedia w 3 odsłonach”. Za chwilę pojawi się Pszonkowa, za nią – Chłopak z koszem owoców na głowie. Nie będzie wiedział, co z nim zrobić. Dziewczęta mu pomogą: za radą Pszonkowej postawią go na środku stołu. Jeszcze w tej scenie poznamy Wolską i Sarnicką. Będą plotkowały o mało istotnych sprawach: o karocy wymyślonej przez niejakiego Palczowskiego, o gołębiach, co niby listy miłosne Ewci roznoszą, o ogrodach – tych wiszących – gdzie aloesy i holenderskie tulipany, o Dorotce i jakimś sporze z jej udziałem.

Tego jeszcze nie widać. Nie ma huśtawki, nie ma drzew owocowych, nie ma żadnego stawu ani suto zastawionych stołów, i nikt nie

bierze udziału w przygotowaniach do uczty. Pszonkowa się zająknie, ktoś się głośno zaśmieje, a Chłopak wbiegnie za późno. Na dodatek bez żadnego kosza z owocami. Wcale go nie zapomniał. Wykona tylko taki ruch, jakby go ściągał z głowy i odda dziewczynom. One położą go na stole, którego także jeszcze nie ma. Jeszcze, bo to zaledwie początki prób. Nawet role nie są do końca rozdzielone. Brakuje ludzi i nie wiadomo, czy znajdzie się komplet, czy się zgodzą. Jeżeli nie, to będzie trzeba namawiać, prosić, przekonywać. Przed nimi dużo pracy.

Została wyróżniona, bo dobrze gra, bo ma talent i potrafi go wykorzystać.

– Bo najpiękniejsze, co jest w teatrze, to ludzie. I to różni ludzie – mówi **Agnieszka Soczyńska**. – Jest w człowieku taka świadomość, że się dnia nie zmarnowało, bo się dało coś ludziom, dało coś od siebie. Piękne. Brak słów. I tak już jest, że ludzie boją się ze sobą rozmawiać, że boją się zaprzyjaźnić, boją się kontaktu z drugim człowiekiem, a teatr... wiele daje. Wiele. To jest taka otwartość do ludzi. Taka czysta, szczerza bezinteresowność. To jest chyba najważniejsze.

(Z prawej strony, zza drzew zbliża się Wężyk, rotmistrz królewski. Na rękojści szabli dynda wianuszek fiołków)

Ofiaruje go później Małgorzatce. Ze scenariusza wiemy, że nie jest ona przychylna jego małżeńskim zamiarom. Że to na nic te wszystkie żalodne podchody, że ona kocha innego, że niby tego Sobierajskiego.

Akcja zaczyna nabierać tempa, dialogi stają się bardziej zabawne. Ktoś znowu się zająknie – to z pewnością Pan. Wszyscy się śmieją, ale nie jest to śmiech sceniczny; jest on prawdziwy, nieudawany, gdy tymczasem Pan jąka się specjalnie, bo tak jest w scenariuszu, bo tak trzeba dla dobra sztuki. W tle słuchać szepty i zaczyna się robić coraz głośniej. Trudno jest zachować spokój i ciszę, gdy wokół tylu znajomych, przyjaciół, gdy ma się ochotę rozmawiać, gdy jest to jedyna szansa, by spotkać się w tak licznym gronie. Ale trzeba pracować, nadążać za innymi, być otwartym na zmianę interpretacji. Ktoś woła Palczowskiego, że niby teraz jego kwestia, a jego nie ma, gdzieś się zapodział. Śmiechy nie ustają.

– Wiadomo, że jeżeli mielibyśmy jakieś bariery, że na przykład: ja z tym kimś nie zagram – nie wyszłaby taka sztuka. Na pewno – mówi

Agnieszka. – Rodzi się szczególna więź między ludźmi. To jest bardzo ważne i chyba najważniejsze. Ta więź... ona się odbija na scenie. Zresztą: na scenie, za sceną jest ona tak samo ważna.

(Hiacynt przy stole przegląda książkę babińską, z lewej siedzi Kaszowska bawiąc się chusteczką, a przy niej Wężyk uderza w konkury)

Kaszowska wspomina coś o nieszczęśliwym małżeństwie. Że niby wyszła za Kaszowskiego z przymusu. Tłumaczy, że ją zmusili, że jej mąż już stary, że chce zasmakować czegoś nowego. Ta scena z nią i Wężykiem jest bardzo zabawna. Zabawne sceny trzeba umieć dobrze zagrać. I chyba się udaje.

Ktoś podbiega do stołu i sięga po ciastko. Jeszcze inny – nalewa z termosu herbatę. Mogą. Dla komfortu i wygody. Bo przecież tyle godzin próby. Pan **Andrzej Misiura** prosi o spokój i ciszę, i skupienie, bo tyle jest jeszcze do nadrobienia:

– Tylko od waszego wysiłku i zaangażowania będzie zależeć, czy ta sztuka faktycznie się obroni; i to nieważne, czy ktoś ma do odegrania kilka słów, jedno zdanie czy całą partię dialogu! Wszystkie role są jednakowo ważne, wy jesteście jednakowo ważni – mówi.

Ktoś kiwa głową potakująco. Z biegiem sztuki rozpoznam, że jest to sceniczny Rej. Większość czuje się już zmęczona. Nic dziwnego – na dworze zaczyna się ściemniać, a dużo zostało jeszcze do odegrania. Ale nikt nie narzeka. Wszyscy wiedzą, że na sukces trzeba zapracować, że to nie jest takie proste, że trzeba dać od siebie więcej niż poprzednim razem, gdy mistrzowsko zagrali „Chatę za wsią” Ignacego Kraszewskiego.

Pan **Henryk Mochniej** wspomina, że bywało ciężko:

– Było lepiej. Było gorzej. Nie było łatwo i były takie momenty, gdzie wszystko zaczynało się po prostu sypać, bo jesteśmy tylko amatorami. Zyskaliśmy jednak bardzo dużo i nie chodzi tylko o rozgłos, ale o więź, jaka się między nami narodziła.

(Wężyk wraca z pełną szklanicą, a drogę zastępuje mu nastroszony Kaszowski)

Słowne nieporozumienie między nimi, wręcz – gra słów wywołuje salwę śmiechu na sali. To dobry znak. Kwestia odegrana tak, jak należy. Nie było trudno. Byle by tylko zagrać podobnie na scenie, przed widownią.

Ta sztuka musi być odegrana lepiej od poprzedniej. Trzeba się bardziej postarać i oni doskonale o tym wiedzą, nie trzeba przypominać.

– Bliżej, bliżej. Stańcie bliżej siebie. Nie bójcie się! – woła pan Andrzej Misiura do Wężyka i Kaszowskiego. – Tam będzie widownia, nie tutaj! Musicie się pokazać. O tak! – kończy.

– Grunt, że my się otworzyliśmy – mówi Agnieszka. – Jeżeli by to nie nastąpiło, to spektakl by się nie udał. Scena jest miejscem, gdzie widać odbicie naszej przyjaźni, bo to jednak jest przyjaźń, pomimo wszystko: pomimo wieku, płci, wyglądu – następuje długa cisza. – To relacje między nami są podstawą, fundamentem, a każda rola staje się jednakowo ważna. Taka magia... – ucina.

Taka magia. Dosłownie i w przenośni: gdy wychodzi „coś” z „niczego”, gdy nie może się zrozumieć, gdy nie jest się w stanie wytłumaczyć, gdy okazuje się, że ma się do czynienia z czymś niewytłumaczalnym, z czymś co porывa i zachwyca. I żyje się wtedy inaczej, lepiej.

– Bo tu nie chodzi o marzenia, tu chodzi o tradycję, i o potrzebę jej podtrzymania – tłumaczy pan Henryk.

I rzeczywiście, bo oto w 1913 roku **Franciszek Zaraza** z Woli Siennickiej organizuje amatorski zespół teatralny w Siennicy Różanej. Teatralna karuzela zaczęła się kręcić. Wystawione były sztuki: „Łobzowanie”, „Swaty”, „Walkowe kochanie”, „Surdut i siermiega”, „Chata za wsią” oraz „Macocho”. Rok temu, w grudniu – mieszkańcy Siennicy Różanej zaskoczyli wszystkich niezwykłym spektaklem „Chata za wsią”. Teraz chcą to powtórzyć, chcą zagrać lepiej, choć i tak:

– Najlepsze przedstawienia dzieją się za sceną, gdzie jest ten stres, że ktoś buta na przykład nie zawiązał, że rekwizytu zapomniał. To jest najlepsze! – śmieje się Agnieszka. – Bo sam występ na scenie, to wiadomo: jest grany dla ludzi, lecz to, co się dzieje za sceną to jest tylko nasze, prywatne, osobiste... To jest nasz drugi świat. Mamy swoje życie w domu, wśród bliskich, znajomych, ale jest jeszcze życie na scenie, gdzie udajemy kogoś innego. I to trzecie, gdzie „gramy” poza nią. Naprawdę piękne!

MOJA AKADEMIA

Piszę na temat faktów, które najmocniej utkwily mi w pamięci. Wylewam z siebie emocje, przekazując wspomnienia w formie bliskiej reportażowi.

Ze wspaniałej inicjatywy redaktora **Franciszka Piątkowskiego** zrodziła się myśl, by zorganizować – dla żaków i nie tylko – Wakacyjną Akademię Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego. To była jedna z tych propozycji uczestnictwa w wydarzeniu kulturalnym, z której każdy student dziennikarstwa powinien, moim skromnym zdaniem, skorzystać „w ciemno”.

W upalny dzień, dwudziestego siódmego czerwca A.D. 2009, uczestnicy akademii gromadzą się na Placu Zamkowym w Lublinie.

Z Radomia do Lublina dojeżdżam busem. Jest ze mną kolega Damian, którego oryginalne poczucie humoru nie opuszcza prawie nigdy. Około czterdziestostopniowa temperatura daje się we znaki. Mamy ze sobą nieduże bagaże. Czekamy na murku, popijając wodę.

Pakunki ludzi zgromadzonych w miejscu odjazdu zdradzają, kto jedzie tam, gdzie my. Dostajemy program od organizatora. Około godziny piętnastej odjeżdżamy dwoma busami do Siennicy Różanej, położonej około 70 km na południowy wschód od Lublina.

Droga mija szybko, jesteśmy w Siennicy: to malowniczo położona gmina, bardzo ekologiczna. Tereny na których przebywał niegdyś Mikołaj Rej, siejąc tam słowo polskie. Lasy, łąki sprzyjają chłonięciu wiedzy i odpoczynkowi.

Bardzo życzliwi gospodarze witają nas serdecznie i pokazują pokoje. „Nasza lokalizacja” to teren szkoły z internatem, stołówką oraz boiskami sportowymi. Po wybraniu pokoju na pierwszym piętrze – idziemy z Damianem na spacer, zwiedzić okolicę.

W miejscowym barze, w którym urzędują wieczorami tubylcy, poznajemy właściciela, Mariusza, z którym jakiś czas gawędzimy. W telewizji leci siatkówka. Regionalne naleciałości Mariusza nie przeszkadzają zrozumieć o czym mówi. Ostatecznie w Siennicy i okolicach nie zostało wielu młodych ludzi. Większość wyjechała na Zachód, bądź do większych polskich miast w poszukiwaniu lepszego jutra. Wieczorem zaprzyjaźniamy się z dwoma jeżami, które maskują swoją obecność w ramionach nocy. Zmęczeni szybko zasypiamy.

Niedzielne śniadanie jest bardzo obfite. Pieczywo, sery, wędlina, jogurty, maślanek, to tylko niektóre z dostawców energii na Akademii. Z czasem okazuje się, że wszystkie inne posiłki również są bardzo dobre. Jednym słowem – kuchnia na medal.

Inauguracja rozpoczyna się o godzinie piętnastej w ładnym, klimatyzowanym i przestronnym budynku domu kultury. Przemawiają władze gminne i uczelniane, a honorowym gościem jest **Alicja Kapuścińska**. Wieczorem pieczemy kielbaski nad ogniskiem.

W poniedziałek rano gromadzimy się w sali na „Opowieści o Rysku”. Alicja Kapuścińska w rozmowie z tłumaczem, poetą, reportażystą **Markiem Kusibą** – zdradza kulisy życia pod jednym dachem z najwybitniejszą reportażystką dwudziestego wieku. Uprzednio podpisuje książki chętnym.

Z dialogu dowiadujemy się o ich relacjach z perspektywy żony, powiernicy, recenzenta, przyjaciółki, wybranki życia. Ryszard Kapuściński urodził się w Pińsku (obecna Białoruś). Z żoną poznali się studiując historię na UW. W połowie XX wieku mieszkali w Meksyku. Za młodu Ryszard trenował boks oraz piłkę nożną. Pracował dla PAP. Pisanie zaczynał od poezji, a jako dziennikarz od depechy. Aż do śmierci pozostał wielkim fanem Adama Mickiewicza. Pasjonował się teatrem, kinem, lubił muzykę poważną. Tango było jego ulubionym tańcem.

Jego podróże zagraniczne liczyć trzeba w dziesiątkach tysięcy kilometrów. Władał angielskim, hiszpańskim, portugalskim, rosyjskim. Na sto przeczytanych stron, przelewał na papier może jedną stronę. Był zawsze świetnie przygotowany do podróży zarówno pod względem merytorycznym jak i kondycyjnym. Najlepiej pisało mu się na domowym poddaszu. Miał świetną pamięć. Szkoda było mu czasu na urlop. W późniejszych latach miał problemy zdrowotne – zwyrodnienie stawu biodrowego od trzymania nogi na nogę podczas pisania. Na szczęście obyło się bez operacji. W planach, których nie zdążył zrealizować, miał wyjazd na Wyspy Pacyfiku śladami Bronisława Malinowskiego, opisanie Ameryki Łacińskiej oraz książkę o rodzinnym Pińsku. Za życia, upodobał sobie Afrykę i najwięcej czasu poświęcił właśnie temu kontynentowi.

29 czerwca to imieniny Piotra i Pawła. **Piotr Załuski** daje krótki wykład i prezentuje „co nieco” ze swojej twórczości reżysera i scenarzysty. Śpiewamy sto lat.

W wolnej chwili przed obiadem rozmawiam z nim na temat powodzi jaka dotknęła Wrocław w 1997 roku. Dowiaduje się, że przez mój rodzinny Radom tylko przejeżdżał, ale ma w nim kilku znajomych. Wieczorem gromadzimy się, by obejrzeć cykl jego świetnych filmów dokumentalnych, poświęconych patronowi naszej Akademii. W międzyczasie, z wykładu **prof. Ryszarda Szczygła** dowiaduję się trochę więcej na temat terenu na którym się obecnie znajduję.

Co wieczór mamy zajęcia z Markiem Kusibą – poetą, przyjacielem Kapuścińskiego, dziennikarzem, który na stałe mieszka w Kanadzie. Omawiane są zarówno wiersze jak i proza mistrza reportażu. Zajęcia pod hasłem „Nocny Marek” okazują się bardzo ciekawym doświadczeniem. Nie brakuje powagi, zadumy, łez, jak i spontanicznego śmiechu.

Warsztaty reportera prowadzone przez **Ewę Czerwińską** w „Gaju Akademosy” również zaliczam do bardzo pouczających i udanych. Prowadzimy luźne rozmowy na temat obecnej sytuacji w mediach.

W piątek przyjeżdża **Wojciech Giełżyński**, wybitny reportażysta. Jego wykład pt. „Wschód wschodzi, a Zachód zachodzi” okazuje się dla mnie jednym z najciekawszych punktów programu Akademii.

Słuchamy ciekawych opowieści o wielu jego światowych podróżach. Jako jedyny mówi nam też, że Kapuściński miał też gorsze momenty pisarskie. Giełżyński jest autorem około pięciu tysięcy publikacji prasowych, komentarzy radiowych i telewizyjnych oraz ponad 60 książek (głównie na temat Trzeciego Świata) i z zakresu problematyki społeczno-politycznej. Odwiedził w wędrownkach reporterskich 85 państw. Zasiada też w Łoży Masońskiej.

Na sobotnim wykładzie z **Markiem Millerem** nie czuję się za dobrze. Pomimo że ciekawie opowiada, nie zapamiętuję dużo. Najbardziej przeszkadza w koncentracji wysoka temperatura powietrza. Na pamiętkę dostajemy trochę warszawskiej prasy.

Dwa dni przed powrotem zapoznajemy się z młodym chłopakiem, który zaprowadza mnie i Damiana w głąb pobliskiego lasu. Docieramy do wielkiego, podwójnego drzewa, na którym wyrte są różne daty oraz inicjały polskich policjantów z terenów siennickich, rozstrzelanych dziesiątki lat temu w miejscu, w którym się znajdujemy. Z opowieści ustnych wiadomo, że katami byli Rosjanie. Jest parno, nieustannie trzeba odganiać insekty. Przez chwilę czuje się jak Ryszard Kapuściński, przemierzający obce ziemie w poszukiwaniu tematu.

Pożegnalne ognisko to wręczenie dyplomów uczestnictwa oraz wielka uczta. Smutno jest wracać do domu. Wspaniali ludzie, masa ciekawych informacji, świetna kuchnia, doskonała atmosfera sprawiają, że z przylepionym nosem do szyby w busie odwożącym nas do Lublina, myślę o przyszłorocznej Akademii.

PAWEŁ KOCUN

DOBRY CZŁOWIEK GAWRYŁÓW

Usiedliśmy. Kryształowe kielichy ożywiło czerwone wino. Wieczór był późny. Życie człowieka wyjątkowego otwierało się przede mną z każdym słowem. **LEONID GAWRYŁÓW**, dla jednych cudowny lekarz, człowiek wybitnie dobry, altruista, dla drugich znachor i dziwak. Dla wszystkich osobowość niespotykana, wymagająca przede wszystkim od siebie, dopiero potem od innych. Byłem gościem **Andrzeja Davida Misiury**. To działający społecznie artysta, autor sześćdziesięciostronicowej książki „Gdy mistrz odchodzi wspomnienia o Leonidzie Gawryłowie” – wydawanej w 1983 i 1985 roku w skromnym nakładzie trzystu egzemplarzy.

Przygoda Gawryłowa z medycyną zaczyna się w dniu poznania straszliwej diagnozy dotyczącej jego stanu zdrowia. Choroba miała pozbawić go życia w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Ponieważ dostępne środki nie rokowały nadziei, Gawryłow postanowił leczyć się sam, środkami medycyny niekonwencjonalnej. Ziołolecznictwo, które dotychczas było tylko jednym z jego zainteresowań uratowało mu życie. Terapię przeprowadził sam. Po kilku miesiącach w wyśmienitym zdrowiu odwiedził lekarza, który tylko potwierdził u niego brak jakichkolwiek schorzeń. Skoro potrafił wyleczyć siebie, zaczął też leczyć innych.

Jego sposoby leczenia były wykpiwane w środowisku lekarskim, mimo ich skuteczności. Gawryłow wiele razy przywracał do zdrowia osoby, którym ostatnią nadzieję odebrali dyplomowani lekarze. Schorzenia diagnozował z dłoni i źrenicy oka, na podstawie którego po-

trafił określić dokładny stan pacjenta oraz wyznaczyć ścieżkę powrotu do zdrowia. Zajmował się także kręgarstwem, czyli leczeniem chorób, polegającym na masażu kręgosłupa oraz mięśni pleców i nastawianiu kręgow. Z czasem sława Gawryłowa rosła i pacjenci przybywali nawet z najdalszych części województwa, a nawet z kraju. Przyjmował ich w swoim domu, przed którym od rana do późnego wieczora czekali chorzy z nadzieją uzdrowienia. Dziennie potrafił przyjąć do sześćdziesięciu pacjentów, od których nie pobierał opłaty. Jeżeli ktoś zostawił pieniądze, przeważnie przeznaczał je dla bardziej potrzebujących. Pocztowymi przekazami, których rozsyłał mnóstwo, wspierał organizacje charytatywne, biedotę oraz fundował stypendia dla ubogich studentów. Spał tylko kilka godzin dziennie, bo zawsze musiał znaleźć czas na pracę nad sobą. Fascynacja wiedzą tajemną i kulturą Tybetu zaowocowały codzienną medytacją i praktyką jogi, która pozwalała mu zachować równowagę duchową i utrzymywała ciało w wysokiej sprawności fizycznej.

Doktor miał niezwykły dar wypływania na ludzki los. Potrafił rozmową zmieniać postępowanie ludzi, którzy pod wpływem jego pozytywnej energii stawali się lepsi. Człowiek szerokich horyzontów, tajemniczy, niechętnie mówiący o sobie, powoli stawał się mitem. Nigdy nie zostawiał nikogo w potrzebie. Jeśli mógł mu pomóc – pomagał. Materialnie, jako lekarz, albo dobrym słowem. Zawsze z dobrocią i współczuciem, bo – jak powtarzał – „najważniejszy jest drugi człowiek”.

Żył skromnie. Małe mieszkanie przy ulicy Mokrej w Krasnymstawie, gdzie mieszkał na poddaszu u państwa Bednawskich, czy ciasne i skromne mieszkanie przy ulicy Okrzei 30 – musiało wystarczyć tylko do przeżycia. Gdyby przyjmował pieniądze, byłby jednym z najbogatszych ludzi w mieście i okolicy. Jednak jego nie interesowały rzeczy przyziemne, ziemskie dobra czy luksusy. Zapłatą i nagrodą za pracę była radość, że ktoś odzyskał zdrowie, a także zaufanie pacjentów i – przede wszystkim – możliwość obdzielenia ich pierwiastkiem dobroci.

Rozmowa dobiegła końca blisko północy. Mój rozmówca zapewnił mnie o swoim dalszym zainteresowaniu postacią Gawryłowa, które, być może, w przyszłości zaowocuje szerszą publikacją książkową. Roz-

mowa była swoistym wejściem na ścieżkę bliskiego poznania niezjącego już człowieka.

W szpitalu, na porodówce, kilka świeżo upieczonych matek chodziło po korytarzu, nosząc swoje pociechy w ramionach. Ordynator, **dr Leszek Janeczek** obiecał, że znajdzie dla mnie chwilę, ale wcześniej musi odebrać poród. Po kwadransie krzyki z końca korytarza umilkły, pojawiło się nowe życie. Doktor zaprosił mnie do swojego szpitalnego gabinetu. Znowu notowałem fakty dotyczące przeszłości i życia Gawryłowa.

Felczer z Krasnegostawu urodził się w 1901 roku w Petersburgu, w Rosji, w rodzinie szlacheckiej. Ojciec miał zdolności artystyczne, zajmował się malarstwem. Jego obrazy wisiały podobno w wielu domach ówczesnej rosyjskiej szlachty. Tragedia, ale i wielka przygoda Gawryłowa z Polską zaczęła się wraz z wybuchem rewolucji w 1917 roku, kiedy jego rodzina została wymordowana, a on sam został siłą wcielony do bolszewickiej armii, gdzie pełnił funkcję sanitariusza. Być może już wtedy posiadał leczniczą wiedzę. Bolszewicka armia dotarła pod Zamość. Gawryłow został ranny i pozostał w miejskim szpitalu, gdzie początkowo nie chciano się nim zajmować ze względu na rosyjskie pochodzenie i przynależność do bolszewików.

Po dojściu do zdrowia, postanowił zostać w Polsce. O wyborze Krasnegostawu, jako miejsca zamieszkania, zadecydował herb miasta. Składa się on z dwóch równoległe i przeciwstawnie płynących ryb. Głęboka wiara w astrologię i horoskopy, którymi się interesował, pomogły w wyborze, ponieważ wywodził się spod zodiakalnego znaku ryb. Pracował w Starostwie Powiatowym, gdzie był architektem i budowląncem, kilka budynków jego projektu stoi do dziś w Krasnymstawie. Mówiąc o tym doktor Janeczek wstaje i podchodzi do okna; ręką wskazuje budynek projektu Gawryłowa, jaki widać z jego gabinetu.

Po gruźlicy, z której sam się wyleczył, Gawryłow stał się rozpoznawalny, a przed domem pojawiało się coraz więcej chorych szukających cudownego uzdrowienia. Zajmował się też wiedzą tajemną, w skład której wchodzi wiele gałęzi nauk – od astrologii, dzięki której układał horoskopy, przez zielarstwo, irydologię aż po hinduską filozofię i jogę.

Ten zlepek zainteresowań czynił go człowiekiem wręcz renesansowym i wybitnym w swoim otoczeniu. Swoją nieskazitelną postawą zainteresował podobno żyjących w pobliżu zakonników, którzy starali się przekonać go do życia w ich zgromadzeniu. Gawryłow odmówił jednak, mówiąc, że swoją karmę musi przeżyć w Krasnymstawie, mieście, które jest mu przeznaczone.

Nastaje chwila milczenia, zadaję kolejne pytanie. Tym razem o czas II wojny światowej. Doktor Janeczek w skupieniu mówi, że Leonid Gawryłow także podczas wojny wykazywał się dobrem. Niejednokrotnie ryzykował życiem pomagając rannym, ukrytym w pobliskim lesie partyzantom czy zwykłym, chorym ludziom, czy po prostu biednym i głodnym. Cieszył się ogromnym poważaniem i szacunkiem także ze względu na skromność. Przykładem może być rower. Środek lokomocji, którym przez całe życie posługiwał się medyk. Wiąże się z nim zabawna historia. W czasie wojny Gawryłow na rowerze pojechał do lasu, by pomóc partyzantom. W lesie rower znikł, prawdopodobnie któryś z żołnierzy go „pożyczył”. Ale gdy tylko dowiedział się do kogo należy, zwrócił go następnego dnia.

Gawryłow posiadał także nadprzyrodzony dar jasnowidzenia. Potrafił przewidzieć śmierć chorego z dużą dokładnością. Podczas wizyty umiał powtórzyć słowa pacjenta, który w przeszłości źle o nim mówił, lub nie dowierzał jego leczniczym metodom. Pewnego razu, spytany o los zagubionej osoby, wskazał dokładnie miejsce, w którym potem odnaleziono martwe ciało. Do innych niezwykłych zdolności felczera trzeba zaliczyć umiejętność odnajdywania podziemnych źródeł i prądów wodnych za pomocą wahadełka, które służyło mu także do odgadywania płci dziecka u kobiet ciężarnych. Metoda była dość skuteczna i na owe czasy jedyna, ponieważ medycyna nie znała jeszcze USG, które wynaleziono dopiero w latach 70-tych XX wieku.

Po rozmowie z doktorem Janeczkiem, znalazłem się na dawnej ulicy Mokrej w Krasnymstawie. To właściwie bardziej uliczka, ponieważ są przy niej zaledwie trzy nowo zbudowane domy. Pytam o Gawryłowa, patrona ulicy, ale mieszkańcy są zbyt młodzi – nie wiedzą. Wygląda na to, że się spóźniłem; ludzie, którzy mogliby pamiętać zmarłego

przed 25 laty człowieka już odeszli. Licząc na więcej szczęścia, trafiam do bloku przy ulicy Okrzei. Pukam do dawnego sąsiada – pana Boruchalskiego. Długo nie odpowiada. Czekam. Drzwi powoli otwierają się, człowiek za progiem jest bardzo słaby i, jak twierdzi, zbyt chory, aby rozmawiać. Ożywia się wprawdzie na dźwięk nazwiska Gawryłowa, jednak odmawia rozmowy.

Nie rezygnuję i dzwonię do pani Kozioł. Starsza kobieta wygląda zza drzwi, przymocowanych – dla bezpieczeństwa – dodatkowym łańcuszkiem. Gdy mówię, w jakiej sprawie przychodzę, starsza kobieta uchyla szerzej drzwi. Uśmiecha się i mówi: „on był święty, dzisiaj już takich ludzi nie ma”. Opowiada z przejęciem, że był niesłychanie dobrym człowiekiem i lekarzem. Pomagającym zawsze i wszędzie tam, gdzie działa się jakaś krzywda i pojawiało się cierpienie. „To był dobry człowiek. I tylko tyle mogę powiedzieć”. Kolejna ścieżka prowadzi do doktor **Scholastyki Trochim** – polecił mi ją doktor Janeczek. W notatniku odnajduję numer... Umawiam się na siedemnastą. Na ostatnie piętro prowadzą schody w niebezpiecznie niskiej klatce schodowej. Przed mieszkaniem nr 18 rozmawiają dwie kobiety. Drobna, uśmiechnięta, pełna życia, o śnieżnobiałych włosach to właśnie doktor Trochim. Zaprasza mnie do środka ciepłym: „chodź, dziecko”. Zamyka drzwi, odwiesza moją kurtkę i zaparza herbatę.

W mieszkaniu jest chłodno. Doktor tłumaczy to swoim znakiem zodiaku. Jest wodnikiem i lubi chłód, a mnie rozgrzewa herbata. Pytam o Jadwigę, żonę Leonida. Połączył ich przypadek, ale wielka miłość zawsze rządzi się przypadkami. Felczer z Krasnegostawu pomagał ubogim studentom, fundując stypendia pozwalające na edukację uniwersytecką. Jedną z takich studentek była Jadwiga, której wojna przyniosła wiele traumatycznych przeżyć. Straciła brata, który walczył na froncie. Ona wraz z rodzicami została aresztowana i trafiła do obozu koncentracyjnego. Tam ich wspólne ścieżki się urywają. Jadwiga szczęśliwie przeżywa okropny czas obozu. Po wojnie kończy liceum w Kielcach, by następnie kontynuować naukę na studiach medycznych w Warszawie. Stypendium, pozwalające na edukację otrzymywała właśnie od Gawryłowa, który nieświadomie wspomagał swoją przyszłą miłość.

Na ostatnim roku studiów, Jadwiga pragnie poznać swojego darczyńcę i odwiedza go w Krasnymstawie. Gawryłow, widząc jej słaby stan zdrowia, pomaga jej dojść do dobrej kondycji. Zakochują się w sobie i regularnie pisują listy. W nieco ponad rok są już małżeństwem, po cywilnym ślubie, ponieważ Leonid był wyznawcą prawosławia. Jadwiga nie nalegała na zmianę wyznania. Po kilku latach postanowiła odszukać swoją rodzinę. Jak się okazało, rodzice wraz z siostrą wiedli spokojne życie za oceanem, w Chicago. Jadwiga wyjechała na kilka miesięcy. Gawryłow był pewien, że ukochana już nie wróci. Pisał do niej codziennie. Pościł i pracował jeszcze więcej, i jeszcze ciężiej. Na szczęście Jadwiga wróciła i jego życie wróciło do normy. Po powrocie żony, obiecał poświęcać jej więcej czasu i mniej pracować. Latem chodzili na ryby, na łąki i do lasu w poszukiwaniu ziół. Podobno pewnego razu, rozumiejąc rozpacz sąsiada, który stracił żonę, pomógł mu w magiczny wręcz sposób. Kazał przynieść sobie pół szklanki wody. Zamieszał w naczyniu palcem. Gdy oddał szklankę sąsiadowi, nakazał, by spojrział w taflę wody, gdy ta się tylko uspokoi. Ten spojrział i ujrział oblicze zmarłej żony, za którą tęsknił.

Gdy doktor Trochim poznała Gawryłowa, był on już powszechnie znany w mieście i środowisku lekarskim. Pracował w ośrodku zdrowia, dodatkowo przyjmował w domu. Leczył wszystkich: ludzi wybitnych, takich jak biskup Pylak, którego wyleczył z choroby nerek, po najwyższych rangą partyjnych sekretarzy. Przed wszystkim jednak leczył ludzi ubogich, których nie było stać na wizytę u lekarza. Felczer zajmował się także pisaniem horoskopów i wróżb. Pisał horoskopy nawet najważniejszym osobom w państwie, między innymi **Edwardowi Gierkowi**. Jedną z takich wróżb dr Trochim pamięta doskonale. Gawryłow przewidział wypadek jej córki. Wtedy nie uwierzyła w tę – jak się, niestety, okazało – proroczą wizję, bowiem kilka lat później jej córka zginęła w wypadku samochodowym.

Milczymy. Doktor znowu zaczyna opowiadać. Felczer był świetnym psychologiem. Czasami nie musiał przypisywać żadnych lekarstw czy ziół – wystarczała rozmowa. Trochim żałowała, że może tak mało powiedzieć o tak wielkim człowieku. Nie ma już wielu ludzi, którzy mogliby o nim mówić. Stara się jednak mi pomóc.

Kwadrans jazdy samochodem i odnajdujemy parterowy dom Joanny Osoby. Wchodzimy do środka. Zostajemy przyjęci bardzo serdecznie. Pyszne ciasta własnego wypieku zapełniają drewniany stół. Gospodyni potwierdza wszystko, czego dowiedziałem się dotychczas. To niesamowity człowiek. Dobro przelane w ludzkie ciało. Lekarz altruista, któremu do życia potrzebna była tylko żona Jadzia i wdzięczność pacjentów – poza tym nic. Osobowa wskazuje jeszcze jedno nazwisko – przyjaciela Gawryłowa, **Janusza Mordzińskiego**, mieszkańca Dąbrowy. Dziękuję za rozmowę i życzę szczęścia.

Samochód odmówił posłuszeństwa. Z opresji ratuje mnie kolega ze szkolnej ławki **Gabriel Piątkowski**. Po 20 minutach jazdy jestem w Dąbrowie. Przed domem pasieka. Wchodzę do środka. Janusz Mordziński to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w starszym wieku. Gospodyni podaje herbatę i ciasto. Mordziński przynosi liczne materiały dotyczące Gawryłowa. Poznali się, gdy z tłumu pacjentów stojących przed domem wybrał właśnie jego. Gospodarz opowiada o prześladowaniu Gawryłowa ze względu na pochodzenie. Były nawet przejawy agresji i pobicia. Zawiść lekarzy sięgnęła zenitu, gdy zmusili go do rezygnacji z pracy w ośrodku zdrowia ze względu na brak dyplomu uczelni wyższej. „Osoby niewinne cierpią i w takich przypadkach nie chcą się bronić. Na nich skupia się cudze zło” – mówi Mordziński.

Od tamtej pory Gawryłow pracował w szkole jako sanitariusz i uczył higieny. Po powrocie z Ameryki jego żona, widząc ogromne przepracowanie męża, zakazała mu przyjmować w domu. Gawryłow nie potrafił tego zrozumieć, jednak uszanował wolę swojej ukochanej, którą nazywał „najwyższą władzą.” Jednak nie porzucił leczenia chorych i po kryjomu przyjmował pacjentów czy to w biurze u Mordzińskiego, czy w innych miejscach. Pomagał też listownie. Pacjenci opisywali swoje schorzenia, on odpisywał i opisywał sposób leczenia.

Mordziński był jego przyjacielem przez wiele lat. Opowiada jak opiekuje się jego grobem, na którym zawsze jest wieniec i paląca się lampka. Mówi też o tym, że powinno się uczcić pamięć tak wybitnego lekarza. Świetnym pomysłem byłaby tablica na jego domu przy ulicy

Okrzei. „To był wyjątkowy człowiek. Dzisiaj to niespotykane. Żył bardzo skromnie, nie potrzebował za wiele. Wszystkich jednakowo kochał i nawet wrogom darował...”

MAREK SZYMANIAK

Felieton inspirowany pierwszą WARRKą, opublikowany w cyklu „Żabką przez Atlantyk” na łamach Przeglądu Polskiego, tygodniowego dodatku kulturalnego Nowego Dziennika w Nowym Jorku.

MAREK KUSIBA

MODLITWA DO DZIEWICY

Po felietonie o Romanie Polańskim odezwała się **Ania Kiedrzynek** z Lublina, sugerując mi napisanie o **Leonardzie Cohenie**, który „na pewno nikogo nie zgwałcił”. Mam nadzieję, że wzruszającej wiary panny Anny w nieskazitelność moralną autora Pięknych przegranych nie zachwieje informacja, że pradziadek Cohena też pochodził z Polski...

Z naszej pięknej ojczyzny wywodzi się wiele talentów, często nad Wisłą zapoznanych. Dokładnie o sto lat wcześniej od kanadyjskiego pieśniarza, urodzonego w Montrealu w roku 1934, w roku 1834 w Warszawie urodziła się kompozytorka Tekla Bądarzewska. W Polsce o Cohenie wie każde dziecko, nie mówiąc o 19-letniej Ani Kiedrzynek – która zna jego utwory na pamięć, i to po angielsku – za to **Teklę Bądarzewską** zna każde dziecko uczące się gry na fortepianie, ale w... Japonii. Polka jest dziś nad Wisłą całkowicie zapomniana.

Tekla Bądarzewska-Baranowska ułożyła ok. 35 miniatur, ale od 150 lat znana jest wśród pianistów na całym świecie dzięki *Modlitwie dziewicy* – prostej melodyjce, skomponowanej w wieku lat 17. Utwór opublikowało ponad 80 wydawnictw, od Francji po Australię. W rozmodłonej Polsce nikt się dziś jednak nie modli *Modlitwą dziewicy*, bo w XIX wieku krytycy uznali utwór za kiczowaty, a więc nie wart subtelnych uszu rodzimej latorośli. Tymczasem *Modlitwa* jest najchętniej kupowanym utworem na fortepian wszech czasów - jak utrzymuje anglojęzyczna Wikipedia. Wydana przed dwoma laty w Japonii płyta z mazurkami Polki bije rekordy sprzedaży w sklepach z muzyką klasyczną i w internet-

cie. Takty łatwo wpadającej w ucho *Modlitwy dziewicy* można usłyszeć nawet w tokijskim metrze.

O tym wszystkim usłyszałem w nagrodzonym tegoroczną nagrodą Prix Italia reportażu radiowym *Modlitwa zapomnianej* autorstwa **Katarzyny Michalak** z Radia Lublin i pochodzącej z Nałęczowa Doroty Hałasy, dziennikarki i orientalistki mieszkającej od 15 lat w Tokio. Prix Italia to radiowy Oscar, najbardziej prestiżowy konkurs dla radiowców z całego świata. Katarzyna Michalak już po raz drugi zdobyła ten radiowy Mount Everest: sięgnęła po najwyższy laur także w roku 2006.

Minionego lata razem z Anią Kiedrzynek i słuchaczami Wakacyjnej Akademii Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego w Siennicy Różanej na Lubelszczyźnie słuchałem opowieści reporterki o jej warsztacie, zafascynowany niczym król Midas opowieściami o wyprawach Sylena do zaoceanicznych krajów. Organizator Akademii, **Franciszek Piątkowski**, zaprosił dwie znakomitości radiowe – Kasię Michalak i **Monikę Hemperek**, fundując nam prawdziwą ucztę dla ducha i ucha. Teraz lepiej rozumiem, dlaczego Kasia Michalak jest wśród dziennikarskiej braci jedyną w Polsce posiadaczką dwóch radiowych Oscarów: to prawdziwa artystka mikrofonu, która słyszy, co ludziom w duszach gra, a potem zamienia to, niczym Midas, w prawdziwe złoto.

Król Midas uwielbiał też słuchać muzyki, był nawet jurorem w konkursie pomiędzy pasterzem Marsjaszem i bogiem Apollem, w którym ten ostatni oszukiwał, co nie uszło uwadze Midasa, za co Apollo zamienił mu uszy na ośle. Dzisiaj ośle uszy należałoby przyprawić polskim muzykologom i popularyzatorom muzyki z powodu Tekli Bądarzewskiej-Baranowskiej: chronią jak mogą polskie dzieci przed jej mazurkami chyba tylko z tego powodu, że miała nieszczęście być kobietą piszącą muzykę, i to poważną... To jednak temat na osobny felieton.

Jednym z bohaterów reportażu dwóch pań-reporterek jest Japończyk, mówiący zresztą świetnie po polsku, wydawca *Spełnionej modlitwy dziewicy* – bo tak zatytułował pierwszą płytę z kompozycjami Tekli Bądarzewskiej-Baranowskiej. Dzięki niemu Tekla stała się w Japonii gwiazdą. Jej nazwiskiem nazwano także jeden z kraterów na Wenus. Tekla świeci jasno na japońskim firmamencie, a w Polsce nikt o niej nie

wie, chyba w myśl zasady: „Cudze chwalicie, / Swego nie znacie, / Sami nie wiecie, / Co posiadacie” - jak pisał Stanisław Jachowicz, poeta, bajkopisarz i pedagog pochodzący z Tarnobrzega, a mieszkający w czasach Bądarzewskiej w Warszawie, gdzie w trzy lata po skomponowaniu przez nią *Modlitwy* wydał pierwszy w Polsce tomik piosenek *Śpiewy dla dzieci* (1854).

Bądarzewska musiała czytać wydawane przez Jachowicza broszurki do tzw. wychowania macierzystego oraz seryjne tomiki powiastek dla dzieci, na pewno znała jego bajki i wierszyki dla dzieci, bo znali je wtedy wszyscy i pozostały na stałe w literaturze polskiej. Kto z nas nie słyszał lub nie czytał dzieciom o panu kotku, który był chory i leżał w łóżeczku, albo o Zosi, którą mama przestrzegała, by zeszyła dziurkę, póki mała... Twórczość autora powiedzeń: „Póty dzban wodę nosi”, czy: „Nie czyń drugiemu co tobie niemiłe” pozostała na zawsze w polskiej kulturze, podczas gdy twórczość Tekli Bądarzewskiej-Baranowskiej została w Polsce zlekceważona. Robi za to wielką karierę daleko poza jej granicami.

Niezupełnie jak Polański, ale coś w tym jest, że karierę światową można zrobić, byle dalek od Nowego Świata...

MAREK KUSIBA
9 PAŹDZIERNIKA 2009

AGNIESZKA JANIĄK

REJOWE OKOLICE

ROZMOWA Z MARIANEM JANUSZEM KAWAŁKO

❖ **Jak to się stało, że pan – chemik, absolwent SGGW – zajął się Mikołajem Rejem i historią Rejowca? To przecież historia i literatura, dziedziny humanistyczne, a tym samym jakiś rodzaj sprzeczności z kierunkiem, w jakim pan się kształcił i dziedzina, w jakiej przez wiele lat pracował.**

Z literaturą małą i większą miałem kontakt od szkoły podstawowej, wówczas sam zacząłem trochę pisać. I piszę nadal, z różnym natężeniem, a więc i z różnymi skutkami w postaci książek. Zaczęło się od gazetek ściennych w drugiej klasie szkoły podstawowej. Poważne zainteresowanie narodziło się dopiero w liceum, kiedy w dziesiątej klasie zaczął mnie uczyć pan **Władysław Węgrzyn**, nauczyciel polonistyki po Uniwersytecie Jagiellońskim, który przyjechał do Rejowca z żoną, bo dostał nakaz pracy właśnie tutaj. Pan Węgrzyn zaczął nas uczyć czytania poezji. Do tego stopnia można było mieć własne zdanie, że jeśli ktoś postawił tezę, która niekoniecznie wynikała z wiersza, ale potrafił ją wybronić, otrzymywał pozytywną ocenę. Poza tym Węgrzyn pisał sam. Muszę przyznać, że trochę ułatwił mi debiut. W Krakowie wychodził wtedy miesięcznik „Głos Młodzieży Wiejskiej”. Było to pismo Wojewódzkiego Zarządu Związku Młodzieży Wiejskiej, z pozoru tylko społeczno-kulturalne, bo w większości kulturalne, a nawet paraliterackie. I tam drukowała – biorąc pod uwagę dzisiejszą klasyfikację sportową – pierwsza liga krakowskich

poetów i nie tylko krakowskich. Właśnie tam, będąc w klasie maturalnej, debiutowałem swoim wierszem „Ku gwiazdom”. Wtedy poznałem również wiersze mojego nauczyciela. To nazwisko ważne jest również z tego powodu, że po przeniesieniu się do Krakowa i kontynuowaniu jeszcze przez jakiś czas pracy nauczycielskiej, pan Węgrzyn trafił do cenzury. W latach siedemdziesiątych, w drugiej połowie, kiedy był cenzorem, ukazywały się najodważniejsze tomy wierszy ówczesnych, obecnie bardzo znanych poetów, jak na przykład **Adama Zagajewskiego**, autora *Sklepów mięsnych*, tomiku, o który biło się pół Polski, czy **Juliana Kornhausera**, który wydał z kolei tomik *W fabrykach udajemy smutnych rewolucjonistów*. „Gazeta Krakowska” publikowała wtedy bardzo odważne artykuły właśnie dlatego, że Władek – tak mogę o nim powiedzieć, bo przeszliśmy kiedyś w końcu na bardziej koleżeńską stopę – wiedział, że nie można hamować rozwoju poezji. Krakowska cenzura była w jego wydaniu bardzo lekka, natomiast ciężką cenzurę miała w tym czasie Warszawa, nie mówiąc już o Lublinie.

Ważne jest i to, że kończyłem liceum imienia Mikołaja Reja w Rejowcu. Wprawdzie w roku 1964 mówiono o czterechsetleciu założenia Rejowca, jednak nie bardzo chciałem wierzyć w tę datę, bo nikt nie potrafił mi wskazać jakiegokolwiek materiału historycznego, który by to wszystko potwierdzał. Bardzo długo trwał mój namysł, jak się do tego zabrać, ale Niemcy mają powiedzenie, że „każda rzecz ma swój czas”. Widocznie trzeba było przejść przez trzydzieści lat nauczania podstaw żywienia, rozważań o zdrowym odżywianiu i o wpływie odżywiania na choroby cywilizacyjne, żeby nurtująca mnie ciągle potrzeba poznawania korzeni zaowocowała rozprawą doktorską i książką.

❖ W jakich okolicznościach rozpoczęła się pana praca badawcza?

Naprzód zacząłem badać akta stanu cywilnego z XIX wieku dotyczące Rejowca – kto mieszkał, jacy ludzie itd. Miała to być początkowo praca demograficzna obejmująca tylko wiek XIX, ale mój promotor, profesor Wiesław Śladkowski, powiedział: - No tak, ale trzeba napisać wstęp. I kiedy zacząłem zbierać materiały do wstępu, urodziła się cała

książka, która liczy 540 stron. Jest to historia Rejowca i jego okolic, dokładnie klucza rejowieckiego, czyli wsi, które weszły w skład ziemi, jaką posiadał Rej, a potem jego sukcesorzy, do 1944 r. To ponad trzy tysiące trzysta hektarów. Tyle Mikołaj Rej otrzymał w posagu od swojej żony, jej zaś zapisał tylko jedną wieś, pewnie nie więcej niż dwieście hektarów. Mało się zwraca uwagę na to, że on dużo przebywał w Ziemi Chełmskiej czy w ogóle na Lubelszczyźnie, ponieważ prowadził rozległe interesy. Był również mobilny, bo na przykład kupował wsie w Małopolsce, koło swojej Topoli i Nagłowic. Podpisywał się początkowo jako Mikołaj Rej z Topoli, ale potem przeszedł na Nagłowice – myślę, że była to według niego ładniejsza nazwa. Dlatego uznaje się, że Nagłowice są rodzimym gniazdem Rejów. Miał przecież swoje dobra koło Urzędowa, a jeden z jego potomków – w połowie XVII wieku posiadał w Kraśniku karczmę, o czym wiemy „dzięki” mającej w niej miejsce napaści, gdzie doszło bodaj nawet do zabójstwa. Ale Rej miał majątek i w Siennicy – połowa Siennicy przypadła w udziale jego żonie, tak samo jak cały klucz rejowiecki, który początkowo można było określić jako klucz kobyliński, ponieważ pierwsza wieś, która tam istniała, to wieś Kobyłe. Druga wieś, ta, w której ja się urodziłem, miała do roku 1864 nazwę Rubie. Obecnie nosi nazwę Rybiego; spolszczono ją na zasadzie błędnego odczytania i jako *u* ruskie. Później Rej założył wieś Wereszcze Małe, czyli Szlacheckie. Zachował się tekst aktu lokacyjnego tej wsi napisanego przez poetę w języku polskim. A co się wydarzyło w 1564 roku, że w 1964 roku uznano tę datę za czterechsetną rocznicę posadowienia Rejowca? Otóż prawdopodobnie na początku 1564 roku Rejowiec spłonął, oczywiście ten dawny Rejowiec, założony w roku 1547 przez Mikołaja Reja na podstawie przywileju danego mu przez Zygmunta Starego, mającego już wówczas 80 lat. Ta druga data rzeczywiście jakoś tłumaczyła się tym, że było to miasto na nowo lokowane. Piszę w swojej książce, że prawdopodobnie pierwszy Rejowiec był posadowiony w nieco innym miejscu, jak to zwykle bywało z miastami lokowanymi po wycięciu lasu, z którego pochodził materiał na budowę sadyb. Prawdopodobnie tam, gdzie było spalone miasteczko, ziemię zaozano, wyrównano – popiół przecież był nawozem – i działki przeznaczono pod uprawę. Natomiast miasto zapewne

przesunięto, sędzę, że chyba w kierunku południowym, czyli tam, gdzie obecnie się znajduje. Pamiętajmy, że w tamtym czasie na całej Ziemi Chełmską, szczególnie pas Pobuża, zajmowały głównie lasy. To była Puszcza Nadbużańska, przetykana tylko jasnymi plamami wsi, liczących po kilku, kilkunastu osadników. Taka była ówczesna rzeczywistość. W najlepszym okresie, w wieku XVI, moja wieś liczyła coś koło ośmiu czy dziesięciu włościan, czyli rodzin, natomiast w wieku XVII i na początku XVIII czterech czy pięciu gospodarzy, bo część rodów wymarła, a ziemia zarosła lasem. Po wojnach szwedzkich nastąpiło wtórne zalesienie Ziemi Chełmskiej.

❖ **Co pozwoliło panu zagłębić się w tak nieprzystępny dla przeciętnego zjadacza chleba materiał? Ambicja, fascynacja tematem ?**

Nieodparta chęć poznania przeszłości mojej miejscowości, łącznie z Rejowcem, spowodowała, że powstała ta książka, że powstał doktorat. W każdym człowieku – tak sędzę - który dojrze w latach, istnieje potrzeba poznania własnych korzeni, przeszłości, własnego rodu, ale także dziejów własnej miejscowości. Problem stanowi jednak to, że za opisywanie historii miast i wsi biorą się ludzie trochę nieprzygotowani, nawet jeśli są to lokalni regionaliści, którzy uczą historii, pracując jako nauczyciele. Bardzo istotny jest bowiem warsztat badawczy. Pamiętajmy, że analizowanie dokumentów sądów grodzkich czy ziemskich wymaga naprawdę dużego samozaparca. Do połowy XVIII wieku pisano je głównie łaciną. Oczywiście długie teksty, z przebiegu rozpraw sądowych czy inwentarze pośmiertne albo testamenty pisane były w języku polskim, bo woźni czy pisarze sądowi nie byli aż tak biegli w łacinie, aby w tym języku tworzyć takie teksty. Ale były pewne łacińskie formuły prawne, w ramach których się poruszano, dotyczące na przykład pożyczki, zastawu ziemi za pożyczkę, oddania pieniędzy, wejścia w posiadanie, czyli tak zwanej intromisji itd. To było tak, jakby nauczyć się pacierza i ten pacierz powtarzać. Średnio wykształcony pisarz miejski czy gminny mógł te reguły opanować i z nich korzystać. Jednak rozgryzienie tego wszystkiego jest

trudne. Poza tym skrybowie mieli często paskudny charakter pisma. Stosowano także tak zwaną paleografię, czyli skrótowce tekstowe, i jeśli nie wiemy, co dany znak oznacza, to nie będziemy wiedzieli, co to za wyraz. A często jeden znak oznacza na przykład pół wyrazu albo cały wyraz. Ja miałem szczęście, że jedna z pracownic archiwum wprowadziła mnie w tajniki poznawania łaciny sądowej, można powiedzieć średniowiecznej, bo ta niewiele się zmieniła przez dwa czy trzy następane wieki. Inaczej bym sobie z tym problemem nie poradził. Oczywiście księgi grodzkie, ziemskie, czekają jeszcze na stu, dwustu badaczy, bo informacje, jakie można odszukać w naszym Państwowym Archiwum w Lublinie i w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie są nieprzebrane. Ale trzeba mieć do ich zgłębiania, jak już podkreśliłem, opanowany solidny warsztat naukowy.

❖ **W grę wchodzi tutaj chyba tylko pasja badawcza, nie dostaje się za tego typu działania pieniędzy?**

Nie, nie dostaje się. Ja przecież tę książkę wydrukowałem właściwie w ramach wolontariatu. Cieszyłem się, że wójtowie gmin Rejowca Fabrycznego i Rejowca Osady oraz burmistrz Rejowca Fabrycznego, Starosta Chełmski i Marszałek Województwa dołożyli się do jej wydania. Wprawdzie przejęli gros nakładu do własnej dyspozycji, ale ja mam satysfakcję, że gdzieś się te książkę rozdaje, gdzieś ta monografia funkcjonuje. Jak zaznaczyłem, jest to dzieło opasłe i nie wszyscy je pewnie „od deski do deski” przeczytają. Ludzie nie lubią czytać grubych książek. Natomiast wiedziałem, że jeśli dokonam skrótu tej wiedzy, którą posiadałem, to pewne ważne informacje uciekną, a nikt nie będzie zaglądał do jednego z dwóch egzemplarzy pracy doktorskiej na UMCS; nie ludźmy się, te prace idą do archiwum i pokrywa je kurz. Natomiast książka wydana w trzystu egzemplarzach ma szansę być przeczytana, przynajmniej przez niektórych.

❖ **Podstawowy wniosek płynący z pana pracy to fakt, że Rejowiec założony został wcześniej niż przypuszczano?**

Tak, to była jedna rzecz. Po drugie okazało się nagle, że Rejowiec nie został założony w jakiejś pustej przestrzeni, tylko na terenie posiadłości, którą Rej otrzymał od swojej żony w posagu. I on *de facto* występował tam nie jako właściciel, tylko jako zarządca. Dlatego kiedy zakładał i Rejowiec, i wieś Wereszczce, uzyskał na te lokacje zgodę własnej żony. Nie było tak, że sobie zwyczajnie zamarzył i założył – to była jej własność. Pamiętajmy, że do rozbiorów nie istniało pojęcie wspólnoty małżeńskiej. Jeśli nastąpił rozwód – a bywały rozwody – żona mogła zabrać to, co wniosła w posagu. Jeżeli zostawała wdową, również pozostawał jej majątek. Synowie i córki mogli uzyskać to, co wniósł ojciec.

❖ Co stało się po śmierci Reja?

Najpierw umarł Rej; jego żona zmarła jedenaście czy dwanaście lat później. Po śmierci pisarza zapisała majątek swoim synom i dopiero wtedy stali się oni prawnymi jego właścicielami. Ciekawe jest to, że zapisu dokonała w połowie grudnia. Mówi się, że Rej zmarł na początku października, może trochę później. Data zapisu dóbr rejowieckich synom pisarza przez jego żonę Zofię, (17 grudnia 1569), budzi moje podejrzenia, że Rej mógł ciężko chorować jeszcze przez jakiś czas. Najciekawsze jest to, że owych zapisów wdowa po Mikołaju dokonała nie w księgach grodzkich ziemskich krasnostawskich czy chełmskich, tylko w checińskich, a właśnie w powiecie checińskim leżały Nagłowice. Toteż możemy domniemywać, że właśnie tam zawieziono i pochowano Reja. Wtedy było tak, że kiedy ktoś umierał, momentalnie cała rodzina siadała, zapominała o umarłym i dzieliła jego majątek. Prawdopodobnie był więc nacisk synów i córek Reja, żeby ten majątek w szybkim czasie podzielić. Istniała również reguła, że się jechało do najbliższych akt grodzkich czy ziemskich i tam się dokonywało zapisu. A dopiero potem przenosiło się w ciągu roku i sześciu tygodni zapis do właściwych akt, czyli tam, gdzie ta ziemia leżała – w tym wypadku byłyby to akta chełmskie. Jednak wszystkich akt chełmskich nie mamy, a na chełmski akt potwierdzający własność, którą zapisano w sądzie checińskim, nie trafiłem. Natomiast udało mi się trafić na akt założy-

cielski drugiego Rejowca, powstałego po pożarze, gdzie wyraźnie się mówi, że Rejowiec spłonął i że prawdopodobnie został podpalony.

❖ Jakie są perspektywy badawcze, jeśli chodzi o obecność Reja na Lubelszczyźnie? Co jeszcze trzeba odkryć?

Jest jeszcze sporo rzeczy do zbadania. Ja wszystkich ksiąg grodzkich nie przejrzałem. Oczywiście, z okresu Mikołaja Reja – większość, ale jest jeszcze kilka ksiąg, które mogą tę perspektywę pogłębić, rozszerzyć. Jednak nie wydaje mi się, by mogły one w sposób generalny zmienić jakieś moje domniemania czy potwierdzenia historyczne.

❖ Czy w trakcie badań sięgał pan do twórczości Reja? Pojawia się tam Rejowiec?

Przeglądałem Reja wcześniej, jeszcze w latach siedemdziesiątych kupowałem jego utwory. On w ogóle nie pisał o konkretnej miejscowości. Natomiast jeśli wspominał w *Żywocie człowieka pościwego* o ogródkach, w których są różne warzywa, to podejrzewam, że mógł widzieć, jak takie wirydarze wyglądały, na dworze w Kobylem, albo w Siennicy Różanej. Może nawet bardziej w Siennicy, bo ta wieś miała lepsze gleby, ma je do dzisiaj, to są ziemie lessowe. A więc przy dworze – a był tam dwór – musiał istnieć jakiś ogród. I on zapewne widział jak kobiety, dwórki pełły, sadyły, siały i rozkoszował się tymi warzywnikami, natomiast kpił sobie z kuchni włoskiej – to wyraźnie widać w niektórych jego tekstach. Mało jest popularne postrzeganie Mikołaja Reja jako kaznodziei, choć ukazała się książka na ten temat. Słabo znana jest jego *Postylla*, zbiór wykładów, homilii na temat wyjątków z Pisma Świętego. To jest dosyć gruba księga, wychodzi w niej temperament pisarski Reja i ujawniają się jego umiejętności kaznodziejskie. Pisano nawet, że *Postyllę* czytali niektórzy proboszczowie wiejscy, kiedy przygotowywali się do kazań. Oczywiście, Rej był kalwinistą, ale wcale nie oznacza, że przez to był gorzej wierzący. Trzeba też pamiętać, że Rej, mieszkając w Ziemi Chełmskiej, spotkał się z prawosławiem. On przecież przez trzynaście

lat mieszkał w Żurawnie koło Żydaczowa, na Zadniestrzu. Tam jego matka, z Żurawińskich, pojechała do swojej rodziny i tam urodziła Mikołaja. Przez trzynaście lat kulturę prawosławną można poznać bardzo dokładnie, a nikt nie zwraca uwagi na to, że w twórczości Reja nie ma ukrainizmów, rusycyzmów. Pisał językiem małopolskim, polskim, jeśli mówimy o odmianie małopolskiej. Jednocześnie kulturę prawosławną musiał znać, to nie ulega wątpliwości. Nawet jego imię – przecież nie urodził się 6 grudnia – nijak nie pasuje do 4 lutego, a Mikołaj jest przecież jednym z największych patronów cerkwi prawosławnej. Podejrzewam zatem, że mógł być nawet ochrzczony w żydaczowskiej cerkwi.

❖ Czy nie było to przypadkiem niezgodne z prawem?

Wtedy chrzcilo się tam, gdzie była świątynia. Już w XV wieku biskup chełmski dopuszczał dokonywanie chrztów katolików w cerkwiach prawosławnych, jeśli w pobliżu niwe było kościoła, a na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej istotnie, było ich mało, stąd rozległość ówczesnych parafii. Takie zdarzenia kościół sankcjonował, ponieważ wtedy funkcjonował na Pobużu na lokalnych zasadach, a te odznaczały się spora doza liberalizmu. Nie było wówczas jeszcze ortodoksyjnych podziałów. Ortodoksje pojawiły się później.

❖ Na koniec: co poradziłby pan młodym badaczom, którzy chcą zgłębiać przeszłość?

Przed wszystkim niech się nauczą łaciny!

❖ Serdecznie dziękuję za rozmowę.

ROZMAWIAŁA: AGNIESZKA JANIAK

Marian Janusz Kawałko jest autorem książki „Rejowiec. Jego okolice i właściciele w latach 1531–1869”, jako rozszerzonej wersji rozprawy doktorskiej napisanej pod kierunkiem prof. dr. hab. Wiesława Śladowskiego.

MARTYNA SKROK

KROWA NIE WIE, CO TO ŚWIĘTO

ROZMOWA Z TADEUSZEM BADACHEM

❖ Jak to się stało, że po studiach związał się pan z Okręgową Spółdzielnią Mleczarską w Krasnymstawie? Czy nie korciło Pana, by połączyć swoje życie z muzyką?

Muzykę zawsze traktowałem i traktuję do dzisiaj jako swoją pasję, hobby. Muzyka jest darem od Boga, tak samo mleko. Proszę sobie wyobrazić, że przez serce krowy, która przecież żywi się głównie trawą, musi przepłynąć czterysta litrów krwi, by powstał jeden litr tego boskiego napoju. Studiowałem mechanizację rolnictwa na Wydziale Techniki Rolniczej, wówczas jeszcze Akademii Rolniczej w Lublinie. Na trzecim roku, w „nagrodę” za dobre sprawowanie, pozwolono mi

.....

Muzykę i mleko uważa za prawdziwie boskie dary. Jedno i drugie odgrywa w jego życiu po dziś dzień ważną rolę. Jaki prywatnie jest Tadeusz Tomasz Badach, od lat prezes jednej z największych spółdzielni mleczarskich w Polsce? Na mnie zrobił wrażenie człowieka ciepłego, przyjaznego i niezwykle zaangażowanego we wszystko, co dane mu było w życiu robić.

❖ Jak zaczęła się pana przygoda z muzyką?

Wszystko zaczęło się w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy pomimo wielkiej biedy w domu, rodzice zdecydowali się kupić mi gitarę elektryczną znanej

podjąć studia na drugim kierunku – mleczarstwo na nowo powstającym jak się później okazało Wydziale Technologii Maszyn Spożywczych. Z tej też dziedziny pisałem później swoją pracę magisterską. Nie chciałem wracać po studiach do Krasnegostawu, jednak przypadek sprawił, że w ramach tzw. fundowanego stypendium, musiałem spędzić trzy lata w budowanej przez Włochów proshkowni mleka. W latach siedemdziesiątych były olbrzymie nadwyżki mleka chudego. Dzięki budowie zakładu można było przetworzyć nawet czterysta tysięcy litrów mleka na dobę i uzyskać trzydzieści ton mleka w proshku dziennie.

❖ Jak przebiegała współpraca z Włochami?

Włosi mieli oryginalne podejście do pracy. Przykładowo: malowali sypchacze na budowie na żółto w czarne kropki. Podobało się to bardzo lokalnym pannom. Kilka z nich zresztą wyjechało potem na stałe do Włoch.

❖ I został pan jednym z pierwszych kierowników tejże proshkowni.

Tak. Związałem się wówczas z Okręgową Spółdzielnią Mleczarską w Krasnymstawie i tam pozostałem do dziś. Jestem trzecim prezesem tej firmy od czasu jej założenia w 1913 roku.

.....
 czeskiej firmy. Wydali na nią majątek. Animuszu dodawał fakt, że na instrumencie tego samego producenta grał wówczas również **Krzysztof Krawczyk**. W tamtych czasach posiadanie gitary elektrycznej to był prawdziwy szal, w ogóle niewielu wiedziało, jak taki instrument działa, że wystarczy go tylko podłączyć do gniazdka z prądem. I tutaj rodzice zdobyli się na kolejny ogromny wydatek – na wzmacniacz do gitary, a potem na głośniki.

❖ Rozumiem, że kiedy wreszcie stał się pan posiadaczem wymarzonego sprzętu muzycznego, podjął pan naukę gry na gitarze w szkole muzycznej?

❖ Jak wygląda praca w mleczarni?

Praca w mleczarni nie należy do łatwych. Trzeba zdawać sobie sprawę z faktu, że tu pracuje się trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, siedem dni w tygodniu i dwadzieścia cztery godziny na dobę. Krowa nie wie bowiem, co to święto; niepogoda, czy dzień wolny – doi się ją każdego dnia. A dawany przez nią napój trzeba kupić, przerobić, a potem sprzedać. Mam wielkie szczęście, że trafiłem w firmie na wspaniałych, zaangażowanych w pracę ludzi. Do dziś pracują tu całe pokolenia, a moi pracownicy utożsamiają się z firmą i dlatego wciąż jesteśmy razem.

❖ Dlaczego przemysł mleczarski jest tak bardzo wymagający?

Mówi się, że produkty mleczarskie ocenia się przez pryzmat porannego wstawania. Od tego, czy mleko się zwarzy podczas gotowania, czy też nie, a masło źle rozsmaruje, albo przesmaruje – zależy wierność naszych klientów. Przemysł ten wymaga ogromnej samodyscypliny, która pozwoli utrzymać powtarzalność produktów, co jest absolutnym priorytetem. Nasi konsumenci oczekują od nas bowiem, by każdego jednego dnia mleko było tak samo dobre, a jogurt smakował tak samo.

❖ Firma zajmuje jedno z czołowych miejsc na rynku polskim, ale nie tylko. Produkty są również eksportowane za granicę, w tym

.....
 Niestety, nie. W Krasnymstawie nie było szkoły muzycznej, a rodzice nie mogli sobie finansowo pozwolić na wysyłanie mnie na nauki do Lublina. By rozwikłać tajemnicę chwytów gitarowych, kupowałem czasopismo „Radar”.

❖ Jest pan więc samoukiem?

Właściwie tak.

❖ Jak potoczyła się pana dalsza przygoda muzyczna?

na przykład do Turcji. Jak wyglądały początki ekspansji firmy poza Krasnystaw?

To dosyć zabawna historia, ale i dowód na odwagę i determinację, która czasami w życiu bardzo się opłaca. Pewnego dnia pojawił się w firmie „górnik” spod Krakowa. Przyjechał maluchem z przyczepką i zapragnął wziąć od nas sto kilogramów masła i zawieźć je na Śląsk. To był środek bardzo upalnego lata i początkowo nie traktowaliśmy tego pomysłu poważnie. Jednak po dłuższej rozmowie „górnik” dostał masło i około godziny dwudziestej trzeciej wyruszył w drogę, by transport odbył się nocą, w chłodniejszych temperaturach. Tak zaczęła się nasza „obecność” poza regionem. Potem tego pana było już stać na zakup konteneru izotermicznego z agregatem chłodniczym, a u nas stopniowo następował wzrost sprzedaży i zaczęliśmy powoli rozbudowywać zakład.

❖ Czy w nazwie firmy od początku był Krasnystaw?

Nie, nazwa ta została przyjęta dopiero później. Początkowo firma nazywała się BaCieJ, co było skrótem od „Bardzo Ciekawe Jogurty”. Szybko jednak zaczęto ten skrót utożsamiać z początkami naszych nazwisk: BAdach, CIEchoński, Iwaniak i wówczas zdecydowaliśmy się na zmianę.

❖ A co dokładnie przedstawia logo firmy?

.....

W latach siedemdziesiątych, podczas studiów, grałem w różnych zespołach. Najlepszy skład tworzyliśmy z **Włodzimierzem Marczukiem**, który komponował muzykę i **Franciszkiem Piątkowskim**, który pisał świetne teksty. Wielkie granie skończyło się na festiwalu FAMA w 1972 roku.

❖ Czy syn Kuba talent muzyczny zawdzięcza więc tacie?

Jeśli Kuba odziedziczył po kimkolwiek swój talent, to raczej po mamie. Żona ma doskonały słuch muzyczny i świetną pamięć muzyczną.

Biała ścieżka na środku to rzeka mleka, przepływająca przez obłoki (kolor niebieski) – symbolika boskiego daru, jakim jest ten wspaniały, biały napój. Zielony kolor napisu „Krasnystaw” symbolizuje trawę. Lubelszczyzna nie jest regionem bardzo bogatym, ale mamy zielone łąki i czystą wodę, i tym możemy się szczyć.

❖ OSM Krasnystaw jest obecnie prężnie działającą firmą na polskim rynku. Czy angażujecie się w akcje charytatywne, pomoc dzieciom itp? Jak wyglądało to na przestrzeni lat?

Kiedy objąłem stanowisko prezesa w firmie, zacząłem udzielać pomocy ośrodkowi dla dzieci z chorobami skóry w Tuligłowach, za Krasnymstawem, prowadzonemu przez siostry Służebniczki Najświętszej Marii Panny. Ośrodek pod względem usytuowania i warunków, jakie miał do dyspozycji, był prawdziwym cudem. Mieścił się na trasie Krasnystaw – Zamość, vis a vis stacji benzynowej, za torami kolejowymi, a same budynki były rozpadającymi się barakami. W pobliżu znajdował się niewielki zbiornik wodny, który tworzył mikroklimat. Ośrodek gromadził dzieci z potwornymi schorzeniami, przede wszystkim skórnymi – bielactwo, łysienie i inne. Pamiętam dziewczynkę, śliczną zresztą, która trafiła do niego praktycznie spod końskiego żłobu, gdzie się ukrywała, cierpiąc w samotności, bo nikt jej nie chciał. Była zainfekowana masą różnych schorzeń i chorób; niestety – nie udało jej się uratować. Pomimo warunków mieszkalnych, w barakach panowała niesamowita czystość, która stanowiła podstawę leczenia. Dzieci miały na głowach zawsze czystuśkie, wykrochmalone chusty. Siostry z wielką miłością i oddaniem pomagały im w powrocie do zdrowia. Często bardzo chore, w kiepskim stanie, po kilku miesiącach opuszczały ośrodek zupełnie zdrowe.

❖ Jak zaczęła się pana współpraca z tym ośrodkiem?

Przełożoną tego zakładu opiekuńczo-leczniczego była Siostra Sabina. Podczas moich odwiedzin, gdzie zostałem poczęstowany pyszną

zupą pomidorową, siostra wyznała, że ma wizję rozbudowy ośrodka. Uznałem to za szczytny cel i jako że byłem wówczas posłem na sejm, wspólnie napisaliśmy list, opisujący sytuację tej placówki. List został powielony w czterystu egzemplarzach i za moją przyczyną trafił do każdego z posłów. Odzew był niesamowity i dzięki zaangażowaniu posłanek i posłów, początkowo bez pieniędzy i planów, ale z ogromnymi chęciami, dokonaliśmy rozbudowy tego ośrodka. Z pomocą ruszyli nie tylko polscy, ale i holenderscy ofiarodawcy. Efekty były zadziwiające. Przy ośrodku powstała nawet oczyszczalnia ścieków! Dzieci miały wreszcie komfortowe warunki do odbywania leczenia.

❖ **Czy ośrodek w Tuligłowach wciąż funkcjonuje i przyjmuje małych pacjentów?**

Niestety, nie. Kilka lat później, wskutek jednej, bardzo niefortunnej decyzji administracyjnej ośrodek zamknięto. Obecnie w budynku mieści się ośrodek dla dzieci z rozbitych rodzin. Nadal opiekują się nimi siostry z tego zgromadzenia, jednak nie wygląda to już tak, jak kiedyś.

ROZMAWIAŁA: MARTYNA SKROK

MARTYNA SKROK, IWONA MAZUR

NIE CHCĘ KOŃCA EPOKI!

ROZMOWA Z FRANCISZKIEM PIĄTKOWSKIM

Na przełomie czerwca i lipca 2009 roku w Siennicy Różanej na Lubelszczyźnie miała miejsce pierwsza edycja Wakacyjnej Akademii Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego. W rozmowie z FRANCISZKIEM PIĄTKOWSKIM, współpomysłodawcą warsztatów, pytamy o kulisy ich powstania, przesłanie i plany na przyszłość.

❖ **Skąd wziął się pomysł utworzenia Wakacyjnej Akademii Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego?**

Pomysł ma podwójne źródło. Pierwsze jest źródłem dawno odkrytym, a drugie ma charakter szczególny. Po wielu latach pracy na kierunkach i specjalnościach dziennikarskich na różnych uczelniach, doszedłem do wniosku, że trzeba próbować uzyskiwać praktyczne rezultaty nauczania. Pisania można się nauczyć pisaniem, tak jak malowania – malowaniem. Wszędzie, gdzie prowadziłem zajęcia, prowadziłem więc szkołę pisania. Zaczynało się od tekstu na zwierzenia-refleksję, który miał na celu ustalenie dwóch bardzo ważnych kwestii. Po pierwsze, czy to prawda, co o was mówią, że jesteście tzw. „pokoleniem nic”, zimnymi szczurami, że jesteście niewrażliwi. Co roku niezmiennie uzyskuję odpowiedź, że jest to totalna brednia. Jesteście cudownie wrażliwi, przenikliwi w myśleniu, a poza tym – niezależnie od tego, czy Bozia włożyła talent w paluszki, choć to bardzo ważne

– poprzez pracę dochodzicie do znakomitych rezultatów. Tak znakomitych, że bywa, iż studenci, z którymi miałem szczęście pracować uzyskują nagrody w ogólnopolskich konkursach dla profesjonalistów. Marzyło mi się, żeby to, co robię ze studentami na zajęciach, mogło ulec pogłębieniu, zintensyfikowaniu i jednocześnie byłem przekonany, że nie uda się tego zrobić przez tzw. wykłady *visiting professors*, ale musi to być zintensyfikowane, skumulowane. A potem miało miejsce to smutne wydarzenie, jakim była śmierć Ryszarda Kapuścińskiego. Wówczas przyleciał do Polski z Kanady mój przyjaciel, **Marek Kusiba**. Zaprosiłem go do Lublina. Na kilka dni przed jego odlotem doszliśmy do wniosku, że musimy coś zrobić dla dobrej pamięci o tym wielkim człowieku.

❖ Dlaczego akurat Ryszard Kapuściński?

Nie dlatego, że pomnik i nie dlatego, że najwybitniejszy, ale dlatego, że zostawił nam w spadku dzieło komplementarne – wspaniałe dzieła reportażowe oraz wykład o metodzie. W książkach „Podróże z Herodotem” i „Autoportret reportera”, w „Lapidariach” odnajdziemy odpowiedzi na pytania, czym jest reportaż, jak go uprawiać, co to znaczy być dziennikarzem, być człowiekiem i co to znaczy, że dziennikarstwo jest misją. Kapuściński był niezwykle ceniony w świecie. Tacy ludzie światowego formatu, jak **Salman Rushdie**, **Gabriel Garcia Marquez**, **John Updike** pisali peany na jego cześć. Ktoś po śmierci Ryszarda powiedział, że nastąpił koniec pewnej epoki dziennikarstwa. A ja nie chcę końca epoki! Chcę, by nadal byli ludzie, którzy wierzą, że uprawianie reportażu jest wyjątkowo szlachetnym i ciężkim трудem, a także, że bycie dziennikarzem i pisanie jest misją, posłannictwem i wielkim zobowiązaniem wobec drugiego człowieka. Reportaż, tak zwany gazetowy, był kiedyś uprawiany w wielu dziennikach, miał miejsce w niemalże każdym periodyku społeczno-kulturalnym. Dziś jego obecność w drukach codziennych i periodycznych jest mocno ograniczona.

❖ Co było przyczyną zepchnięcia reportażu na margines?

Brak wyobraźni wydawców, którzy zapomnieli, że czytelnik, poza ciekawością faktu, jest także zainteresowany interpretacją i tłumaczeniem świata. Stracili czytelnika, a kiedy go odzyskają – nie wiem. Oczywiście jest „Gazeta Wyborcza” i jej „Duży Format”, i oni chyba wiedzą ile zarabia się na reportażu, jaką dzięki niemu zyskuje się renomę, rangę i jakiego czytelnika. Czy reportaż wróci na łamy prasy? Nie wiem, ale wiem trochę, jaka jest sytuacja książki reportażowej. Reportażysty dostosowali się do nowej sytuacji i piszą książki. Obserwuję rynek czytelniczy od wielu lat i wiem, że w nakładach i poczytności książki reportażowe awansują, chociaż minęły czasy, kiedy zbiory reportaży miały nakłady rzędu 30. i więcej tysięcy egzemplarzy. Ale może być i tak, że dojdzie do katastrofy, do upadku prasy codziennej w związku z rozwojem Internetu i odrodzi się prasa sensu, która w Stanach Zjednoczonych i we Francji już zaczyna się odradzać. Jestem przekonany, że ten proces zacznie się i u nas.

❖ Dlaczego Akademia została zlokalizowana akurat w Siennicy Różanej?

Byłem przekonany, że Wakacyjną Akademię Reportażu uda się ulokować tu, na miejscu, w Lublinie. Ci, którzy mieli wgląd w Marka i moje projekty uznali, że to jest bardzo interesujące i wartościowe, ale kiedy dochodziło do próby przełożenia tego na zdarzenie rzeczywiste, okazywało się to niemożliwe. Albo ze względów organizacyjnych, albo ze względów finansowych. W czasie rozmów na piętrach prorektorskich profesor **Henryk Gmiterek**, dziekan Wydziału Humanistycznego, zadał mi pytanie: „Musi pan to robić w Lublinie?” Usłyszałem w duchu, że nie muszę. Następnego dnia zadzwoniłem do Siennicy i umówiłem się z wójtem **Leszkiem Proskurą**, arcymistrzem organizacji, na rozmowę. Pojechałem do Siennicy, omówiliśmy kilka spraw, a na koniec wręczyłem mu swoje projekty i poprosiłem, żeby je przeczytał. Umówiliśmy się, że pogadamy za tydzień, dwa. Następnego dnia

rano zadzwonił i spytał, czy możemy się spotkać. Przyjechał do mojej chałupy w Siennicy i nim doszedł od drzwi do stołu – powiedział: „Masz wyżywienie, masz zakwaterowanie, pieniądze musimy znaleźć”. I tak się zaczęło, według frazy ze Stanisława Wyspiańskiego: „Żeby ino chcieli chcieć”, ja tę frazę bardzo lubię. Oczywiście nie inwestowałem w ciemno w to miejsce, miałem swoje doświadczenia z Siennicą, dlatego że to tam od 2005 roku odbywała się coroczna impreza „Z Rejem do Siennicy”, która wywołała bardzo wiele ciekawych następstw. Wiedziałem, na ile sprawni są tam ludzie, na ile będą przychylni, na ile otwarci. Myślę, że po ubiegłorocznej Akademii nie macie wątpliwości, że to była najlepsza lokalizacja.

❖ **Cisza, spokój, można było się skupić, odprężyć, wyciszyć.**

Tak, a to też nie było bez znaczenia. Kiedy wyszedłem ze spotkania w rektoracie, byłem już przekonany, że to będzie poza Lublinem, że siedzibą WARRK będzie właśnie Siennica. Pomyślałem, że mamy czas krytyczny – kryzysu wartości, autorytetów, norm itd. I wtedy przypomniało mi się przeczytane gdzieś zdanie, że „W czasie kryzysu rosyjski inteligent wyjeżdża na wieś”. Nie jestem rosyjskim inteligentem, ale to zdanie bardzo mi się podoba. Zresztą, miałyście do czynienia podczas pierwszej edycji z pierwszymi nazwiskami w polskim reportażu. Tym razem tych nazwisk będzie jeszcze więcej. Każdy telefon do kogoś tak wielkiego wyglądał dokładnie tak: „Gdzie? Jak to się nazywa? A to ciekawe, że na wsi”. **Wojciech Jagielski**, kiedy do niego zadzwoniłem i powiedziałem, że Wakacyjna Akademia Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego staje się faktem, odrzekł tylko: „Świetnie!”. Wtedy dodałem jeszcze: „Wie pan, ale to jest na wsi”; on skwitował to krótko: „Tak? Genialnie.”

❖ **Myślę, że każdy z uczestników, a przynajmniej ja byłem zaskoczona mnogością tematów związanych z tą ziemią. Pomyślałam wtedy: „Przecież jest tylu uczestników i każdy ma mieć temat. O czym my będziemy pisać?” Tymczasem tematy posypały się jak z rękawa.**

Tematy to kolejna sprawa. Kiedy prowadzę zajęcia, po pierwszym tekście na zwierzenie-refleksję zaczyna się poszukiwanie tematu. I bywa, że student przychodzi i mówi, że nie wie, o czym mógłby napisać. Wtedy rzucam mu koło ratunkowe, które sprowadza się do pytania: „Skąd pan/pani pochodzi? Aha, stamtąd. No to próbujemy!”. Na WSPiA był pewien bardzo pilny student, który przyszedł do mnie, gdy wszyscy już mieli tematy i powiedział, że nie może znaleźć niczego dla siebie. Wtedy spytałem go: „A skąd pan pochodzi?”. „Z Krasnegostawu” – odpowiedział. „A tam jest ulica Bojarczuka” – powiedziałem. „Nie wiem...” – zdziwił się. „To niech się pan dowie. A potem niech się pan dowie, kim był Bojarczuk”.

❖ **W pierwszej kolejności, przy braku weny twórczej, trzeba więc sięgać do korzeni?**

Wierzę w to, co się nazywa geomancją. Wierzę też w to, że mamy niezwykle bogate podglebie kulturowe, tylko że walce historii, które przechodziły przez te ziemie niszczyły wszystkie metryki – i głepty szlacheckie, i metryki pisane, i metryki drewniane w postaci pługów, soch, itd. Przyczyniły się do tego, że jesteśmy skazani na krótką pamięć, a przy tym nie dokumentujemy swoich dziejów tak, jak to robią inne narody. U nas wraz ze śmiercią człowieka ginie, przepada cała jego wiedza. Zarówno wiedza waszego, jak i mojego pokolenia jest wiedzą sięgającą trzy, no może cztery generacje wstecz. I koniec. Tylko w wyjątkowych przypadkach ktoś dokumentuje dzieje swojej rodziny. Wydaje mi się, że winne jest tutaj także polskie dziennikarstwo, któremu wydaje się, że ważniejsze jest to, co się dzieje w Hollywood, niż to, co się dzieje na ulicach Lublina, w Bełżycach, w Siennicach itd. Człowiek jest biblioteką, jest księgozbiorem i tak jak my mamy swoje dzieje i jesteśmy wpisani w określony porządek historyczny, tak każde miejsce na ziemi ma swoją historię. Wystarczy tylko poszperać i posłuchać ludzi. Tegorocznicy uczestnicy martwią się, że nie będzie tematów. Są tematy, będzie ich nawet za dużo.

- ❖ **W Wakacyjnej Akademii Reportażu biorą udział osoby wybrane. W tym roku będą to uczestnicy wyłonieni z dosyć dużego grona. Czy uczestnictwo w warsztatach ma ich przede wszystkim utwierdzić w przekonaniu, że chcą być dziennikarzami, chcą pisać i pełnić tę ważną misję wobec drugiego człowieka, czy ma też na celu zweryfikować tę decyzję?**

Przede wszystkim utwierdzić, wzmocnić i, o ile zechcą, odebrać to potężne kwantum wiedzy, jakie tam jest proponowane. Nie wiem, ilu z uczestników ubiegłorocznej, tegorocznej i wszystkich kolejnych edycji wyrosnie na reportażystów z prawdziwego zdarzenia, ile osób będzie uprawiać reportaż. Wiem natomiast, że ponad połowa osób ze składu ubiegłorocznego to ludzie, którzy upewnieni w swoich możliwościach i umiejętnościach, mogą zaczynać pisać, być może wielkie dzieła. Oczywiście, jest do tego jeszcze potrzebny trud, mozół reporterski, ale mogą zaczynać myśleć o książkach reportażowych. Jeśli w przyszłości dane mi będzie takie książki czytać i rozpoznawać nazwiska z Siennicy, będę szczęśliwy.

- ❖ **A jak wygląda przyszłość Akademii? Jak rysują się dalsze plany?**

Moim marzeniem jest doprowadzenie do sytuacji, w której wypełni się formuła uczelni ponad granicami tzn. będą uczestniczyć w niej także studenci z Ukrainy, Białorusi, Słowacji.

- ❖ **Akademia międzynarodowa?**

To brzmi zbyt zobowiązująco. Raczej Akademia ponadgraniczna. Zrobię wszystko, by tak się stało. Pomaga mi w tym stanowisko władz rektorskich, w tym Rektora **Andrzeja Dąbrowskiego**, który zaskoczył mnie swoim zdecydowanym poparciem „siennickiej uczelni”. Organizatorem naukowym WARRK, od tego roku, jest Wydział Politologii we współpracy z Wydziałem Humanistycznym UMCS, Urzędem Gminy w Siennicy Różanej, Zespołem Szkół Ministerstwa Rolnictwa

oraz Stowarzyszeniem Miłośników Ziemi Siennickiej. Organizacja Akademii jest ciężką pracą i w przyszłych latach nie będę chciał się tym zajmować sam, a marzy mi się, żeby ktoś mi w ogóle „odebrał” Akademię. Nie jestem upoważniony do ujawniania nazwiska, ale jest świetny organizator nauki i naukowiec, który... Tu zawieszam kwestię. W poprzednim roku prace organizacyjne zajęły mi kilkaset godzin.

- ❖ **Już w roku ubiegłym mieliśmy styczność z wielkimi postaciami, znanymi nazwiskami, a kogo Akademia zaprosi w latach następnych? Kogo jeszcze będziemy mieli okazję posłuchać i poznać spośród osób znanych i powszechnie cenionych?**

Pierwsza edycja miała być mądrym i maksymalnie barwnym kalejdoskopem. Wychodziłem bowiem z założenia, że jeśli nie będzie to wydarzenie atrakcyjne, wielobarwne, to albo się zanudzicie, albo nie będzie sensu robić kolejnych edycji. Udało się. W tym roku Akademia odbywa się pod hasłem „Słowo, język, metoda”, a to oznacza: warsztat, kwestie definicji gatunku, literackości reportażu, status faktu itd. W przyszłym roku chciałbym, żeby Akademia miała nachylenie bardziej teoretyczne, bo w obszarze teorii i historii gatunku jest bardzo dużo do zrobienia. Marzą mi się nazwiska z Polski i ze świata, bo chciałbym, żebyście zobaczyli, jak reportaż wygląda w świecie i czemu ten gatunek służy.

- ❖ **Jakie jest najważniejsze przesłanie, które pozostawił Ryszard Kapuściński dla nas – młodych adeptów dziennikarstwa?**

Najważniejsze przesłanie? Kiedy spytałem go w jednej z rozmów o tajemnicę zawodu reportera, on wpisał mi do książki słowa: „Franciszku, trzeba kochać ludzi”. To jest bardzo ważne przesłanie. Trzeba kochać ludzi, trzeba być dobrym człowiekiem – to w obszarze moralności tego zawodu. Następnym postulatem etycznym jest pasja. Na chłodno, bez emocji nie da się pisać. Dziennikarstwo dobrze rozumiane jest pasją. Ważna jest też misyjność tego zawodu i pracowitość.

Ryszard Kapuściński był niezwykle pracowitym człowiekiem. Te trzy elementy są głównym przesłaniem, które pozostawił, a całą osnową jesteście Wy. A jaka jest jakość tej osnowy? Dzięki wieloletniej pracy pedagogicznej wiem, że wspinała.

❖ **Chciałabym na koniec zadać pytanie, które na pewno stawia sobie wielu uczestników Akademii i przyszłych dziennikarzy. Czy z zawodu reportażysty da się wyżyć? Biorąc pod uwagę fakt, że reportaż znika z gazet i pozostają tylko książki, wiadomą rzeczą jest, że nie każdy wydawca będzie chciał od ręki wydać nasze dzieło...**

Jeżeli pisze się znakomite książki, a na ten sukces trzeba czekać, na pewno da się z tego wyżyć. W sytuacji, kiedy te książki są jeszcze przekładane na obce języki, można, będąc reportażystą, żyć przyzwyczajenie. A jeżeli chodzi o reportaż prasowy, to wiemy, jaka jest sytuacja na rynku prasowym. Mówiliśmy o tym, łatwo nie jest. Ale może skończy się epoka wydawców bez wyobraźni? Mam taką nadzieję. Wtedy wrócą dobre czasy dla reportażu.

ROZMAWIAŁY:

MARTYNA SKROK, IWONA MAZUR

LUBLIN, 20 MAJA 2010

KACPER KONDRAKIEWICZ

NOWE POKOLENIE POLSKIEGO REPORTAŻU STRATEGIE OPISU ŚWIATA

Niniejsza praca została napisana na XL Olimpiadę Literatury i Języka Polskiego przez Kacpra Kondrakiewicza, ucznia III LO im. Unii Lubelskiej w Lublinie. Jest poświęcona twórczości trzech polskich reportażystów nowego pokolenia: Wojciecha Jagielskiego, Mariusza Szczygła i Wojciecha Tochmana. W szczególny sposób podkreśla charakterystyczny dla każdego z tych autorów sposób odwzorowania świata. Opisuje także wpływ, jaki na ich pisarstwo wywarł Ryszard Kapuściński. Praca powstała pod kierunkiem pani profesor Beaty Brożek. Jej autor opierał się w dużej mierze na doświadczeniach wyniesionych z pierwszej edycji WARRK.

WSTĘP

Badanie literatury faktu wymaga dużej elastyczności. Sytuuje się ona na pograniczu zjawisk artystycznych i dziennikarskich, dlatego istnieje ryzyko, że będzie analizowana zbyt jednostronnie¹. Być może jedynym sposobem na pełne zrozumienie gatunków takich jak reportaż, jest opisywanie ich przy pomocy środków zaczerpniętych z różnych dziedzin, poczynając od filozofii a kończąc na medioznawstwie. Z pewnością klasyczna teoria literatury nie wytworzyła narzędzi zdol-

¹ Literatura faktu to: „współczesna lit. narracyjna o charakterze dokumentarnym, obejmująca tak gatunki z pogranicza literatury i dziennikarstwa, jak powieść-dokument”. Cyt. za *Słownik terminów literackich*, pod red. J. Sławińskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, Warszawa, Kraków, 2008, s. 285.

nych do uchwycenia dziennikarskich funkcji niektórych tekstów². Jednakże ograniczenie się do badania tylko ich aspektu informacyjnego, z pominięciem walorów artystycznych, również byłoby błędem. Wydaje się, że jedynie połączenie różnych metod może w tym przypadku przynieść pozytywne rezultaty.

Przedmiotem niniejszej pracy jest twórczość trzech polskich reportażyistów nowego pokolenia: **Mariusza Szczygła**, **Wojciecha Jagielskiego** i **Wojciecha Tochmana**. Ich teksty zostaną zbadane zarówno od strony dziennikarskiej, jak i literackiej, w tym również poprzez pryzmat nawiązań do pisarstwa **Ryszarda Kapuścińskiego**. Należy zaznaczyć, że ze względu na analizowanie dzieł aż trzech (lub nawet czterech) autorów stworzenie jakiegokolwiek pełnego, kompleksowego opisu w tak krótkim tekście jest niemożliwe. Taki opis byłby zresztą pełen powtórzeń, ponieważ pewne zjawiska w utworach wspomnianych reportażyistów krzyżują się. Celem niniejszej pracy jest uchwycenie samej istoty tego, co wyróżnia twórczość każdego z nich.

I. SZKOŁA KAPUŚCIŃSKIEGO

A. Uwagi wstępne. Sytuacja współczesnych reporterów

Młodych polskich reportażyistów często określa się mianem „polskiej szkoły reportażu” (co dotyczy również autorów starszego pokolenia) lub wręcz „szkoły Kapuścińskiego”. Czy używanie tego typu sformułowań jest uprawnione? Polscy reportażyści nowego pokolenia nigdy nie wydali przecież żadnego manifestu ani nie sformułowali wspólnych założeń programowych. Można jednak wskazać pewne cechy wspólne, które łączą ich teksty. Z czego wynikają te pokrewieństwa?

Należy przede wszystkim zauważyć, że wszyscy omawiani autorzy tworzą w podobnych, bardzo specyficznych warunkach historycznych.

² Z. Bauer, *Antymedialny reportaż Ryszarda Kapuścińskiego*, wyd. Polska Agencja Prasowa, Warszawa 2001, s. 11.

Ich pobieżne omówienie wydaje się konieczne dla zrozumienia współczesnych tekstów reportażyowych³. Współczesność nie jest już światem jednej narracji, ale areną walki pomiędzy wykluczającymi się wzajemnie wizjami rzeczywistości⁴. Historia ulega stałemu przyspieszeniu; ilość produkowanych informacji wzrasta. Klasyczne metody komunikacji przestają być skuteczne. Media radzą (albo raczej nie radzą) sobie z tymi problemem, stosując metodę maksymalnego skrótu. Próbuje opisywać świat przy pomocy rwącego strumienia *newsów*. Strategia ta jednak przynosi fatalne skutki. Dziennikarstwo agencyjne często wznaga jedynie szum informacyjny, zalewając odbiorców potokiem oderwanych od kontekstu i pozbawionych znaczenia wiadomości. Wszyscy omawiani w niniejszej pracy autorzy próbują w jakiś sposób przeciwdziałać tej sytuacji. Niejednokrotnie krytykowali współczesne „naskórkowe dziennikarstwo”⁵. Przeciwdziałają mu reportaż, który ma umożliwić czytelnikowi głębokie rozumienie świata oraz „nadać pewną logikę temu, co wydaje się alogiczne”⁶.

W jaki sposób można osiągnąć te cele? Wydaje się, że klucz do rozwiązania omówionych powyżej problemów odnalazł Ryszard Kapuściński. Trzej reporterzy, o których traktuje niniejsza praca, znali go osobiście (wszyscy razem pracowali dla „Gazety Wyborczej”). Był dla nich źródłem inspiracji i wzorem do naśladowania⁷, choć oczywiście czerpali też z twórczości innych (np. **Hanny Krall** czy **Małgorzaty Szejnert**). Ryszard Kapuściński stworzył całą paletę rozwiązań, które pozwalają na przezwycięzenie trudności piętrzących się przed współczesnym ambitnym dziennikarzem. Wydaje się, że ich pobieżne omówienie pozwoli przynajmniej częściowo zrozumieć, na czym polega istota „polskiej szkoły reportażu”.

³ J. Lovell, *Notatki o reportażu*, [w:] *Reportaż. Wybór tekstów z teorii gatunku*, wybór i opracowanie K. Wolny, Wyd. Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie, Rzeszów 1992, s. 26.

⁴ Z. Bauer, *op. cit.*, s. 21.

⁵ Por.: W. Tochman, *Córeńka*, wyd. Znak, Kraków 2005, s. 41.

⁶ *Reportaż i trwanie*, z R. Kapuścińskim rozm. W. Górecki, „Res Publica Nowa” 1993, nr 7/8, [w:] *Autoportret reportera*, wybór i wstęp K. Strączek, Wyd. Znak, Kraków 2008, s. 51.

⁷ Wywiad z Wojciechem Tochmanem, w którym zostaje poruszony ten temat, można przeczytać na jego oficjalnej stronie internetowej: http://tochman.eu/reporter.php?w_id=10.

B. Powrót do rzeczy samych

Niniejszy rozdział będzie traktował między innymi o związkach między twórczością Kapuścińskiego a filozofią **Edmunda Husserla**. Nie należy jednak rozumieć ich zbyt dosłownie. Jak słusznie zauważył **Milan Kundera**: *Powieść wiedziała o podświadomości przed Freudem, o walce klas przed Marksem, stosowała fenomenologię (poszukiwanie istoty ludzkich sytuacji) przed fenomenologami*⁸. *Pisarstwo Ryszarda Kapuścińskiego nie stanowiło praktycznej realizacji określonej filozofii; zapoznanie się z tą filozofią pozwala jednak na jego lepsze zrozumienie. Należy również zaznaczyć, że teksty „cesarza reportażu” ulegały ewolucji na przestrzeni lat. Omówione poniżej zjawiska znajdowały w nich wyraz w różnym stopniu, w zależności od okresu twórczości.*

*Zasadniczym hasłem filozofii Husserla był „powrót do rzeczy samych”⁹. Ten wybitny uczony postanowił oczyścić swoje myślenie z balastu wszelkich założeń, które uważał za niepewne i zbędne. Usunął z pola rozważań całą dostępną wiedzę; wziął w nawias wszystkie dotychczasowe doświadczenia, a nawet własną podmiotowość. Przedmiotem badań uczynił wyłącznie fenomeny, czyli „wszystko, co ujmujemy bezpośrednio i z oczywistością”¹⁰. Uznał, że uda mu się znaleźć pewne i niezawodne podstawy poznania, jeśli ograniczy się do czystego oglądu aktów świadomości. Bardziej od niosącej ryzyko błędu dedukcji, cenił naoczność i prostotę opisu. Jak stwierdził: *Oglądania nie da się dowieść; niewidomy, który chce widzieć, nie osiągnie tego za pomocą dowodów naukowych*¹¹.*

Kapuściński był reporterem, a nie filozofem, i stawiał przed sobą zupełnie inne cele niż Husserl - ale realizował je podobnymi środkami. W „Lapidarium” zanotował: *„Badać przedmioty w bezpośredniej naoczności”*. (Husserl)¹². *Wydaje się, że „powrót do rzeczy samych” uznawał*

⁸ M. Kundera, *Sztuka powieści*, wyd. Czytelnik, Warszawa 1991, s. 33.

⁹ *Filozofia współczesna*, pod red. Z. Kuderowicza, t. I, wyd. Wiedza Powszechna, Warszawa 1983, s. 19.

¹⁰ W. Tatarkiewicz, *Historia filozofii*, t. III, PWN, Warszawa 1988, s. 219.

¹¹ E. Husserl, *Idea fenomenologii*, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2008, s. 14.

¹² R. Kapuściński, *Lapidaria*, wyd. Czytelnik, Warszawa 2007, s. 112.

*za klucz do przezwyciężenia problemów współczesnego dziennikarstwa. Wszelkie próby obiektywnego, kompleksowego opisu świata brał za skazane z góry na niepowodzenie*¹³. *Zamiast tego próbował ukazywać drobne fragmenty rzeczywistości, które prowadziłyby czytelników do zrozumienia szerszych zjawisk. Jego reportaż pt. *Fedaini* zaczyna się od słów: *Rashidiya pachnie pomarańczami i krwią*¹⁴. Po takim wstępie Kapuściński nie musiał już podawać szczegółów, takich jak liczba ofiar albo dokładny opis zniszczeń wojennych. Tym jednym zdaniem nakreślił obraz, który ukazywał przeciętnemu odbiorcy sytuację lepiej niż najdokładniejsze statystyki - i miał w sobie coś więcej niż statystyki, bo oddawał dramatyczną atmosferę zdarzeń. Cytując *Lapidaria*: pozwalał na „Refleksyjne wczucie się w...” (Husserl)¹⁵. Dzięki redukcji wszelkich zbędnych informacji, Kapuściński docierał wprost do istoty rzeczy. Biegłość w używaniu literackich środków wyrazu pozwalała mu na budowę tak znakomitych opisów, że wszelkie abstrakcyjne analizy stawały się zbędne; skomplikowane zjawiska po prostu ukazywały się czytelnikom w naoczności i jednocześnie objawiałyby własną głębię.*

Oglądanie świata metodą Husserla ma jeszcze jedną zaletę. Pojedynczy fenomen nie tylko przedstawia sam siebie, ale stanowi również ujednostkowanie jakiegoś bytu ogólnego (*eidos*). Innymi słowy, uchwycenie fenomenu konkretnej wojny pozwala naocznie dotrzeć do prawdy o wojnie jako takiej. Okoliczności poszczególnych konfliktów mogą się od siebie różnić, ale w swojej istocie wszystkie wojny są takie same¹⁶. Warto zacytować w tym miejscu słowa Ryszarda Kapuścińskiego: *Moją ambicją jest napisanie książki, która by zawierała uniwersalne przesłanie. Pisałem „Szachinszacha” nie po to, aby opisać rewolucję irańską. Mnie interesowało zjawisko, fenomen polegający na*

¹³ *Ismaeli continua a navigare*, z R. Kapuścińskim rozm. M. Nadotti, tłum. J. Mikołajewski, [w:] R. Kapuściński, *Il cinico non è adatto a questo mestiere. Conversazioni sul buon giornalismo*, A cura di M. Nadotti, [w:] *Autoportret reportera*, wybór i wstęp K. Strączek, Wyd. Znak, Kraków 2008, s. 40–41.

¹⁴ R. Kapuściński, *Fedaini*, [w:] *Kirgiz schodzi z konia. Chrystus z karabinem na ramieniu*, wyd. Czytelnik, Warszawa 1990, s. 105.

¹⁵ R. Kapuściński, *Lapidaria*, wyd. Czytelnik, Warszawa 2007, s. 136.

¹⁶ *Filozofia...*, s. 24–25.

tym, że stara, tradycyjna kultura i cywilizacja odrzuca próbę narzucenia jej jakiegoś innego wzorca kulturowego, wzorca postępowego. I to jest zjawisko uniwersalne. Myśmy też nie przyjęli przeszczerpu komunizmu, został odrzucony, kiedy stworzyła się ku temu sposobność¹⁷. Opisywanie rzeczy samych w sobie może prowadzić reportażystę do odkrywania prawd natury ogólnej. Wydaje się, że tutaj właśnie leży pomost łączący w reportażu dziennikarstwo z literaturą.

Należy w tym miejscu zauważyć jeszcze jeden istotny fakt. Wiele tekstów reportażowych bardzo szybko traci aktualność; dzieła Kapuścińskiego są ciągle czytane mimo upływu czasu. Dzieje się tak właśnie dlatego, że cesarz reportażu pomijał wszystkie informacje mające cechy doraźności. Dzięki temu jego utwory – inaczej niż zwykłe teksty dziennikarskie – stały się ponadczasowe¹⁸.

C. Zrozumieć Innego

Mówiąc o polskiej szkole reportażu, nie sposób pominąć kwestii związanych ze sferą etyki. Reportaż, w przeciwieństwie do wielu utworów fikcyjnych, nie powstaje wyłącznie przy biurku autora. Proces jego tworzenia zaczyna się znacznie wcześniej i dlatego postępowanie dziennikarza podczas zbierania materiałów ma ogromny wpływ na ostateczny kształt tekstu¹⁹.

Ryszard Kapuściński wielokrotnie powtarzał, że dobry dziennikarz musi być przede wszystkim dobrym człowiekiem²⁰. Ważną inspiracją w tym względzie stanowiła dla niego filozofia dialogu stworzona przez **Emmanuela Levinasa**²¹. Ten wybitny myśliciel zachęcał do wyj-

¹⁷ Świadectwo rozpadu i przemijania, z R. Kapuścińskim rozm. K. Kruś i A. Staniszewski, „Gazeta Olsztyńska – Magazyn” 1992, nr 42, [w:] *Autoportret reportera*, wybór i wstęp K. Strączek, Wyd. Znak, Kraków 2008, s. 80.

¹⁸ Por. *Podróżnik po lesie rzeczy*, z R. Kapuścińskim rozm. B. Buford, *Granta – The Story Teller* 1987, nr 21, [przedruk w:] „Most” 1987, nr 16/17, [w:] *Autoportret reportera*, wybór i wstęp K. Strączek, Wyd. Znak, Kraków 2008, s. 32.

¹⁹ Por. A. Magdoń, *Reporter i jego warsztat*, wyd. TAIWPN UNIVERSITAS, Kraków 2000, s. 47–62.

²⁰ *Ismaeli...*, [w:] *Autoportret...*, s. 21.

²¹ Por. R. Kapuściński, *Ten Inny*, wyd. Znak, Kraków 2006.

ścia poza samego siebie i poszukiwania drugiego człowieka. Uważał, że tylko prawdziwy kontakt z Innym może nadać życiu właściwy wymiar. Cyniczny reporter nigdy nie dotrze do istoty rzeczy. Dopóki nie wczuje się w sytuację opisywanych bohaterów i nie zrozumie ich bólu, najważniejszy aspekt zdarzeń pozostanie poza jego zasięgiem. Dobry dziennikarz nie może wydawać pochopnych sądów. Jeśli zacznie przemawiać z pozycji moralnej, albo kulturowej wyższości, natychmiast utraci obiektywność.

II. MARIUSZ SZCZYGIĘŁ

a) dociekliwość badacza

Wydaje się, że najprostsza formuła, którą można by określić całą twórczość Mariusza Szczygła, brzmi tak: „jest to tropienie rozmaitych przejawów życia codziennego w czasach przemian”. Jego teksty stanowią świadectwo poszukiwania tego, co dziwne, sprzeczne, zaskakujące – ale czego sami nie potrafimy zauważyć. Ten młody reportażysta nie musi sięgać po tematy z odległych krajów. Znajduje je tuż obok, na przykład w codziennej gazecie z ogłoszeniami; najdalsze odbyte przez niego podróże to wyjazdy do Czech. Wydaje się, że jako człowieka cechuje go przede wszystkim ogromna ciekawość, połączona z dociekliwością – dwa przymioty o kluczowym znaczeniu dla reportera. Szczygłowi nie wystarczy bierne gromadzenie informacji. Wszystkiego musi doświadczyć osobiście. Czasem, zamiast ograniczyć się do roli obserwatora, wkracza w opisywany świat i sam prowokuje zaskakujące sytuacje²². Wydaje się, że metoda obserwacji uczestniczącej jest przez niego tak chętnie stosowana, ponieważ pozwala na lepsze zrozumienie drugiego człowieka²³. Tymczasem wrażliwość społeczna to kolejna cecha widoczna w jego tekstach. Szczygła można określić jako dociekliwego badacza życia, preferującego styl pisarstwa, który jest przede wszystkim rozmową z Innym.

²² Por. M. Szczygieł, *Niedziela, która zdarzyła się w środę*, wyd. „EM-KA”, Warszawa 1996, s. 36–44.

²³ Por. A. Magdoń, *op. cit.*, s. 63–73.

b) poetyka fragmentu

W jaki sposób ukazać współczesną codzienność, tak skomplikowaną, wieloaspektową i zmienną? Najlepszej (i najkrótszej) odpowiedzi na to pytanie udzielił chyba Ryszard Kapuściński: *Tylko fragmentem można operować, fragmentem, który będzie dotyczył aspektów złożonej rzeczywistości świata i będzie próbował je sygnalizować*²⁴. Mariusz Szczygieł opanował ten sposób opisu rzeczywistości do perfekcji. Wydaje się doskonale rozumieć, że kompleksowe analizy niosą zbyt wiele ogólnikowości i abstrakcyjności, żeby zainteresować czytelnika. Zamiast nich sięga więc po detale. Wybiera z rzeczywistości takie fragmenty, które są nie tylko ciekawe same w sobie, ale dają inteligentnemu odbiorcy pojęcie o szerszych zjawiskach. Tworzy „siatkę szczegółów”, opisujących kluczowe punkty tematu i przez to umożliwiających uchwycenie samej istoty rzeczy. W reportażu *Klatka* maluje tą metodą obraz prowincjonalnego miasteczka, zapomnianego przez cały świat i skazanego na marazm. Zamiast tworzyć ciągłą, spójną narrację, buduje tekst z drobnych obrazków, zwykle jednostronicowych lub nawet krótszych. Cytuje, po kolei, właścicielkę salonu piękności, dyrektora muzeum, kierowniczkę domu kultury, sklepikarza, księdza, nauczycieli²⁵. Pojedyncze sytuacje zaczerpnięte z życia tych ludzi tworzą razem spójny obraz miasteczka. Można przypuszczać, że wszystkie odbyte przez reportażystę rozmowy były w rzeczywistości znacznie dłuższe, niż wskazywałby na to tekst; tymczasem wybrał z nich tylko najciekawsze fragmenty. Posługiwanie się atrakcyjnymi wycinkami pozwala z jednej strony wybawić czytelnika od nudy, a z drugiej ograniczyć szum informacyjny i zapewnić jasność widzenia problemu.

c) między pisaniem a życiem

Analiza utworów Szczygła wydaje się w pewnym stopniu potwierdzać tezę **Krzysztofa Kąkolewskiego**, że rzeczywistość sama dostarcza reportażom literackiego potencjału. Dziennikarz nie musi kon-

²⁴ „Mnie pasjonuje świat...”, z R. Kapuścińskim rozm. G. Kalinowski, „Kwartalnik Artystyczny” 1997, nr 2, [w:] *Autoportret reportera*, wybór i wstęp K. Strączek, Wyd. Znak, Kraków 2008, s. 88.

²⁵ M. Szczygieł, *Niedziela...*, s. 71–88.

struować fabuły tak, jak robi to beletrysta; każde zdarzenie posiada przecież określoną dramaturgię, którą należy tylko uwydatnić²⁶. Istotę rzeczy świetnie ukazuje porównanie **Melchiora Wańkowicza**: *Powiedzmy, że taka jest między nim [reportażystą – K.K.] a beletrystą różnica, jak między malarzem a mozaikarzem. Pierwszy rozetrze sobie na palecie taki syntetyczny kolor, jaki chce, a reportażysta bierze kolor wprost z tubki. Albo ściślej – układa mozaikę faktologiczną. Musi tak długo szukać odpowiedniego kamyczka, aż go znajdzie*²⁷. Mariusz Szczygieł osiągnął niezwykłą biegłość w sztuce „układania kamyczków”; widać to zwłaszcza poprzez pryzmat tekstów z tomu *Gottland*, opisującego komunistyczne Czechy. Spora część zamieszczonych tam tekstów ma podobną kompozycję. Na przykład reportaż *Łowca tragedii* ukazuje obrazy z różnych okresów życia praskiego pisarza **Eduarda Kirchenbergera**. Jak się okazuje, stoją one ze sobą nawzajem w całkowitej sprzeczności. Główny bohater utworu raz zachowuje się jak demokrat, a raz jak zagorzały komunista. Reporter nie jest w stanie ustalić, która z jego twarzy ma w sobie więcej prawdy; ukazuje więc czytelnikowi same fakty, rysując pełny, wielowymiarowy obraz działań człowieka²⁸. Te fakty niosą w sobie taki potencjał dramaturgiczny, że nie trzeba ich już w żaden sposób podkolorowywać.

Niewątpliwym atutem Mariusza Szczygła jest wyjątkowa mieszanina poczucia humoru z wrażliwością na ludzkie cierpienie. Potrafi on wyłuskać z rzeczywistości te elementy, które stanowią albo o jej komiczności, albo tragiczności, albo – najczęściej – o jednym i drugim jednocześnie. Innymi słowy, obrona przez niego taktyka pozwala na ukazanie całej absurdalności życia. W pewnym miejscu cytuje na przykład fragment odpowiedzi na swój list: *Przepraszam za charakter pisma, lecz mam cholernego kaca i spieszę się na piwko, zaś pierwszą setkę strzelę za Pana zdrówko i udany*

²⁶ K. Wolny, *O poetyce współczesnego reportażu polskiego (1945-1985)*, wyd. Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie, Rzeszów 1991, s. 46.

²⁷ M. Wańkowicz, *O poszerzenie konwencji reportażu*, [w:] *Reportaż. Wybór tekstów z teorii gatunku*, wybór i opracowanie K. Wolny, Wyd. Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie, Rzeszów 1992, s. 42.

²⁸ M. Szczygieł, *Gottland*, wyd. Czarne, Wołowiec 2006, s. 169–191.

reportaż. *Może ma Pan jeszcze jakieś pytania na temat, proszę pisać, tylko przed wypłatą, bo po wypłacie trudno odczytać moje pismo*²⁹. Taka wypowiedź może wywołać u czytelnika uśmiech, ale jednocześnie nie pozwala zapomnieć o tym, jak wielką tragedią jest alkoholizm. Szczygłowi nie wystarczy opisywanie zjawisk, które wydają się ważne dla współczesnego człowieka. Musi odnaleźć w nich coś naprawdę zdumiewającego, przerażającego lub zabawnego, co poruszy czytelnika. Niektóre z jego wczesnych reportaży przypominają wręcz zbiór osobliwości; tworzy je luźny ciąg dyktoryjek. Wydaje się, że dominującą funkcję pisarstwa Szczygła stanowi dostarczenie rozrywki. Jest to jednak rozrywka inteligentna, skłaniająca do spojrzenia na najbardziej zaskakujące aspekty życia.

III. WOJCIECH JAGIELSKI

a) okiem eksperta

Wojciech Jagielski jest korespondentem zagranicznym „Gazety Wyborczej”. Od wielu lat tworzy reportaże podróżnicze, polityczne i wojenne z Afryki oraz Kaukazu³⁰. Jego reportaże spełniają typowo dziennikarskie zadania: mają przekazywać informacje z zapalnych punktów na świecie, oferować laikom przejrzyste wyjaśnienie sytuacji oraz pogłębione analizy opisywanych zjawisk. Zapewne czytelnicy oczekują od twórcy, tak dobrze obeznanego z tematem, nie tylko suchej relacji, ale również komentarzy, które pomogłyby im wyrobić sobie własną opinię o prezentowanych zdarzeniach. W jaki sposób Jagielski wywiązuje się z tych zadań?

b) powrót do opowieści

Ryszard Kapuściński – który pisał relacje z całego globu – powiedział kiedyś: *Pojawia się problem, kiedy staje się naprzeciw świata i kiedy rodzą się pytania – jaki on jest dzisiaj poszatkowany, dziesiątkowany, pełen sprzeczności, pełen ruchu, pełen niesamowicie naładowanych*

²⁹ M. Szczygieł, *Niedziela...*, s. 12.

³⁰ Por. K. Wolny, *op. cit.*, s. 55.

*spraw i problemów. I to opisać! Epicko się nie da, tyle tego pcha się pod pióro i tak różnych rzeczy, i tak niesłychanie przemieszanych, poplątanych i niejasnych, i stale się zmieniających, bo te konfiguracje ciągle ulegają przekształceniu*³¹.

Otóż, pisarstwo Wojciecha Jagielskiego jest w dużej mierze, wbrew cytowanym słowom, właśnie powrotem do klasycznej narracji. Ponieważ ten reportażysta opisuje jedynie „wąską działkę”, na której zna się jak mało kto, potrafi zebrać bardzo bogaty materiał wyjściowy. Nie gubi się przy tym w gąszczu informacji, ale zachowuje zdolność do kompleksowego opisu. W pewnym sensie Jagielski przeciwstawia się negatywnym cechom współczesnego dziennikarstwa za pomocą technik wypracowanych przez dziewiętnastowieczną epikę³².

Tak samo jak robił to Kapuściński, Jagielski potrafi „zaprzągnąć” typowo literackie środki wyrazu do realizacji celów dziennikarskich. Za doskonały przykład może tu służyć fragment utworu *Dobre miejsce do umierania*. Autor przedstawia w nim sytuację polityczną Gruzji za pomocą zaczerpniętej z życia metafory. Ukazuje pojedynczą ulicę, na której znajdują się po jednej stronie budynki rządowe, a po drugiej siedziby partii opozycyjnych. W obydwu miejscach słychać identyczne obelgi rzucone pod adresem przeciwników. Choć polityków dzieli jedynie szerokość drogi, nie wychodzą na zewnątrz, żeby ze sobą porozmawiać; argumenty oponentów słyszą jedynie od kursującego w obie strony reportera³³. Tego typu metafora stanowi wzorową realizację „głębokiego” dziennikarstwa, przeciwstawiającego się potokom pozbawionych większego sensu newsów. Pozwala w czytelny sposób (poprzez „powrót do rzeczy samych”) przekazać odbiorcom wiele wartościowych informacji – czyli takich, które są osadzone we właściwym kontekście i przez to umożliwiają autentyczne zrozumienie sytuacji.

Jagielski osiągnął dużą sprawność w konstruowaniu plastycznych opisów. Bez nich ciągła narracja stałaby się bezbarwna; oddziaływała-

³¹ „Mnie...”, s. 32.

³² Por. M. Głowiński, A. Okopień-Sławińska, J. Sławiński, *Zarys teorii literatury*, Wyd. Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1986, s. 242–243.

³³ W. Jagielski, *Dobre miejsce do umierania*, wyd. W.A.B., Warszawa 2005, s. 31–36.

by w mniejszym stopniu zarówno na wyobraźnię, jak i emocje czytelników. Samo relacjonowanie wojny nie wystarczy, żeby wywołać dziś u większości odbiorców zainteresowanie. Dociera do nich zbyt dużo podobnych informacji, przemieszanych ze sobą i tworzących nieczytelną, abstrakcyjną masę. Żeby jakakolwiek wiadomość została uznana za istotną, trzeba jej nadać pewien ładunek konkretności. Wydaje się, że właśnie na tym polega rola opisu w reportażu. Gdyby Jagielski, wzorem niektórych korespondentów, skupił się w tekście *Wieże z kamienia* tylko na tym, co „najważniejsze” – czyli wyliczeniu ofiar oraz przedstawieniu racji obu stron – nigdy nie osiągnąłby tej siły wyrazu. Ukazałby czytelnikom kolejną wojnę, równie okrutną i nieciekawą jak wszystkie inne. Tymczasem od samego początku rysuje przed nimi obraz konkretnej wioski, schowanej pod mgłą gdzieś między szczytami Kaukazu. Pisz o kobietach dojących krowy i rozczochnych dzieciach, które biegają pomiędzy domami. Kiedy przychodzi tam wojna, nie jest już tylko abstrakcyjnym pojęciem, znanym z gazet i telewizji. Staje się namacalna; dotyczy tej jednej, znanej już czytelnikom wioski. Dopiero wtedy – w zetknięciu z jednostkowym ludzkim istnieniem – okazuje całą swą groźbę³⁴.

c) widzieć więcej

O sile pisarstwa Jagielskiego stanowi to, że nie opisuje rzeczywistości tylko z wąskiej perspektywy europejskiego reportera. Ten twórca potrafi świetnie uchwycić cechy charakteru swoich bohaterów i postawić się w ich sytuacji. We wszystkich jego książkach można odnaleźć głębokie analizy psychologiczne³⁵. Jednak największą biegłość w rozumieniu Innego osiągnął chyba w utworze *Modlitwa o deszcz*. W tym reportażu Jagielski opisuje dramatyczną sytuację Afganistanu tak, jak widzą ją jego mieszkańcy – nie jako efekt określonych wydarzeń politycznych, ale raczej karę za grzechy wymierzoną przez Allaha. Czasem, zamiast relacjonować zabiegi dyplomatyczne, większą uwagę zwraca na suszę,

³⁴ W. Jagielski, *Wieże z kamienia*, wyd. W.A.B., Warszawa 2008, s. 9–10.

³⁵ Por. Jagielski, *Dobre...*, s. 79–102.

która może być przecież znakiem danym od niebios³⁶. Ten dziennikarski tekst może Europejczykowi przypominać raczej baśń. Wybór takiej konwencji pozwala czytelnikowi z Zachodu wnikać w świat, gdzie nawet najbardziej przyziemne zdarzenia mają znaczenie nadprzyrodzone, a prozaiczność życia nie odebrała jeszcze władzy mitom.

Jagielski potrafi wyłowić ze złożonej rzeczywistości elementy o znaczeniu metaforycznym. W jednym ze swoich utworów poświęca na przykład fragment wypuszczonemu z klatki szympansovi, który nawet po roku wojennej tułaczki nie stracił wiary w ludzi³⁷. Kiedy wokół giną dziesiątki żołnierzy i szerzy się niepojęta nienawiść, tylko małpa żyje coraz lepiej – tak jakby mieszkańcy Kaukazu bardziej troszczyli się o nią niż o siebie nawzajem. Przy pomocy podobnych elementów autor wprowadza do swoich tekstów miejsce na refleksję. Czasem bezpośrednio dzieli się z czytelnikiem własnymi przemyśleniami³⁸. Choć funkcja informacyjna pełni w jego reportażach bardzo ważną rolę, nie przysłania wartości literackich; prozaiczne z pozoru wiadomości mają często drugie dno.

IV. WOJCIECH TOCHMAN

a) pisząc o niepojętym

Wojciech Tochman jest założycielem fundacji ITAKA, zajmującej się poszukiwaniem osób zaginionych³⁹. Od lat styka się z największymi tragediami, jakich tylko człowiek może doświadczyć. Interesują go przede wszystkim sytuacje graniczne. Nie szuka „chwytliwych” tematów, które dają łatwy rozgłos; do Bośni pojechał po zakończeniu wojny, kiedy wszyscy inni dziennikarze już stamtąd wyjechali⁴⁰. Czasem, czytając jego teksty, trudno oprzeć się wrażeniu, że ich autor realizuje jakieś posłannictwo. Oddaje głos ludziom najbardziej pokrzywdzonym,

³⁶ W. Jagielski, *Modlitwa o deszcz*, wyd. W.A.B., Warszawa 2005, s. 9–13.

³⁷ W. Jagielski, *Dobre...*, s. 138–140.

³⁸ Por. W. Jagielski, *Modlitwa...*, s. 7.

³⁹ W. Tochman, *Jakbyś kamień jadła*, wyd. Pogranicze, Sejny 2002, s. 105.

⁴⁰ *Ibidem*, s. 7–8.

którzy inaczej przez nikogo nie zostaliby wysłuchani – i którym już tylko w ten sposób można pomóc. W sytuacjach, przed jakimi stają jego bohaterowie, człowiek niemal odruchowo zaczyna stawiać pytania o sens życia, istnienie Boga czy najbardziej podstawowe wartości. Tochman w jakiś sposób porusza wszystkie te kwestie. Wydaje się jednak oczywiste, że w obliczu największych tragedii nie stara się udzielać prostych odpowiedzi ani nawet snuć zbyt rozbudowanych refleksji. W zestawieniu z jednostkowymi dramataми byłoby to po prostu niepotrzebne i niestosowne.

b) poetyka ściśniętego gardła

Temat tak specyficzny jak ludzka tragedia, niejednokrotnie zmusza różniących się od siebie autorów do stosowania bardzo podobnych rozwiązań. Sformułowanie „poetyka ściśniętego gardła” zostało ukute, żeby opisać twórczość **Tadeusza Różewicza**. Wydaje się jednak świetnie przystawać również do tekstów Tochmana. Analizując utwory tego reportażysty, można odnaleźć pewne elementy łączące je ze stylem Hanny Krall; również Ryszard Kapuściński, gdy sięgał po podobną tematykę, stosował środki charakterystyczne dla wymienionych wyżej autorów.

Tworząc tekst o jakiegokolwiek sytuacji granicznej, autor musi przede wszystkim zaakceptować fakt, że pisze o czymś wymykającym się ludzkiemu rozumowi. Tutaj nie ma już miejsca na drobiazgową analizę ani „wyjaśnianie” czegokolwiek – niezależnie od tego, ile reporter napisze o śmierci, jej istoty i tak nie da się wyjaśnić. Jedyne, co w takiej sytuacji jest możliwe, to czysty, fenomenologiczny opis. Cierpienie to fakt zagłuszający czasem wszystko inne, i w literaturze stanowi dla siebie wystarczające uzasadnienie. Nie trzeba go dodatkowo ubarwiać ani ukazywać w żaden specjalny sposób. Żeby oddać w tekście całą prawdę o ludzkim dramacie, można chyba zrobić tylko jedno – pozbyć się wszystkich przesłaniających go elementów. Ta redukcja odbywa się zarówno na płaszczyźnie tematycznej, jak i stylistycznej. Tak więc, po pierwsze, autor ogranicza swoją rolę do rejestrowania widzianych zdarzeń i odcina się od jakiegokolwiek ich interpretacji. Po drugie, nie dopuszcza do tego, żeby forma zaczęła od-

grywać w tekście widoczną rolę. Stara się uczynić ją przezroczystą; rezygnuje z wszelkich ozdobników, które w tym konkretnym przypadku, zamiast pełnić swoją normalną funkcję, osłabiałyby tylko siłę wyrazu. W ten sposób została na przykład napisana książka *Schodów się nie pali*⁴¹. Jest zbudowana w większości ze zdań pojedynczych. Posługiwanie się krótkimi wypowiedziami daje w rezultacie oszczędny, szarpnięty styl, który ukazuje cierpienie w czystej postaci. Wydaje się, że Wojciech Tochman lepiej niż którykolwiek z opisywanych w niniejszej pracy autorów zrozumiał, na czym polega okrucieństwo lakoniczności.

c) świat bez sensu

Zadaniem kompozycji jest uczynienie ze świata przedstawionego sensownej całości, zbudowanej według pewnych zasad. [...] Można więc powiedzieć, że celem kompozycji jest takie zorganizowanie świata przedstawionego w określoną całość, by był on dostępny odbiorcy, do odbiorcy dotrzeć bowiem może tylko to, co jest w jakiś sposób ukształtowane⁴². Co w takim razie ze światem ludzkich tragedii, wymykającym się tradycyjnym kategoriom rozumu? W jaki sposób można uczynić go poznawalnym?

Być może naczelną zasadą takiego świata należy ustanowić irracjonalność cierpienia. Tochman zdaje się dość często sugerować, że ból potrafi odebrać rzeczywistości wszelką sensowność. W jego obliczu prawda staje się jakby zamazana i schodzi na dalszy plan; jej ustalenie nagle okazuje się niemożliwe. Teksty wydane w tomie *Wściekły pies* dość często ukazują sytuacje, w których reporter spotyka się z całkowicie sprzecznymi opisami danego zdarzenia. Nie tylko nie potrafi zrekonstruować ich rzeczywistego kształtu, ale przekonuje się, że kształt ten nie jest nawet istotny. Dla sytuacji matki oskarżającej księdza o pedofilię nie ma żadnego znaczenia, czy jej zarzuty znajdują pokrycie w faktach. Liczy się, co mówią teraz o niej ludzie we wsi⁴³. Tak samo zdegradowane zostają tradycyjne pojęcia przyczyny i skutku. Kiedy odbiorca

⁴¹ W. Tochman, *Schodów się nie pali*, wyd. Znak, Kraków 2006.

⁴² Głowiński, Okopień-Sławińska, Sławiński, *op. cit.*, s. 234.

⁴³ W. Tochman, *Wściekły pies*, wyd. Znak, Kraków 2007, s. 29–46.

czyta o bośniackich kobietach, których dzieci zostały zamordowane, raczej nie zastanawia się nad politycznym podłożem tej tragedii. Najstraszniejsze jest właśnie to, że na pytanie, dlaczego one cierpią, nie ma żadnej istotnej odpowiedzi⁴⁴. Jak powiedział Milan Kundera: Agresywna siła jest bezinteresowna i nic nią nie powoduje. Ona pożąda tylko własnego pragnienia; jest czystą irracjonalnością⁴⁵. Jedyne, co może w jej obliczu zrobić reporter, to pozwolić swoim bohaterom mówić.

Czasem Tochmanowi nie udaje się zebrać wystarczającej ilości materiałów, żeby stworzyć spójną opowieść. Wykracza wtedy poza ramy konwencjonalnego reportażu i do rekonstrukcji zdarzeń używa wyobraźni (a w roli narratora umieszcza kogoś zupełnie innego); tak dzieje się na przykład w tekście *Córeńka*⁴⁶. Zamiast pisać o tym, co się zdarzyło, pisze o tym, co mogło się zdarzyć. Czy zawodowy dziennikarz może pozwolić sobie na takie zachowanie? Wydaje się, że w tym konkretnym przypadku tak. Posługując się argumentami z dziedziny fenomenologii, można powiedzieć, że czasem to, czy posiadane przez nas dane zmysłowe są prawdziwe czy fałszywe, nie ma żadnego znaczenia. Istota rzeczy jest niezmienna; ogólne zasady rządzące rzeczywistością stosują się nawet do błędnych spostrzeżeń⁴⁷. Gdyby *Córeńka* miała realizować typowo dziennikarskie cele, stosowanie w niej fikcji byłoby niedopuszczalne. To jednak nie jest jej zadaniem; ta książka ma przede wszystkim przypominać czytelnikom o śmierci konkretnej osoby. Chociaż ustalenie związanych z nią szczegółów stało się już niemożliwe, sam fakt tamtej śmierci w swojej istocie pozostaje niezmienny. Stosowanie fikcji pozwala to jedynie uwydatnić.

ZAKOŃCZENIE

Wydaje się, że literatura faktu ma dziś przed sobą ciekawe perspektywy. W świecie „naskórkowego” dziennikarstwa istnieje bardzo duże

⁴⁴ W. Tochman, *Jakbys...*

⁴⁵ M. Kundera, *op. cit.*, s. 16.

⁴⁶ W. Tochman, *Córeńka...*

⁴⁷ *Filozofia...*, s. 24–25.

zapotrzebowanie na taki opis rzeczywistości, który będzie jednocześnie poruszający i autentyczny. Informacji może dziś dostarczać każdy; prawdziwą sztuką jest przekazać je tak, żeby odbiorca mógł ujrzeć głębię danego zjawiska. Innymi słowy: nie wystarczy pisać pięknie, trzeba jeszcze pisać o tym, co naprawdę istotne. Wbrew pozorom nie jest to proste. Waga pewnych faktów dość często niknie w natłoku nieistotnych wiadomości. Dla współczesnego twórcy (a może i człowieka w ogóle) większym wyzwaniem niż mowa, jest chyba raczej milczenie. Prawdziwy sukces odnoszą przede wszystkim ci, którzy potrafią zdobyć się na to, żeby zrezygnować z wykorzystania niektórych łatwych możliwości. Dzięki temu zdobywają nieosiągalną dla innych jasność widzenia.

KACPER KONDRAKIEWICZ

BIBLIOGRAFIA

Literatura podmiotu:

- „*Mnie pasjonuje świat...*”, z R. Kapuścińskim rozm. G. Kalinowski, „*Kwartalnik Artystyczny*” 1997, nr 2 [w:] *Autoportret reportera*, wybór i wstęp K. Strączek, Wyd. Znak, Kraków 2008.
- *Ismaeli continua a navigare*, z R. Kapuścińskim rozm. M. Nadotti, tłum. J. Mikołajewski, [w:] R. Kapuściński, *Il cinico non è adatto a questo mastiere. Conversazioni sul buon giornalismo*, A cura di M. Nadotti, [w:] *Autoportret reportera*, wybór i wstęp K. Strączek, Wyd. Znak, Kraków 2008.
- Jagielski W., *Dobre miejsce do umierania*, wyd. W.A.B., Warszawa 2005.
- Jagielski W., *Modlitwa o deszcz*, wyd. W.A.B., Warszawa 2005.
- Jagielski W., *Wieże z kamienia*, wyd. W.A.B., Warszawa 2008.
- Kapuściński R., *Fedaini*, [w:] *Kirgiz schodzi z konia. Chrystus z kabinem na ramieniu*, wyd. Czytelnik, Warszawa 1990.
- Kapuściński R., *Lapidaria*, wyd. Czytelnik, Warszawa 2007.
- Kapuściński R., *Ten Inny*, wyd. Znak, Kraków 2006.

- *Podróżnik po lesie rzeczy*, z R. Kapuścińskim rozm. B. Buford, *Granta – The Story Teller* 1987, nr 21, [przedruk w:] „Most” 1987, nr 16/17, [w:] *Autoportret reportera*, wybór i wstęp K. Strączek, Wyd. Znak, Kraków 2008.
- *Reportaż i trwanie*, z R. Kapuścińskim rozm. W. Górecki, „Res Publica Nowa” 1993, nr 7/8, [w:] *Autoportret reportera*, wybór i wstęp K. Strączek, Wyd. Znak, Kraków 2008.
- Szczygieł M., *Gottland*, wyd. Czarne, Wołowiec 2006.
- Szczygieł M., *Niedziela, która zdarzyła się w środę*, wyd. „EM-KA”, Warszawa 1996.
- *Świadectwo rozpadu i przemijania*, z R. Kapuścińskim rozm. K. Kruś i A. Staniszewski, „Gazeta Olsztyńska – Magazyn” 1992, nr 42, [w:] *Autoportret reportera*, wybór i wstęp K. Strączek, Wyd. Znak, Kraków 2008.
- Tochman W., *Córeńka*, wyd. Znak, Kraków 2005.
- Tochman W., *Jakbyś kamień jadła*, wyd. Pogranicze, Sejny 2002.
- Tochman W., *Schodów się nie pali*, wyd. Znak, Kraków 2006.
- Tochman W., *Wściekły pies*, wyd. Znak, Kraków 2007.

Literatura przedmiotu:

- Bauer Z., *Antymedialny reportaż Ryszarda Kapuścińskiego*, wyd. Polska Agencja Prasowa, Warszawa 2001.
- *Filozofia współczesna*, pod red. Z. Kuderowicza, t. I, wyd. Wiedza Powszechna, Warszawa 1983.
- Husserl E., *Idea fenomenologii*, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2008.
- Kundera M., *Sztuka powieści*, wyd. Czytelnik, Warszawa 1991.
- Lovell J., *Notatki o reportażu*, [w:] *Reportaż. Wybór tekstów z teorii gatunku*, wybór i opracowanie K. Wolny, Wyd. Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie, Rzeszów 1992.
- M. Głowiński, A. Okopień-Sławińska, J. Sławiński, *Zarys teorii literatury*, Wyd. Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1986.
- Magdoń A., *Reporter i jego warsztat*, wyd. TAIWPN UNIVERSITAS, Kraków 2000.

- *Słownik terminów literackich*, pod red. J. Sławińskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, Warszawa, Kraków, 2008, s. 285.
- Tatarkiewicz W., *Historia filozofii*, t. III, PWN, Warszawa 1988.
- Wańkiewicz M., *O poszerzenie konwencji reportażu*, [w:] *Reportaż. Wybór tekstów z teorii gatunku*, wybór i opracowanie K. Wolny, Wyd. Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie, Rzeszów 1992.
- Wolny K., *O poetyce współczesnego reportażu polskiego (1945–1985)*, wyd. Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie, Rzeszów 1991.

Źródła internetowe:

- http://tochman.eu/reporter.php?w_id=10.
- <http://wyborcza.pl/dziennikarze/0,84009.html>

LUCYNA BŁOŃSKA

POSPOLITE RUSZENIE MIŁOŚCI

ROZMOWA Z MARKIEM KUSIBĄ

❖ Kim był dla pana Ryszard Kapuściński?

Ryszard Kapuściński był w moim życiu najpierw wybitnym reporterem, a później stał się także bardzo ważnym człowiekiem. W latach 1975–1979 pracowałem w miesięczniku reporterów i autorów literatury faktu „Kontrasty” w Białymstoku. Ryszard był dla nas, młodych reporterów – guru. Drukowaliśmy recenzje jego książek, szkice o jego twórczości. Był 10 lat młodszy od mojego ojca – wychowawcy młodzieży, społecznika, instruktora lotniczego, a także świetnego, niespełnionego dziennikarza – i bardzo mi go przypominał. Obaj byli pasjonatami swojego powołania, swoją skromnością i całkowitym oddaniem pracy przypominali misjonarzy. Po raz pierwszy spotkałem się z Ryszardem 16 grudnia 1980 roku w Gdańsku podczas odsłonięcia pomnika stoczniowców. Stał samotnie, skromnie ubrany, niczym się nie wyróżniający, w kąciku specjalnej platformy zbudowanej dla prasy. Od razu zwrócił moją uwagę skupieniem, wyciszeniem, jakąś niezwykłą pokorą wobec tej chwili – w końcu dziejowej w losach Polski. Przypominał trochę kapłana modlącego się przed krzyżem. Modlił się swoim zachowaniem, pełnym szacunku dla tego miejsca, rodzin zabitych robotników. Różnił się od nas wszystkich – praktycznie wszystkim! Koledzy-dziennikarze kręcili się, rozmawiali, palili, pstrykali zdjęcia. A Kapuściński stał jak słup soli wpatrzony w pomnik. Przedstawiłem

się. Był bardzo uprzejmy, ciepły: – Znam pana teksty z „Kontrastów”. Mile zaskoczony chciałem się natychmiast z nim podzielić czymś osobistym. Zacząłem mu pospiesznie opowiadać, że ten pomnik budowała także moja matka Alicja, suwnicowa w Stoczni Gdańskiej, że razem z **Anną Walentynowicz** jeździły na tej samej suwnicy, że przewoziła kadzie z płynnym brązem do form na tablice, które zawisły na pomniku... On słuchał w milczeniu, a gdy zaczęła się uroczystość, położył palec na ustach i powiedział: „To bardzo ciekawe, co pan mówi, porozmawiamy o tym później”. Wyciągnąłem magnetofon, zacząłem nagrywać, notować jak każdy dziennikarz. Przy czym zerkąłem też na Ryszarda, patrzyłem, co on robi. A on nic nie robił. Nie notował. Nie nagrywał. Tylko stał wpatrzony w pomnik i chłonał wszystko, co się pod nim działo. A działy się rzeczy dziejowe...

❖ On chyba wiedział dobrze, jakie to wydarzenie ma znaczenie dla Polski, dla Europy, dla świata?

Tak, zdecydowanie, miał pełną świadomość początku końca komuny, początku nowej ery w dziejach Polski i świata. Strajk sierpniowy, sierpniowe porozumienia, a potem niebywała w dziejach imperium koncesja na rzecz poddanych – odsłonięcie pomnika pomordowanych robotników. To były wydarzenia bez precedensu w bloku sowieckim. Zwłaszcza ten pomnik, symbol hartu ducha i niezłomnej woli i odwagi Polaków. Ryszard wiedział, z jakiego kalibru wydarzeniem mamy do czynienia. Był na sierpniowym strajku, napisał potem wspaniałą opowieść, kwintesencję, samą istotę buntu Solidarności – „Notatki z Wybrzeża”, tekst o „Rewolucji Podniesionych Główn”... Dla mnie, jako dziennikarza, nie mniej ważne niż ten tekst były owe dwie godziny, spędzone z nim na platformie dla prasy. To była dla mnie wspaniała lekcja – pokazał mi jak należy słuchać, dał mi krótki kurs empatii, uważności... Wtedy do końca zrozumiałem na czym polega jego umiejętność empatycznego wczucia się, a szerzej – jego metoda zbierania informacji. On próbował ogarnąć tę sytuację, zrozumieć ją, zanalizować, być jej uczestnikiem. On niczego nie napisał, w czym nie uczestni-

czył osobiście. A żeby w czymś uczestniczyć, nie wolno się rozpraszać na notowanie, nagrywanie. Trzeba to „montować mentalnie”, duchowo i przeżywać to razem z tymi, którzy brali w tym udział...

❖ A czy wrócił do pańskiej opowieści o matce-sownicowej?

O, tak... Gdy uroczystość dobiegła końca, zapytałem go, dlaczego nie notował. Odpowiedział: „Notowałem” i pokazał palcem na głowę: „Tu”. I dodał, że lepiej się wsłuchać w to, co mówi rozmówca czy mówca, jak w wypadku takiej uroczystości, a potem odsiać zdania zbędne, bo nawet najrozsądniejsi ludzie zawsze mówią mniej więcej dziewięć dziesiątych niepotrzebnych rzeczy, i właściwie w takiej rozmowie człowiek mówi jedną-dwie rzeczy ważne. I zaraz, ni stad ni zowąd zapytał, czy już spisałem opowieść mojej matki. Ze skrucą wyznałem, że jeszcze nie. – To niech pan za długo z tym nie zwleka – powiedział tajemniczo. I miał świętą rację. Przyszedł stan wojenny, potem emigracja, życie nam się skomplikowało, na rozmowy z matką miałem coraz mniej czasu, niestety.

❖ Czy łatwo było podjąć decyzję o emigracji?

Bardzo trudno i bardzo łatwo zarazem. W wyniku stanu wojennego zostałem wyrzucony z pracy w dziennikarstwie. Oboje z żoną byliśmy bez pracy i mieliśmy małe dziecko. Mieliśmy też rewizje i rozmowy ostrzegawcze. Po jednej z rewizji, gdy zaczęli grzebać w łóżeczku rocznego Mateusza, doszliśmy do wniosku, że nie chcemy wychowywać syna w takim kraju. Nie wierzyłem, przyznając ze skrucą, że za naszego życia komuna dokona żywota... Kanada wydawała nam się miejscem, gdzie można spokojnie żyć z małym dzieckiem. O innym kraju nie myślałem. Pojechałem więc do Warszawy, do ambasady. Tyle, że aby taką decyzję podjąć trzeba trochę posiedzieć i pomyśleć. Pamiętałem, co opowiadał Kapuściński, gdy koncentrował się godzinami, żeby znaleźć pierwsze zdanie, czasami zajmowało mu to kilka dni, a w przypadku „Cesarza” kilka miesięcy. Leżał na podłodze i myślał, jakie to pierwsze zdanie ma być. Ja siedziałem przy stoliku

na Dworcu Centralnym, piłem trzecią albo czwartą herbatę i myślałem, co zrobić ze swoim życiem. W pewnym momencie podeszła do mnie koleżanka z UMCS i pyta: „Co ty tu robisz?” Spojrzałem na nią i przypomniałem sobie, że jej ojciec jest komendantem milicji w R. To była ta kropla, która przelała czarę. Ona nawet nie wie, jak bardzo mi pomogła podjąć w sumie życiową decyzję. To była bardzo ładna dziewczyna i nie było jej winą, że tatuś pracował w aparacie przemocy, że był częścią establishmentu kraju, w którym rządzą policje jawne i tajne. Odpowiedziałem jej, że wyjeżdżam do Kanady. Wstałem od stolika i poszedłem na Piękną. Dostaliśmy sponsorstwo rządu kanadyjskiego i w pół roku wyjechaliśmy – 12 czerwca 1984 roku, z paszportem w jedną stronę...

❖ Jak wspomina Pan inne spotkania z panem Ryszardem, mistrzem i przyjacielem?

W styczniu 1988 roku Ryszard Kapuściński zatrzymał się w Toronto, w drodze na Olimpijski Zjazd Pisarzy w Calgary. Poszliśmy na spacer. On rozumiał mój problem z samotnością, z oddaleniem, z życiem z daleka od kraju, od środowiska. On sam żył cały czas w oddaleniu, w podróży. Na spacerze dał mi kolejną, ważną lekcję empatii. Akurat rozmawialiśmy o cechach dobrego korespondenta wojennego. Mówił, że musi być uczynny, wrażliwy na ludzi, zdolny do poświęceń – i nagle przystanął, bo zauważył obdartą kobietę popychającą wózek pełen plastikowych toreb. Zaczął mnie wypytywać: – A gdzie ona śpi? Kto się opiekuje ludźmi z ulicy? Jak się nią zająć, kogo zawiadomić? Podeszliśmy do niej i on ją zapytał, jak jej pomóc. Kobieta odrzuciła jego ofertę z dumą starej angielskiej damy: „I don't need your f... pity” („Nie potrzebuję twojej p... litości”). Ale on nie zrezygnował: poszliśmy do najbliższego sklepiku, kupił całą torbę jedzenia i poprosił mnie, bym jej tę torbę wrzucił do wózka. Gdy wracaliśmy ze spaceru, siedziała i pałaszowała smakołyki Ryszarda. A on ciągle mnie pytał, do kogo należy zadzwonić, żeby ją z tego mrozu zabrać do jakiegoś *shelter* (schroniska dla bezdomnych).

❖ **Zadzwoił pan?**

Tak. Żeby go uspokoić zadzwoniłem pod numer organizacji zajmującej się pomocą bezdomnym, nie pamiętam już nazwy. Powiedzieli mi, że proponują tym ludziom miejsca w schroniskach, ale wielu z nich odmawia, woli nocować na ulicach. Ryszard nalegał, bym im podał nazwę ulicy i opisał wygląd tej kobiety. Zrobiłem, o co prosił. Powiedzieli mi, że ją znają, że mają z nią kontakt. To go uspokoiło, ale tylko do pewnego stopnia. Potem już rozmowa się nie kleiła, czułem, że to spotkanie z biedą w sercu jednego z najbogatszych miast północnej półkuli musiało go przygnębić. Miałem przy sobie „Busz po polsku”, poprosiłem go o dedykację. Zapisał całą stronę, podając adres i telefon i bardzo serdecznie, jak to on, zapraszając do siebie na Pustola, gdy tylko będę w Warszawie.

❖ **Skorzystał Pan z zaproszenia?**

Tak, ale blisko dekadę później, i już nie na Pustola, ale na Prokuratorską... Ale najpierw sam go zaprosiłem – do Toronto, po odbiór nagrody Fundacji Turzańskich. Powiedział, że na rok 1996 ma sześćdziesiąt zaproszeń z całego świata i większości już odmówił, ale oczywiście koledze-dziennikarzowi odmówić nie może. To był naprawdę świetny facet... No i przyjechał. Skromny, ubrany zwyczajnie, jedna marynarka, jedne buty, dość licha kurtczyna jak na grudzień w Kanadzie, kaszkiet na głowie. Bronił się przed wszystkim, co nie było pisaniem, albo nie służyło pisaniu. Poprosił o miejsce w hotelu, bo cały czas pracował, przygotowywał się do pisania „Hebanu” i każdą szczelinę czasu w napiętym programie spotkań, wizyt i wypadów za miasto wypełniał pracą. Każdego dnia kupował książki – wszystkie po angielsku, z dziedzin: antropologia kultury, historia, fotografia, poezja (Auden to jego ulubiony poeta). W jednej z księgarni zdjął z półki tom „One Hundred and Fifty Most Important Books of Our Century”. Lista została ułożona przez największe nowojorskie domy wydawnicze. Otworzył na... stronie poświęconej „Cesarzowi”. Jest jedynym polskim pisarzem w tym

spisie najważniejszych książek minionego wieku, które miały wpływ na obraz świata. Obok dzieła Kapuścińskiego są tam także wspomnienia Marii Curie-Skłodowskiej o pracy nad radem. Odłożył książkę na półkę. Gdy odszedł, sięgnąłem po nią, by ją kupić. – A po co ci ona? – zapytał. I zapłacił...

❖ **To chyba świadczy o jego wielkiej skromności?**

Tak, był niezwykle skromnym człowiekiem; był zawsze zmieszany, gdy go chwalono, zwłaszcza publicznie. Chętniej słuchał niż mówił, patrzył, czytał, zmęczony nie pozwalał sobie na odpoczynek; na spotkaniu autorskim próbowałem skrócić wielogodzinny maraton pytań i odpowiedzi, ale się nie zgodził, bo chciał odpowiedzieć na wszystkie pytania, każdy rozmówca zasługiwał na jednakową uwagę. Każdego szanował, nikomu nie dał odczuć swej przewagi. A po tym maratonie podpisał jeszcze 280 książek! I każdego o coś zapytał, chwilę pogadał. Spotkanie, zamiast trzech godzin trwało sześć. Bałem się o niego okropnie, bo nie był w najlepszej kondycji. Na ulicy przystawał i łapał się za serce. Ale nie odpuszczał żadnej okazji do rozmowy z napotkanym człowiekiem. I z każdej rozmowy wyławał jakieś zdanie, jakiś szczegół, na który nikt chyba poza nim nie zwróciłby uwagi. Na przykład jedliśmy lunch z krytykiem kanadyjskim z „The Globe and Mail”. **Robert Fulford** był wtedy jowialnym facetem około sześćdziesiątki. Pochodził z biednej rodziny spod Toronto. W rozmowie wyraził wdzięczność Kanadzie za to, że pozwoliła mu pracować w zawodzie, który ukochał. To zdanie Fulforda zapadło Ryszardowi głęboko w pamięci, wracał do tej refleksji w kilku rozmowach. Przed jego przyjazdem przetłumaczyliśmy z **Dianą Kuprel** kilka jego wierszy. Stwierdził, że po angielsku brzmią one lepiej niż po polsku. To był dobry człowiek, zawsze chciał każdego „pogłaskać”, swoich tłumaczy darzył szczególną estymą. Wydrukowaliśmy te wiersze w miesięczniku literackim „Exile”. Potem przetłumaczyliśmy wszystkie jego wiersze i większość wczesnych reportaży z „Buszu po polsku”.

❖ **Mówił pan o odwiedzinach na Prokuratorskiej...**

W pół roku po wizycie Ryszarda w Toronto przyjechałem do Polski. Pracowałem w radiu, a potem w Telewizji Białystok. Jeździłem często do Warszawy, Ryszard pisał wtedy „Heban”. To były fantastyczne spotkania. Czytał na głos fragmenty kolejnych odcinków, ale jak czytał – jakby recytował poezję: wolno intonując, podkreślając każdą sylabę, zawieszając głos, akcentując. Jeździliśmy po Warszawie jego piętnastoletnim Golfem, chodziliśmy na spacer, rozmawialiśmy. Byliśmy kiedyś razem w Sejnach, na konferencji literackiej ośrodka kultur i narodów „Pogranicze”. Rozlokowano nas w klasztornych celach, w osiemnastowiecznym klasztorze pokamedulskim. W każdej celi po dwa łóżka, nowoczesne łazienki. Kapuściński przyjechał na jeden dzień z noclegiem. Tłukł się w drugiej klasie pociągu relacji Warszawa Zachodnia–Suwałki całe sześć godzin. „Ja to lubię” – uciął mój komentarz, że powinien się oszczędzać. Długo w noc opowiadał mi o swoich przygodach i znowu czytał kolejny fragment „Hebanu”. To było magiczne przeżycie. Mówił o **Bronisławie Malinowskim** i jego teorii z roku 1912 o równorzędności kultur, także o ograniczeniach reportera, często prozaicznych: był przez wiele lat jedynym korespondentem Polskiej Agencji Prasowej na całym kontynencie afrykańskim. PAP nigdy go nie ubezpieczyła na życie, i jemu nigdy nie przyszło do głowy o to poprosić. Na wypadek choroby był zobowiązany natychmiast wracać do Warszawy, bo PAP nie miała dolarów na zagraniczne szpitale. Gdy zachorował na malarię mózgową sam zdecydował pozostać w Afryce. Bał się, że jak wyjedzie, to może tam nie wrócić. Narażał życie, ale nigdy tej decyzji nie żałował.

❖ **Czy pan te rozmowy notował?**

Zgodnie z jego receptą na „twórcze słuchanie” starałem się jak najlepiej zapamiętać, a potem dopiero robiłem notatki. Każde spotkanie z nim było dla mnie lekcją zawodu - nawet przypadkowe odwiedziny u Alicji i Ryszarda 4 marca 1998 r. Jechałem do Kapuścińskich taksów-

ką i usłyszałem w radiu, że Ryszard ma dzisiaj urodziny. Wsiadłem przy kwiaciarni i kupiłem dwa bukiety. Wszedłem, a Alicja pyta skąd wiedziałem, że ma urodziny w tym samym dniu, co Ryszard (ale nie w tym samym roku...). To przypadek, mówię, „niższa forma cudu”, jak mawiał **Konstanty Jeleński**. Ryszard przyjął życzenia i zniknął w pracowni. Cały dzień dzwonił telefon, przyjaciele chcieli mu składać życzenia, a on poprosił Kubę – jak nazywał Alicję – aby pod żadnym pozorem nie odrywała go od pisania; kończył kolejny odcinek „Hebanu”. On był szaleńcem jeśli chodzi o pracę. Nie pozwalał sobie nawet na wypicie drinka w swoje urodziny. Dopiero jak skończył pisać, poszliśmy na górę pogadać. Powiedział: „Proszę, nie nagrywaj. My się przyjaźnimy, więc rozmawiajmy jak przyjaciele. Ja mam codziennie po kilku dziennikarzy z całego świata i mam już dość tych wywiadów”. On był tak potwornie zmęczony, wykończony pracą. Nie nagrywałem tych rozmów, ale to co mówił notowałem w głowie, tak jak on wtedy pod Pomnikiem Stoczniovców. Jak wychodziłem, spisywałem z pamięci niemal całą treść rozmowy, jak z taśmy...

❖ **Widocznie to, co mówił Kapuściński, było dla pana bardzo ważne...**

Bardzo. Poza tym bardzo szybko zrozumiałem, że teksty o Kapuścińskim najlepiej pisać jego metodą, czyli: rozmowy nie nagrywane, tylko notatki z rozmów; piszę o nim tylko w sytuacjach, w których go widziałem; mogę napisać o nim tylko wtedy, gdy byłem świadkiem tego samego zdarzenia etc. On nie pisał o czymś, czego nie widział, czego nie doświadczył na własnej skórze. Mam w notatkach bardzo prywatny, sentymentalny, osobisty pamiętnik ze spotkań z Ryszardem.

❖ **Chce pan to wydać?**

Myślę, że trzy lata od śmierci to za mały dystans, by napisać uczciwą książkę o Ryszardzie, a na innej mi nie zależy. Owszem, ukazało się już kilka pozycji, niektóre mają ambicje biografii, ale one wszystkie

mają jedną, wspólną wadę: traktują bardziej o ich autorach, niż o Ryszardzie... Od złożenia w wydawnictwie mojego „personal memoir” odstęcza mnie to pospolite ruszenie piór (i ruszanie piórem) na temat Kapuścińskiego, jakby każdy znajomy dziennikarz czuł się w obowiązku wydać książkę o Kapuścińskim. A tu nie o to chodzi. A propos pospolitego ruszenia – pamiętam, jak w wieczór śmierci papieża Ryszard poszedł na spacer ulicami Niepodległości i Jana Pawła II, aż do Popiełuszki, żeby zobaczyć, co się dzieje. Tam były tysiące zniczy zapalonych przez warszawiaków i on szedł zafascynowany tym „pospolitym ruszeniem miłości”, jak mi potem powiedział, ale szedł kuśtykając, bo go bardzo bolało biodro. W końcu usiadł na ławce, bo nie mógł iść dalej i nie mógł też wstać. Wreszcie, po długim odpoczynku złapał jakąś taksówkę i wrócił do domu. Opowiadał mi o tym leżąc na słynnej kanapie. Z jego stawem biodrowym, i ogólnie – zdrowiem – nie było dobrze, ale dalej planował podróże, dalej planował kolejne książki, chciał jeździć, pisać, nie chciał się poddać...

❖ Co Ryszard Kapuściński wniósł do reportażu?

Cały jego wysiłek szedł w tym kierunku, żeby zaprzeczyć idiotycznemu podziałowi na literaturę piękną i reportaż. Literatura piękna to to, co wymyślone, a reportaż to zdarzenia i fakty – czyli coś „literacko gorszego”, a to wierutna bzdura. Jego największym wkładem było to, że połączył literaturę piękną i literaturę faktu w swoim gatunku, w swoim reportażu. Używał technik literackich do zapisu reporterskiego. Przede wszystkim był poetą, który uprawiał reportaż. Był filozofem, był myślicielem, był antropologiem kultury, był tłumaczem kultur, ale też tłumaczem. On sam sobie tłumaczył wiersze, znał biegle sześć języków. To był człowiek bardzo wykształcony, bardzo mądry. W pewnym momencie tradycyjny reportaż stał się dla niego za ciasny, żeby opisać świat. Tłumaczył nam świat, pokazywał nam swoje widzenie świata. Do literatury wniósł właśnie to, że do każdej książki, do każdego tematu tworzył nowy styl. Większość pisarzy, reporterów pisze jednym stylem – u Ryszarda nie ma dwóch podobnych książek, oczywiście poza „Lapidaria-

mi” – natomiast każda książka jest inaczej pisana. Uważał, że należy pisać odpowiednim językiem o sytuacji, w której ktoś walczy. A jak chciał stworzyć ogromny obraz alegoryczny, tak jak w „Cesarzu”, to musiał się naczytać literatury staropolskiej, bo to odpowiadało charakterowi tego tematu. Właściwie to nie była tylko książka o tyranii, o władzy, o tym jak wygląda despotyzm, ale też o dworskości, o ludziach, którzy alienują się od społeczeństwa, żyją we własnej, zamkniętej bajce.

❖ A wracając do pisania?

On dużo napisał o pisaniu, bo jego interesował proces twórczy. Był jedynym znanym mi reporterem, który tak walczył o język, o słowo. Bardzo pracował nad zdaniem. Pisał utwory literackie zbudowane na kanwie reportażu. To był reportaż literacki, literatura nie piękna, nie faktu, tylko literatura zbudowana z faktów. Wszystko, co on napisał było sprawdzalne, zdarzyło się. On to wszystko przeżył, zrozumiał i z tego budował reportaż. W zasadzie to był reportaż, który w każdej książce ciągle ewoluował. W pierwszej książce były czyste reportaże, potem włączał w to poezję, filozofię. Uruchamiał każdy gatunek, żeby tylko jak najbardziej celnie oddać temat. To, że się coś wydarzyło, było dla niego początkiem procesu zrozumienia i wytłumaczenia w tekście, dlaczego na przykład wybuchła wojna. Jego słynne pytanie: „Dlaczego oni walczą?” było zagadnieniem, któremu poświęcił właściwie całą książkę „Podróże z Herodotem”, która odpowiada na pytanie, dlaczego ludzie ze sobą walczą i o co, skąd się wzięły wojny i dlaczego człowiek musi ze sobą walczyć właściwie na okrągło, bez wytchnienia, jakby zabijanie było naszą drugą naturą. Traumatyczne doświadczenie wojny, kiedy był dzieckiem, naznaczyło go na zawsze. Jeździł po świecie i szukał odpowiedzi na pytanie dziecka: dlaczego ludzie ze sobą walczą? To był fascynujący pisarz, bo za każdym razem, jak wydawał książkę, czytałem nowego Kapuścińskiego. To był człowiek, który ciągle się rozwijał, uczył. Jego głównym problemem w ostatnich latach było to, że zabraknie mu czasu, żeby napisać trzy książki – o Malinowskim, o Ameryce Południowej, i o jego ukochanym Pińsku...

❖ Jakie przesłanie niesie twórczość Ryszarda Kapuścińskiego?

W największym skrócie: jego głównym przesłaniem było uświadomienie ludziom, że stanowimy jedną, sześciomiliardową rodzinę człowieka, że wszyscy od wszystkich w jakimś sensie zależymy i że powinniśmy współpracować, a nie bez przerwy rywalizować przygarnąć pod wspólny dach Innych, słabszych, biedniejszych, zasypywać podziały, niwelować różnice, a nie je pogłębiać – a wszystko w tym celu, by planeta ludzi mogła przetrwać. Starał się odpowiadać na pytanie dlaczego te dwa światy nie mogą się połączyć, dlaczego bogata Północ, do której należy zaledwie 20 procent ludzkości nie może zrozumieć tych 80 procent, żyjących w biedzie na biednym Południu. Jemu nie chodziło tylko o głód, ale o brak szans życiowych bez możliwości jakiegokolwiek awansu cywilizacyjnego, rozwoju. Podawał taki przykład, że dzieci afrykańskie nie prosiły o banana, tylko o długopis, bo chciały się uczyć...

❖ A jaka myśl z twórczości Ryszarda Kapuścińskiego porusza Pana najbardziej?

Miłość do człowieka. W swoim piarstwie, a także w rozmowach z kolegami-dziennikarzami zawsze podkreślał, że trzeba kochać ludzi, aby być dobrym dziennikarzem. Nigdy nie zaznaczył jakiegokolwiek różnicy, jakiegokolwiek wyższości między Europejczykami a ludźmi z Trzeciego Świata. Pisał o ludziach, ale nigdy ich nie oceniał. Zawsze pisał tak samo o ludziach białych i kolorowych – o wszystkich rasach i kulturach pisał na tej samej nucie, z podobną empatią. To jest nuta bezinteresownego szacunku, pokory z jego strony. Kapuściński pisze w sposób ujmujący, niespotykany w naszej literaturze, pisze z pozycji „ja nie wiem”, wchodzi z otwartym sercem między ludzi i stara się ich zrozumieć. Uderza mnie w nim jego szacunek, jego nieskłamana miłość do rodzaju ludzkiego. Jego tematem było życie ludzi ubogich, zapomnianych przez świat. Uprawiał i rozwijał filozofię spotkania Levinasa, opierał się na myśleniu Malinowskiego, że nie ma kultur lepszych i gorszych, są kultury równorzędne. A innymi słowy – nie ma

ludzi gorszych, nie ma gorszych grup etnicznych. Niektóre kultury są większe, inne mniejsze, ale każda ma swój własny kod, swoją godność. Kapuściński całe życie zajmował się tłumaczeniem tych kodów. Był tłumaczem kultur, i poświęcił na to długie lata studiów stricte antropologicznych. Spędził blisko pół wieku w Afryce i Ameryce Południowej, poznając życie tamtych kultur, tamtych społeczeństw, ich dramaty, walki, narodziny i upadki.

Kiedyś opowiedział mi pewną historię, później ją opisał. Spotkał w Erytrei biedaka Solomona idącego z północy na południe w poszukiwaniu brata. Kapuściński też podróżował po świecie i szukał tego, co łączy wszystkich ludzi. Nie szukał podziałów, nie mówił do nikogo „my się różnimy”. Zawsze pisał o tym, co nas łączy, a nie o tym co nas dzieli. Ten Solomon wyruszył z jakiejś wioski w Erytrei i poszedł na południe w poszukiwaniu brata. Miał tylko zgrzebny ubiór, kij wędrowca i tykwę z wodą, i pytał każdego spotkanego człowieka, czy wie coś o jego bracie. Nikt nie znał jego brata, bo tam były migracje milionowe, ale tam nie było innego sposobu znalezienia kogoś, jak tylko chodzenie od wioski do wioski. To samo robił Kapuściński w swojej twórczości. On pojechał do Afryki i chodził, jeździł z wioski do wioski, z miasta do miasta, z kraju do kraju. Jeździł wszędzie, gdzie coś się dzieje, gdzie jest coś ciekawego, gdzie coś można zobaczyć. On nie kierował się tym: „aha, tam się coś wydarzyło, wybuchła wojna, tam pojadę”. Nie, on jechał tam, gdzie jeszcze nikt przed nim nie był, gdzie byli ludzie, o których nikt nic nie wiedział. Jego pasja poznawania drugiego człowieka była tak silna, że to się przekładało z reportaży na stosunki międzyludzkie. Jak poznawał kogoś, to zadawał proste pytania, np. jaki jest pana, pani pierwszy obraz z dzieciństwa, jakie pani miała sny, o czym pani marzy, kim pan chciałby być, jaki jest pana ojciec. On ciągle dociekał, chciał poznawać ludzi tak samo jak świat. To było w nim fascynujące, ta pasja poznawcza typowa dla dojrzałego, w pełni świadomego dziennikarza-pasjonata i prawdziwego humanisty. Spotkanie z człowiekiem było dla niego wydarzeniem najważniejszym, prymarnym. Pisał w imieniu ludzi, którzy nie mieli głosu. Pisał o rewolucjach w imieniu krajów, społeczeństw, które chciały coś zmienić. Nikt inny

nie potrafiłby tak opisać strajku stoczni, nikt inny nie potrafiłby tak opisać Solidarności. Bo on nie pisał, kto odbywał strajk, kto gdzie stanął, kto co powiedział. Jego to nie interesowało...

❖ Jego interesowało dlaczego i co się stało, a nie kto co powiedział?

Tak, najważniejsze było pytanie „dlaczego”, a nie „kto” i „co”. I on napisał, co się stało, że po prostu ludzie odzyskali głos, że powiedzieli słowa, których wcześniej się w Polsce nie mówiło, że zdobyli się na bezkrawą rewolucję. W Polsce nastąpiła rewolucja w języku komunikowania. Solidarność odczarowała słowo wolność. Prawdziwa wolność była wtedy w słowie, słowo było wolnością. To była dla niego najważniejsza rewolucja Solidarności, że słowo odzyskało swoją godność, dzięki czemu Polacy odzyskali swoją godność. Kapuściński zastanawiał się, co się dzieje, dlaczego niektóre kraje, kultury są biedniejsze, giną, a inne się rozwijają. Szukał ukrytych sensów, tajemnic. Jego interesował świat u jego podstaw znaczeniowych. On widział, że świat się rozchodzi na dwa skrajnie oddalone od siebie obozy, czyli świat ludzi bogatych, którzy za wszelką ceną będą bronić swojego bogactwa i – Trzeci Świat. On widział, że to jest niekończący się proces degradacji pojęcia równości w świecie. Tylko ktoś, kto kocha ludzi, kto kocha pojedynczego człowieka potrafi podjąć takie ryzyko, jakie on podejmował. Nie bał się o to, że go zastrzelą, że go ugryzie skorpion, albo umrze na malarię. On eksploatował swój organizm do maksimum, świadomie ryzykował życiem, ale podjął wyzwanie i był potwornie konsekwentny.

❖ Musiał być niezwykle człowiekiem...

To był człowiek niezwykle skromny, ale zarazem bardzo magiczny, obdarzony wielką charyzmą. Ujmował swoją pokorą wobec innych, ale z drugiej strony imponował siłą ducha i wytrzymałością fizyczną. Mnie imponowała jego odwaga intelektualna i cywilna. On przede wszystkim sobie nie popuszczał, siebie nie oszczędzał, on siebie nie

zwalał z obowiązków; dla niego jego praca, jego misja – jak powiedziałem na początku – była powołaniem i pasją. Przed nim obowiązek stał każdego dnia – napisać ileś tam zdań, przeczytać ileś tam stron, odpowiedzieć na ileś tam telefonów, odpisać na kilkanaście listów. On zawsze pracował na najwyższych obrotach. A jak już nie mógł chodzić, to po prostu leżał i czytał. Zapisywał ołówkiem w zeszytach, a potem się zwlekał, szedł na górę i pisał na maszynie. W ostatnich latach wytrzymywał tylko pół godziny. Później znowu musiał się położyć, by ból trochę ustąpił i potem znowu pisał. Normalny człowiek, dziennikarz w jego sytuacji poszedłby na zwolnienie i pojechał do Ciechocinka. Alicja mogła z nim wyjeżdżać tylko raz w roku na, góra, tydzień. Był tytanem pracy. Rozmowa o niczym była dla niego torturą. I miał poczucie, że ma coraz mniej czasu. Najbardziej walczył o swój czas i swoją przestrzeń duchową, w której mógł tworzyć.

❖ Jaką rolę pełni pan na WARRK?

Jako współpomysłodawca przyjąłem rolę moderatora, który ma łączyć te wszystkie wątki w jakąś całość. Wykłady, ćwiczenia, spotkania mają wspólną ramę – Ryszarda Kapuścińskiego i jego twórczość. Nasi wykładowcy w te piękne, ale trudne ramy wkładają obraz dziennikarstwa z prawdziwego zdarzenia. Na tym najbardziej mi zależy, żeby zaszczerpieć w Was myśl, iż dziennikarstwo to jest misja i powołanie człowieka, który próbuje zrozumieć i opisać świat, który pisze po to, żeby jakąś rzeczywistość naprawić, ulepszyć, wyjaśnić. Dziennikarstwo Kapuścińskiego było dziennikarstwem, można to tak nazwać, poznawczym, dziennikarstwem analitycznym, syntetyzującym zjawiska w świecie, pisany z bezinteresowności. Bo to co mówił na przykład **Marek Miller** o koncentracji i bezinteresowności jest ważne. Ważne jest, żeby młodzi dziennikarze na początku swojej kariery, na początku swojej drogi wiedzieli, że chcą naprawiać świat – najzwyczajniej ten świat wokół siebie i ten dalszy, że bohaterem jest zwyczajny człowiek, którego spotykamy na swojej drodze, że każdy człowiek, którego spotykamy jest ważny, że odgrywa w naszym

życiu jakąś rolę, że nie ma tematów ważnych i mniej ważnych, nie ma ludzi ważnych i mniej ważnych. Dziennikarz, który podchodzi z takim wręcz misjonarskim nastawieniem do ludzi i tematów nie czyni nikomu krzywdy. Po prostu nazwie rzeczy, opisze zjawiska, wydobędzie człowieka z jakiegoś dołka, albo ułatwi komuś życie, lub je skomplikuje, gdy jest to na przykład łapówkarz albo zły polityk. Kapuściński uprawiał dziennikarstwo, które miało charakter ponadczasowy, nawet ponad gatunkowy. W jego książkach zawsze się odnajduje coś nowego. Każdy może się utożsamić z reporterem, który idzie przez świat i jest jak lustro, w którym się świat przegląda, a zarazem porządkuje.

❖ **Kiedy poznał pan Franciszka Piątkowskiego – współpomysłodawcę WARRK?**

Przyjaźnimy się od bardzo długich lat. Franka poznałem na studiach w Lublinie, spotykaliśmy się na różnych imprezach studenckich, na festiwalach, pisaliśmy do tych samych lubelskich i białostockich gazet. A potem spotkaliśmy się w białostockich „Kontrastach”. Przybyliśmy tam niezależnie od siebie. Przyjechał z Wrocławia **Klemens Krzyżagórski** i z regionalnego pisma, które miało same zwroty, zrobił ogólnopolskie pismo reporterów. Franek był zastępcą naczelnego, pracowałem pod jego skrzydłami. Najpierw prowadziłem dział informacji, później zostałem samodzielnym reporterem. Gdy zapytałem w „Kontrastach” o pracę, mieli tylko pół etatu pomocnika korektora, ale to wziąłem, bo chciałem być w tej redakcji. Czytałem z korektorką cudze teksty, pisząc równocześnie własne. Krzyżagórski był świetnym reporterem i wspomniałem redaktorem, dlatego wyrzucił mój pierwszy reportaż do kosza, za co mu jestem wdzięczny do dziś. W drugim było tyle skreśleń, że się po prostu załamałem. Przy trzecim zaczęło się przejaśniać. Gdy mi w 20-stronicowym reportażu skreślił jedno, jedyne a niepotrzebne „się”, myślałem, że złapałem pana Boga za nogi. To było świetne doświadczenie, to była fantastyczna szkoła dziennikarstwa. Marzy nam się z Frankiem Piątkow-

skim przeniesienie przynajmniej części tej atmosfery do siennickiej Akademii...

❖ **Życzę wic powodzenia i dziękuję za rozmowę.**

ROZMAWIAŁA: LUCYNA BŁOŃSKA

POLSKA KULTURA NA OBCZYŹNIE

O torontońskiej oficynie wydawniczej

Mówiąc o wydawniczym dorobku polskiej emigracji po drugiej wojnie światowej podkreśla się przede wszystkim – słusznie – doniosłą rolę Instytutu Literackiego w Paryżu oraz kilku innych zasłużonych dla kultury polskiej oficyn: Polskiej Fundacji Kulturalnej, Oficyny Poetów i Malarzy, Polonii, Libelli, Aneksu czy Veritasu. Rzadziej pamięta się o wydawnictwach mniej renomowanych, których kulturotwórczej roli w polskiej diasporze pominąć nie sposób. Jednym z nich jest Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, instytucja charytatywna zajmująca się nie tylko wydawaniem książek, lecz także szeroko rozumianą promocją kultury polskiej na obczyźnie: organizowaniem spotkań z twórcami, wieczorów literacko-muzycznych, wystaw, konkursów literackich, kiermaszy książek oraz dokumentowaniem różnorodnych form życia literackiego.

Polski Fundusz Wydawniczy założony został w 1978 roku przez grupę mieszkających w Toronto twórców i popularyzatorów kultury, m.in. Eugeniusza Chruścickiego, Irenę Habrowską-Jellaczyc, Wacława Iwaniuka, Jadwigę Jurkusz-Tomaszewską, Julię Kicińską, Baltazara Krasuskiego, Witolda Morawskiego, Mary Schneider, Adama Tomaszewskiego, Stanisława Wcisłę oraz Irenę Ungar, do których w późniejszym okresie dołączył Florian Śmieja.

Dorobek Funduszu stanowi blisko sto pozycji książkowych m. in. takich autorów, jak Jarosław Abramow-Newerly, Andrzej Busza, Andrzej

Chciuk, Roman Chojnacki, Ewa Chruściel, Bogdan Czaykowski, Adam Czerniawski, Edward Dusza, Jerzy Gizella, Janusz Ihnatowicz, Wacław Iwaniuk, Jadwiga Jurkusz-Tomaszewska, Victor Klemperer, Janusz Krasieński, Marek Kusiba, Krzysztof Lisowski, Józef Łobodowski, Halina Nelson, Aleksander Rybczyński, Roman Sabo, Janusz Szuber, Florian Śmieja, Adam Tomaszewski, Jan Wolski, Grażyna Zambrzycka, Edward Zyman czy Janusz Żurkowski. Obok pozycji indywidualnych nakładem Funduszu ukazała się dwujęzyczna antologia „Seven Polish-Canadian Poets” (1984) w opracowaniu Wacława Iwaniuka i Floriana Śmieji, ze wstępem Zbigniewa Folejewskiego, zawierająca wiersze Danuty Bieńkowskiej, Zofii Bohdanowiczowej, Andrzeja Buszy, Bogdana Czaykowskiego, Wacława Iwaniuka, Janusza Ihnatowicza i Floriana Śmieji oraz (wydana w koedycji z „Czytelnikiem”) „Antologia poezji polskiej na obczyźnie 1939–1999”, opracowana przez Bogdana Czaykowskiego (2002).

Po 1989 roku Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie nawiązał współpracę z ośrodkami intelektualnymi i literackimi w Polsce (m. in. Uniwersytetem Mikołaja Kopernika w Toruniu, Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich w Poznaniu, Wydawnictwem A-5 w Krakowie, Spółdzielnią Wydawniczą „Czytelnik”, Stowarzyszeniem Literacko-Artystycznym „Fraza” w Rzeszowie i Społecznym Instytutem Wydawniczym „Znak”). Jej efektem są książki, które ukazały się w krajowym obiegu wydawniczym (m.in. dwie pozycje Wacława Iwaniuka: zbiór wierszy „W ogrodzie mego ojca” oraz „Ostatni romantyk” – tom wspomnień o Józefie Łobodowskim, „Jakieś ogromne szczęście” Bogdana Czaykowskiego – zbiór wierszy wybranych poety z lat 1956–2006, tom szkiców kanadyjskich „Krzyk dziękuję” Adama Tomaszewskiego, zbiory poezji: „Wiersze nienapisane”, „Tak” i „Lekcje przyrody” Romana Chojnackiego, „Biedronka na śniegu” Janusza Szubera, „Światłoczułość” i „Jaskółka” Aleksandra Rybczyńskiego, praca Jana Wolskiego „Wacław Iwaniuk. Szkice do portretu emigracyjnego poety”, monografia Bożeny Szałasty-Rogowskiej „Urodzony z piolunów. O poezji Bogdana Czaykowskiego” oraz wspomniana „Antologia poezji polskiej na obczyźnie”). Bliska współpraca z krajowymi periodykami literackimi, lubelskim „Akcentem” i rzeszowską „Frazą” za-

owocowała obszerną prezentacją twórczości „polskich Kanadyjczyków” na łamach obu pism.

W ramach bibliofilskiej serii poetyckiej Funduszu, wydawanej wspólnie z prowadzoną przez Piotra Mordela berlińską oficyną Mordellus Press, ukazały się niskonakładowe, wysmakowane graficznie tomiki, m. in. Bogdana Czaykowskiego „Superkontynentalny Toronto-Vancouver. Tryptyk i Ziemioskłon”, Andrzeja Buszy „Glosy i refrakcje”, Marka Kusiby „Admiral Road”, Romana Sabo „Niech będzie”, Janusza Szubera „Gлина, ogień, popiół”, Grażyny Zambrzyckiej „Karmelitanka. Wieniec i Godzina w katedrze” oraz Edwarda Zymana „Z podręcznego leksykonu”.

Niewątpliwym ewenementem wydawniczym Funduszu są dwa luksusowe albumy „Memory Filter i Graphic Relief”, prezentujące twórczość malarską i graficzną Jerzego Kołacza oraz „Podróż w głąb pamięci”, obszerny tom esejów, wspomnień i wierszy poświęconych Wacławowi Iwaniukowi. W okresie swej ponad trzydziestoletniej działalności Fundusz zorganizował kilkaset imprez, które w sposób istotny wzbogaciły polskie życie kulturalne w Kanadzie. (Oprac. E. Zyman)

POLISH CANADIAN PUBLISHING FUND
P.O. Box 173, Station „B”, Toronto, Ontario M5T 2T3
e-mail: edzet@rogers.com

≈ NOTATKI ≈

≈ NOTATKI ≈

Generalne przesłanki programowe WARRK

Po pierwsze: światowa ranga dorobku Ryszarda Kapuścińskiego i recepcja tego dorobku w Polsce i w świecie. Znaczenie dorobku polskiego reportera najlepiej potwierdza świadectwo światowego zlotu gwiazd Pen-Clubów (Nowy Jork 2007), na którym przyjęto dezyderat o uznaniu Ryszarda Kapuścińskiego najwybitniejszym dziennikarzem XX wieku i jednym z najwybitniejszych myślicieli.

Po drugie: dorobek Ryszarda Kapuścińskiego jako swoisty testament pozostawiony dziennikarzom świata. Wpisane są w ten dorobek wartości i postawy niezwykle pożądane w dzisiejszej rzeczywistości: dialog kultur i cywilizacji, rozumiejące otwarcie na Innego, sztuka przełamywania barier obcości, ujawnianie i wspieranie jednostkowych i zbiorowych dążeń wolnościowych, traktowanie zawodu reportera jako opartego na wciąż napiętej ciekawości świata z jednoczesną świadomością postannictwa.

Po trzecie: komplementarność spuścizny Ryszarda Kapuścińskiego. Model uprawiania reportażu przez R. Kapuścińskiego to spójność dorobku twórczego (reportaż) z metodą uprawiania gatunku wpisaną w tę twórczość i przekazaną w formie wykładu (przede wszystkim „Autoportret reportera” i „Podróż z Herodotem”).

Powyższe przesłanki wystarczająco uzasadniają realizację projektu mającego na celu kształcenie warsztatowe studentów w oparciu o wartości i idee wpisane w dorobek Ryszarda Kapuścińskiego. Także – budowanie wspólnoty myślenia o powinnościach dziennikarzy wśród młodego pokolenia polskich reportażyistów.

ISBN: 978-83-89616-19-7



9 788389 616197 7